

**Kingsley Amis**  
**ZIELONY CZŁOWIEK**

*(The Green Man)*

**Przełożył Przemysław Znaniecki**

*Sargy 'emu Mannowi*

## I. Rudowłosa kobieta

FAREHAM, Hertfordshire

<sup>1</sup>/<sub>2</sub> mili od drogi A59

„POD ZIELONYM CZŁOWIEKIEM”

tel. Mill End 0043

Ledwie zdziwiliśmy się, znajdując autentyczny zajazd z epoki dylizansów o niecałe 40 mil od Londynu - i o 8 mil od autostrady M1 - a już zaskakuje nas wspaniała jakość równie autentycznych angielskich potraw (mniejsza o rzadkie wpadki!). Już od średniowiecza stał na tym miejscu zajazd, i z tych też czasów pochodzą fragmenty obecnego budynku; przez ok. 190 lat służy on jako dom mieszkalny, aż wreszcie w r. 1961 przywrócono mu pierwotne przeznaczenie i pierwotny wygląd. Pan Allington opowiada zainteresowanym gościom historię zajazdu (nawiedzanego, przynajmniej w przeszłości, przez jednego, a może nawet więcej duchów) i służy szczerą pomocą przy wyborze potraw z nieco przydługawego menu. Polecamy zupełną węgorzową (6 szyi.), pasztet z bażanta (15 szyi. 6 p.), udziec barani w sosie kaparowym (17 szyi. 6 p.), ciasto z syropem (5 szyi. 6 p.). Wina w niewielkim wyborze, ale dobre (poza białymi burgundami), choć dość drogie Piwo z beczki: Worthigton E. Bass, Whitbread Tankard. Sympatyczna, szybka obsługa. Porcji dla dzieci nie podaje się.

*@Zamkn. w niedz. po pol. Obow. rezerw, na popoł.; w piątki, sob. i niedz. Rezerw. na wieczór. Pory posiłków 12 30; 15 00; 19 00; 22.30 Posilek á la carte 12 szyl. 6 p. do 25 szyl. 40 miejsc. Parking. Nie wprowadzać psów. Nocleg i śniad. od 43 szyl. 6 p.*

*Klasa A*

*Gościli u nas m.in. Bernard Levin: Lord Norwich John Dankworth; Harry Harrison; Wynford Vaughan Thomas; Denis Brogan; Brian W Aldiss i wielu innych*

Jeżeli chodzi o białe burgundy, to po prostu ich nie znoszę. Kupuję wszystkie, za które dostawca nie liczy sobie zbyt drogo (czego nie śmiałybym robić z innymi trunkami). Lubiłem patrzeć na szklanki Chablis czy Pouilly Fuisse, tak bardzo przypominających mieszaninę zimnego roztworu kredy i kordiału alunowego z odrobiną barwników nadających im kolor dziecięcych siuszków, które grupki młodych wykładowców z Cambridge albo młodych producentów telewizyjnych z dziewczynami oglądają, obwąchują, przez chwilę podejrzliwie smakują w ustach i wreszcie jakimś cudem przelękają. W dzisiejszych czasach oberżysta ma tak niewiele tych drobnych, niewinnych przyjemności.

Większość moich gości przyjeżdżała albo z Londynu, albo z odległego o dwadzieścia parę mil Cambridge, natomiast rzadziej zaglądali mieszkańcy najbliższych miast w Hertfordshire. Oczywiście od czasu do czasu trafiali się też przejezdni automobiliści, choć nie tak często, jak w zajazdach moich kolegów po fachu przy drogach A10, na wschód ode mnie, i A505, na północny zachód. A595 to tylko mała odnoga łącząca Stevenage z Royston, i choć ustawiłem na niej tablicę w dniu otwarcia zajazdu, to większość podróżnych wolała korzystać z lokali przy drodze, zamiast zjeżdżać z niej i zabawiać się poszukiwaniami „Zielonego Człowieka”. Może to i lepiej. Kiedy byłem chłopcem i mieszkalem w Thame, była tam gospoda „Pod Wzlatującym Orłem”, własność niejakiego Johna Fothergilla, bubka w mokasynach, który zdobył sobie prawdziwą sławę jako oberżysta-ordynus. Zgadzam się z nim tylko co do jednego: ja również nie potrafię wykrzesać odrobiny ciepłych uczuć dla ludzi, którzy uważają dwa małe jasne piwa i dwie szklaneczki soku pomidorowego za przepustkę do toalety i umywalni dla czteroosobowej rodziny. Oczywiście wieśniacy z Fareham oraz z Sandon i Mili End, dwóch wiosek odległych mniej więcej o milę, to ludzie zupełnie innego pokroju. Z niewzruszonym spokojem osuszali w barze swoje kufle i z miłą dla mnie oschłością traktowali wystrojonych w smokingi poszukiwaczy wiejskiej atmosfery i autentycznego życia klasy robotniczej.

Miejscowi, wspomagani przez różnych gorliwych młodzieńców przyjeżdżających na obiad, konsumowali w sumie mnóstwo piwa, w lecie nawet kilkaset kufli na tydzień. Wino także, bez względu na cenę, znikало w zastraszającym tempie. Musiałem więc niemal codziennie wyruszać po zaopatrzenie. zwłaszcza że zależy mi na tym, aby podawać tylko świeże mięso, warzywa i owoce. Nie wspomnę o konieczności utrzymywania zapasów soli, pasty do czyszczenia metalu, kwiatów i wykałaczek. Tak więc niemal codziennie spędzałem dobre dwie lub trzy godziny poza domem. Nie stanowiło to zresztą zbyt wielkiego zmartwienia dla kogoś, kto, tak jak ja, świeżo poślubił drugą żonę, miał dorastającą córkę z pierwszego małżeństwa i sędziwego, zniedołężniałego ojca (nie licząc dziewięciu pracowników), a z każdym z nich musiał zmagać się na inny sposób.

Zeszłego lata wydawało mi się, że okoliczności przerastają nawet siły człowieka bardziej niż ja zahartowanego w podobnych zmaganiach. Jak opłacani przez jakąś podziemną organizację walczącą z hotelarzami, kolejni goście próbowali zgwałcić pokojówkę, wzywali księdza o trzeciej nad ranem, wynajmowali pokój, by robić w nim nieprzyzwoite zdjęcia, i umierali w łóżku. Wycieczka studentów socjologii z Cambridge, kiedy upomniałem ich, aby nie wymieniali przekleństw z głośnością stosowną raczej podczas ulicznych manifestacji, oblała piwem młodego Davida Palmera, mojego zastępcę-praktykanta, i urządziła strajk

okupacyjny. Po niemal roku w miarę poprawnego zachowania Hiszpan zatrudniony jako pomocnik w kuchni zainteresował się nagle podglądactwem, szczególnie, acz nie wyłącznie, przez kratkę wentylatora damskiej toalety, ściągnął na siebie uwagę policji i wreszcie został deportowany. Smażarka do frytek dwukrotnie zajęła się ogniem, z czego raz podczas posiedzenia południowo-hertfordshirskiego oddziału Towarzystwa Smakoszy. Moja żona chodziła jak w letargu, córka zamknęła się w sobie. Mój ojciec, w wieku niemal osiemdziesięciu lat. przyżył kolejny zawał, już trzeci, niezbyt co prawda poważny. Ja sam byłem raczej spięty i wypijałem dziennie butelkę whisky, choć w ciągu minionych dwudziestu lat powinienem był przyzwycząć się do podobnych problemów.

Pewnej środy w połowie sierpnia moje kłopoty osiągnęły apogeum. Rano musiałem wyklócać się z Ramonem, następcą deportowanego podglądacza, który odmówił wyniesienia i spalania śmieci, twierdząc, że i tak musiał zmywać naczynia po śniadaniu. Potem, akurat kiedy w sklepie w Baldock kupowałem herbatę, kawę itp., popsuła się chłodziarka. Zresztą w czasie upałów nigdy nie działała zbyt dobrze, a w tym tygodniu temperatura prawie nie spadała poniżej 25 stopni. Trzeba więc było znaleźć i sprowadzić do zajazdu jakiegoś mechanika. Trzy grupy gości hotelowych, w tym czworo dzieci, niewątpliwie nasłane przez główną kwaterę antyhotelarskiej organizacji, zjawily się jakby prosto z nieba pomiędzy 17.30 a 17.40. Mojej żonie prawie udało się obarczyć mnie za to winą.

Wreszcie, usadowiwszy ojca przy otwartym oknie w saloniku ze szklanką słabej whisky z wodą, wyszedłem z naszego mieszkania na piętrze i zobaczyłem, że ktoś stoi, tyłem do mnie, w pobliżu podestu schodów. Była to kobieta, ubrana w wieczorową suknię, która wydała mi się nieco zbyt ciężka jak na ten parny, sierpniowy wieczór. Aż do przyszłego tygodnia nie zaplanowano żadnych imprez w sali bankietowej, która stanowiła jedyne publiczne pomieszczenie na piętrze, a nasze prywatne mieszkanie było wyraźnie oznaczone tabliczką.

Tonem agresywnej uprzejmości spytałem:

- Czy mogę pani w czymś pomóc?

Natychmiast, bezszelestnie, postać obróciła się ku mnie. Przelotnie dostrzegłem bladą twarz o cienkich wargach, ciężkie kędziory kasztanowych włosów i coś w rodzaju dużego niebieskawego wisiora na szyi. Natomiast znacznie bardziej wyraziście wyczułem zaskoczenie i przerażenie kobiety, które wydały mi się nieproporcjonalne do sytuacji: stojąc o niecałe siedem metrów od drzwi mieszkania, musiała słyszeć, jak wychodzę, i domyślić się, kim jestem.

W tej chwili usłyszałem wołanie ojca i odruchowo odwróciłem wzrok.

- Tak, tato?

- Och, Maurice... mógłbym prosić cię o wieczorną gazetę? Wystarczy ta lokalna.
- Powiem Fredowi, żeby ją przyniósł.
- Bardzo proszę, Maurice, jeśli Fred nie jest zajęty.
- Tak, tato.

Nasza rozmowa nie mogła trwać dłużej niż kilkanaście sekund, a jednak kiedy się skończyła, na podeście schodów nie było już nikogo. Widocznie kobieta postanowiła zakończyć pokaz swej niezwyklej wrażliwości i przenieść swe poszukiwania na parter. Prawdopodobnie znalazła tam to, czego szukała, bo nie zauważyłem jej, kiedy zszedłszy po schodach i przebywszy króciutki korytarz wkroczyłem do baru.

W tej długiej, niskiej sali, z małymi okienkami zdradzającymi, jak grube są zewnętrzne ściany budynku, zazwyczaj chłodnej i suchej w lecie, panowała tego wieczora przytłaczająca duchota. Fred Soames, barman, uruchomił wentylatory, ale mimo to, kiedy stanąłem obok niego za kontuarem, czekając, aż skończy podawać kolejkę napojów, poczułem strużki potu spływające po mnie pod smokiem i koszulą z żabotem. Poczułem też niepokój, i to nie ten nieokreślony, który dobrze znałem. Nie dawał mi spokoju jakiś szczegół wyglądu lub zachowania kobiety, którą zobaczyłem na podeście schodów, coś, na zdefiniowanie czego było teraz za późno. Byłem też pewien, choć nie miałem na to żadnych dowodów, że kiedy ojciec zawołał mnie, nie powiedział tego, co chciał mi powiedzieć. Nie miałem pojęcia, o co mogło mu chodzić, i znów wiedziałem, że nigdy się nie dowiem. W takich przypadkach pamięć zawodziła go już po kilku sekundach.

Posłałem Freda na górę z gazetą, a pod jego nieobecność podałem trzy półsłodkie sherry i (ze skrywanym niesmakiem) jasne piwo z cytryną oraz pomogłem zamówić kolację grupie dość wcześnie przybyłych gości, namawiając ich na raczej nieciekawego łososia i tracącą świeżość wieprzowinę z obcesowością, której chyba nie zaaprobowałiby autorzy przewodników po angielskich restauracjach. Potem odwiedziłem kuchnię, gdzie David Palmer i szef całkowicie panowali nad wszystkimi aspektami sytuacji, włącznie z Ramonem, który zapewnił mnie, że teraz nie pragnie powrócić do Hiszpanii. Następnie zajrzałem do miniaturowego kantorka w rogu pod główną klatką schodową. Moja żona pracowała tam nad rachunkami i ożywiła się nieco (choć nigdy nie potrafiła wyzbyć się całej swej obojętności), kiedy powiedziałem jej, żeby zostawiła na razie te bzdury, poszła na górę i przebrała się. Nawet pocałowała mnie pośpiesznie w ucho.

Wróciwszy do baru przez spiżarnię, w której przełknąłem wielką porcję whisky, przygotowaną dla mnie przez Freda, znów zabrałem się do pomagania gościom w wyborze potraw z menu. Przy ostatnim stoliku siedziało starsze małżeństwo. Z Baltimore jechali do

Cambridge w poszukiwaniu historycznych pamiątek i zatrzymali się w moim zajeździe w nadziei, że i tu coś wyszperają. Mąż, emerytowany prawnik, znał nieco historię domu - widocznie przeglądał przewodnik. Z pełną kurtuazją spytał o naszego ducha lub duchy.

Świątoszkowato odmówiłem drinka, którego chciał mi postawić, i po raz kolejny rozpocząłem opowieść.

- Przede wszystkim mamy tu ducha niejakiego doktora Thomasa Underhilla, który mieszkał w tym domu w końcu siedemnastego wieku. Miał święcenia kapłańskie, lecz nie był księdzem; był uczonym, który z jakichś powodów zrezygnował z profesury w Cambridge i kupił ten dom. Jego grób znajduje się na tym małym cmentarzu przy drodze, bardzo blisko stąd, ale mało brakowało, a wcale by go nie pochowano. Był tak zatwardziałym grzesznikiem, że gdy umarł, grabarz nie chciał wykopać mu grobu, a tutejszy proboszcz odmówił pogrzebu. Trzeba było sprowadzić grabarza z Royston, a duchownego aż z Peterhouse w Cambridge. Niektórzy ludzie w okolicy mówili, że Underhill zabił swoją żonę, z którą podobno często się kłócił, i że miał spowodować śmierć pewnego rolnika, z którym spierał się o ziemię.

Dziwne jest to, że oboje zostali rzeczywiście zamordowani, a dokładnie mówiąc niemalże rozdarci na strzępy w wyjątkowo brutalny sposób, ale ich ciała znaleziono na dworze, prawie w tym samym miejscu na drodze do wioski, mimo iż oba zabójstwa dzieliło sześć lat i że w obu przypadkach stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, iż Underhill w krytycznym momencie przebywał tutaj, w domu. Oczywiście podejrzewano go o to, że wynajął zbirów, którzy go wyręczyli, ale nigdy ich nie złapano, nikt ich nawet nie widział, a siła użyta wobec ofiar była ponoć nieproporcjonalnie wielka w porównaniu z tą, jaka posługują się normalni, płatni zabójcy.

W każdym razie Underhill, czy raczej jego duch, kilkakrotnie pojawił się przy oknie w obecnej sali restauracyjnej, wyglądając na dwór i najwyraźniej coś obserwując. Na wszystkich świadkach wywarł wielkie wrażenie wyraz jego twarzy i ogólne zachowanie, ale - według relacji - niewiele było pośród nich zgody co do samego wyglądu ducha. Jeden ze świadków mówił, że Underhill zachowywał się jak ktoś śmiertelnie przerażony. Komuś innemu wydawało się, że widział obojętną ciekawość naukowca obserwującego przebieg eksperymentu. Nie brzmi to za bardzo spójnie, prawda? Jednak...

- Czy to możliwe, panie Allington, czy to możliwe, że ten... upiór zajęty był, że tak powiem... przyglądaniem się samym zbrodniom, czy raczej ceniom samym zbrodni, które osobiście spowodował, natomiast różni świadkowie widzieli kolejne stadia jego reakcji na widowisko brutalnej przemocy, poczynając od... klinicznej obojętności aż po przerażenie i, być może, rozdzierające serce wyrzuty sumienia?

- To ciekawe spostrzeżenie. - Nie dodałem, że formułowali je, w stylu nieco mniej przypominającym prozę Henry'ego Jamesa, prawie wszyscy, którzy usłyszeli tę opowieść. - Ale w takim razie stałby przy niewłaściwym oknie, bo wychodzącym nie na miejsce, gdzie popełniono morderstwa, ale na mały lasek. O ile wiem, nic tam się nigdy nie zdarzyło, a przynajmniej nic związanego z tą sprawą.

- Rozumiem. A więc przejdźmy do innego problemu. Zauważyłem, panie Allington, że w końcowej części swej dziwnej i fascynującej opowieści, w części dotyczącej postaci... zjawy, używał pan czasu przeszłego, w ten sposób sugerując, że spotkania z nią także należą do przeszłości. Czy potwierdzi pan moje przypuszczenie?

Widocznie umysł starszego pana działał nieco szybciej niż jego organy mowy.

- Jak najbardziej. Od czasu, kiedy kupiłem ten dom siedem lat temu, niczego nie widziano, a ludzie, którzy mi go sprzedali i którzy mieszkali tu znacznie dłużej, też nigdy niczego nie widzieli. Słyszeli tylko, że pewien krewny jednego z ich przodków opowiadał, że jako chłopiec przestraszył się czegoś, co mogło być duchem Underhilla, ale to musiało się zdarzyć w czasach wiktoriańskich. Nie, obawiam się, że jeśli kiedykolwiek coś tu się działo, to należy już do przeszłości.

- Właśnie. Czytałem, że dom ten posiada co najmniej jednego ducha, co mogłoby wskazywać na... możliwość istnienia przynajmniej jeszcze jednego.

- Tak. Choć nigdy go nie widziano. Kilka osób opowiadało, jak to słyszeli kogoś chodzącego w nocy wokół domu i próbującego otworzyć drzwi i okna. Oczywiście w każdej wiosce znajdzie się dwóch czy trzech przyjemniaczków, którzy nie oprą się pokusie włamania do tak dużego domu, jeśli tylko znajdą sposób, aby wejść bez kłopotów.

- Czy nikt nie zrobił tego, co wydawałoby się oczywiste? Czy nikt nie wyjrzał i nie sprawdził... co się dzieje?

- Widocznie nie. Podobno nie spodobał im się odgłos, który ten ktoś wydawał chodząc. Szeleścił i trząsał poruszając się. Przynajmniej tak ja to rozumiem.

- I ten... osobnik też już się tutaj nie zjawia?

- Nie.

Stałem się nieco lakoniczny. Zazwyczaj chętnie opowiadam tę historyjkę, ale dziś wydała mi się naiwna, choć w pełni potwierdzona dokumentami, to jednocześnie stanowiąca tylko bezczelny chwyt reklamowy. Moje serce biło nieregularnie, z niepokojem, a ja tęskniłem za następnym kieliszkiem. W upale i duchocie, które z każdą godziną zdawały się większe. ubranie kleiło mi się do ciała. Słuchałem, jak mogłem, dalszych pytań mego gościa, chcącego przede wszystkim dowiedzieć się czegoś o dokumentach potwierdzających moją opowieść.



Zbyłem go oświadczając, niezgodnie z prawdą, że nie posiadam niczego w tym rodzaju i że wszystkie papiery znajdują się w archiwum hrabstwa w mieście Hertford. Mój gość przedłużył jeszcze końcowy etap rozmowy swym nawykiem częstych przestanków w poszukiwaniu sposobów wysłowienia się jeszcze bardziej określonych niż te, które początkowo przysły mu do głowy. Wreszcie goście siedzący w drugim końcu sali osiągnęli moment wyboru potraw i przeniosłem się do nich, wysłuchawszy kilku akapitów podziękowań.

Zanim zdążyłem im doradzić, zaspokoić pragnienie w spiżarni, sprawdzić gotowość sali restauracyjnej w sposób godzien oficera dyżurnego, hipokrytycznie przyznać, że sos *vinaigrette* do avocado jest przesolony i hojnie wymienić porcje (napoczęte owoce akurat przydadzą się do jutrzejszej sałatki na obiad), odmówić przez telefon w kantorku rezerwacji dwuosobowego pokoju na dzisiejszą noc dla jakiegoś pijanego studenta czy wykładowcy socjologii z Cambridge i wręczyć mojej żonie, która tymczasem zeszła już na dół, przebrana w całkiem ładną srebrną suknię, kieliszek Tio Pepe, było już dwadzieścia po dziewiątej. Jak zawsze, kiedy nie przewidziano żadnych większych imprez, mieliśmy zjeść kolację o dziesiątej w naszym mieszkaniu. Oczekiwaliśmy dwojga prywatnych gości, doktora Maybury'ego i jego żony. Jack Maybury był naszym domowym lekarzem i osobistym przyjacielem, a raczej, dokładnie mówiąc, kimś, z kim mogłem w miarę swobodnie rozmawiać. Pośród tego drobnego ułamka ludzkości ciekawszego od bardzo złych programów telewizyjnych Jack zajmował całkiem wysoką pozycję. Przy Dianie Maybury telewizja wydawała się nudna i nieważna, co było z jej strony nie lada dokonaniem.

Przyjechali w chwili, kiedy znów stałem za kontuarem w barze, bardzo szczerze polecając pewnemu kustoszowi z Londynu trzecie co do ceny czerwone bordo w karcie win jako najbardziej godne jego wyboru. Jack, rozczochrany, kościsty mężczyzna w pogniecionym garniturze z piaskowego płótna, przelotnie pomachał mi ręką i jak zawsze ruszył w stronę kantorka, aby zawiadomić telefonistkę z lokalnej centrali o swoim aktualnym miejscu pobytu. Diana usiadła wraz z moją żoną w małej wnęcie obok kominka. Razem stanowiły wspaniałą, raczej pobudzający widok: obie były wysokie, miały jasne włosy i pełne biusty, ale pod każdym innym względem różniły się od siebie tak bardzo, że można by je wybrać do jakiejś podręcznikowej ilustracji ukazującej skalę rozbieżności w obrębie zasadniczo tego samego typu fizycznego, albo, co byłoby bardziej na miejscu, do szwedzkiego filmu dla dorosłych, o treści odbiegającej od normalnie pojmowanego seksu. Tępy musiałby duszą być\* [\* Cytat z wiersza Williama Wordswortha, *Ułożone na moście West minsterskim*, przełożył Stanisław Kryński] ten, kto nie wykorzystałby szansy pójścia z obiema naraz do łóżka. Dostrzegalne różnice pomiędzy nimi - wiotka sylwetka Diany, jej

jasnobrązowe włosy, orzechowe oczy, opalona skóra i nerwowe zachowanie, w porównaniu z siłą i zaokrągleniami, złotem, błękitem i jasnym różem oraz powolnymi, statecznymi ruchami Joyce, mojej żony - sugerowały, że pozostają do odkrycia jeszcze inne rozbieżności, nie mniej frapujące. W ciągu minionych kilku tygodni zbliżyłem się do najważniejszej części realizacji tego zamierzenia: do namówienia Diany, aby poszła ze mną do łóżka. Joyce nic nie wiedziała ani o tym, ani o innym, bardziej ambitnym planie; a jednak, kiedy patrzyłem, jak wymieniają powitalny pocałunek w ściennej wnęce, uświadomiłem sobie, że zawsze przejawiały ku sobie stłumioną seksualną sympatię. A może tylko wyobraziłem to sobie dlatego, że chciałem to dostrzec?

Kustosz, skorzystawszy z mojej rady i zaoszczędziwszy jedenaście szylingów na bordo, zamówił do deseru, jak się spodziewałem, małą butelkę Château d'Yquem (37 szyl. 6 p.). Skłoniłem mu się z aprobatą, kazałem Fredowi przekazać zamówienie odpowiedniemu kelnerowi, przygotowałem dla Diany gin z gorzką cytryną, jej stały aperitif, i zaniósłem jej szklankę. Całując ją, próbowałem celować w usta, ale trafiłem tylko w boczną część podbródka. Zapadła chwila milczenia. Po raz kolejny już myśl o pogawędce z tymi dwiema kobietami wydawała mi się znacznie mniej atrakcyjna niż jeszcze przed minutą. Zacząłem drążyć temat gorąca i duchoty, i wtedy powrócił Jack. Ucałował Joyce tak samo bezceremonialnie, jak przedtem pokiwał mi na powitanie, i odciągnął mnie na bok. Podobno często uwodził swoje pacjentki, ale jak większość mężczyzn, o których się tak mówi, w sumie gardził damskim towarzystwem.

- Twoje zdrowie - powiedział, unosząc na chwilę szklankę campari z wodą sodową, niewątpliwie przygotowanego przez Freda. - Jak się czuje rodzina?

W ustach domowego lekarza pytanie takie wykracza poza granice towarzyskiej konwersacji, a Jack zawsze potrafił dodać do niego szczyptę wrogości. W sprawach zdrowia przejawiał snobizm, jakby uważał, że choroby są skutkiem jakichś wulgarnych niedostatków, które należy akceptować jako nieuniknione nieszczęście, być może nawet zasługujące na pogardę. Prawdopodobnie taka postawa pozwalała mu psychicznie zmuszać pacjentów do wyzdrowienia.

- Och, chyba wszyscy jakoś sobie radzą.

- A twój ojciec? - zapytał, badając jeden ze słabych punktów moich linii obronnych, i zapalił papierosa nie spuszczając ze mnie wzroku.

- Bez zmian. Bardzo *piano*.

- Bardzo jaki? - Być może Jack po prostu nie usłyszał moich słów, stłumionych alkoholowym gwarem panującym w barze, ale najprawdopodobniej chciał zganić mnie za

posługiwanie się żartobliwym słownictwem w tak poważnym kontekście. - Jaki?

- *Piano*. Wiesz. Przytłumiony. Mało robi, mało mówi.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że to normalne w jego wieku i stanie.

- Tak, tak, wiem.

- A Amy? - spytał czujnie Jack, zmieniając temat rozmowy na moją córkę.

- Cóż... nie zauważyłem, żeby sprawiała jakieś kłopoty. Ogląda dużo telewizji, słucha swoich piosenek z płyt, i tak dalej.

Jack zapatrzył się w swoją szklankę, co stanowiło niezbyt wymowny gest ze strony kogoś, kto pił to, co on, i milczał. Być może sądził, że sam wystarczająco oskarżam się własnymi słowami i że on nie musi już wygłaszać żadnych komentarzy.

- Nie ma tu dla niej zbyt wielu zajęć - próbowałem się bronić - i nie zdążyła jeszcze zaznajomić się z kimś z okolicy. Zresztą chyba nie ma wiele wspólnego z dziećmi z wioski. No i do tego ma teraz przecież wakacje.

Jack wciąż milczał. Pociągnął tylko nosem, zapewne bez rzeczywistej potrzeby.

- Joyce trochę ją zaniedbuje. Ostatnio jest bardzo zajęta. No i pamiętaj jeszcze o pogodzie. Prawdę mówiąc, wszyscy jesteśmy raczej wyczerpani tym latem. Spróbujemy wyjechać gdzieś w trójkę na kilka dni na początku września.

- A jak ty się czujesz? - spytał Jack z leciutką pogardą.

- W porządku.

- Czyżby? Na miłość Boską, nie wyglądasz dobrze. Posłuchaj, Maurice, chciałbym powiedzieć ci to teraz, na osobności - przejrzyj się w lustrze. Nie podoba mi się twoja cera - i nie mów, że nie masz zbyt wielu okazji do spacerów, bo na pewno wykroisz wolną godzinę codziennie po południu. Do tego nadmiernie się pocisz.

- Rzeczywiście. - Otarłem chusteczką przesiąkniętą potem włosy nad uszami. - Ty też byś się pocił, gdybyś musiał biegać po całym zajeździe i pilnować dziesięciu rzeczy naraz, i do tego w tym upale.

- Ja też muszę się sporo nabiegać, a nie jestem w takim stanie, jak ty.

- Jesteś ode mnie młodszy o dziesięć lat.

- I co z tego? Maunce, cierpisz na pijackie poty. Ile zdążyłeś już wypić dziś wieczorem?

- Tylko kilka kieliszków.

- Hmm. Znam te twoje „kilka kieliszków”. Kilka potrójnych porcji. Wypijesz jeszcze parę przed kolacją i co najmniej drugie tyle po kolacji. To razem ponad pół butelki, plus trzy lub cztery kieliszki wina i alkohol wypity w południe. To zbyt wiele.

- Jestem do tego przyzwyczajony. Mogę to znieść.

- Tak, jesteś do tego przyzwyczajony. I masz resztki pierwszorzędnego organizmu. Ale nie możesz już znosić tego tak dobrze, jak kiedyś. Masz pięćdziesiąt trzy lata. Dotarłeś aż punktu, w którym ścieżka przez jakiś czas prowadzi stromo z górki. Jeśli nie zmienisz trybu życia, to nie przestaniesz się z niej staczać. Jak się dzisiaj czujesz?

- Dobrze. Mówiłem ci już.

- Och, dość już tego. Jak się naprawdę czujesz?

- Och... Obrzydliwie.

- Już od kilku miesięcy czujesz się obrzydliwie. Bo za dużo pijesz.

- Mogę uciec od obrzydliwego samopoczucia tylko na jakieś parę godzin pod koniec dnia pełnego alkoholu.

- Wkrótce i to przestanie skutkować, daję ci słowo. A jak twoje jaktytacje?

- Chyba lepiej. Tak, na pewno lepiej.

- A halucynacje?

- Bez zmian.

To, o czym rozmawialiśmy, nie było aż tak nieprzyjemne, jak mogłoby się wydawać. Prawie każdy musiał doświadczyć pewnego rodzaju wstrząsów ciała, występujących mniej więcej w chwili zasypiania, które Jack zwał jaktytacjami; jest to konwulsyjne wyprostowanie nogi, tłumaczone zazwyczaj krótkim snem o potykaniu się lub spadaniu ze schodów. W bardziej przewlekłych i ostrzejszych przypadkach skurcze mięśni mogą ogarnąć inne części ciała, włącznie z twarzą, i powtarzać się nawet kilkanaście razy, zanim wreszcie cierpiąca na nie osoba zaśnie lub zrezygnuje ze snu.

Przy tym stopniu natężenia wstrząsom ciała towarzyszą hipnagogiczne (tzn. występujące w momencie zasypiania) halucynacje. Poprzedzają one jaktytacje, pojawiając się w czasie, gdy cierpiąca na nie osoba jest nieco bardziej świadoma, lub nawet całkiem świadoma, lecz ma zamknięte oczy. Jest to coś innego niż marzenia senne. Można by je określić jako niewyraźnie postrzegane obrazy pozbawione konkretnego znaczenia. Ich najbliższym czy może najmniej odległym odpowiednikiem byłyby wrażenia osób, które spędziły kilkanaście godzin koncentrując wzrok na scenie zmieniającej się jedynie w ramach ściśle określonych granic, jak na przykład przy prowadzeniu samochodu, i które zamknąwszy przed zaśnięciem oczy stwierdzają, że na wewnętrznej stronie ich powiek pojawia się jakby rozmazana wersja widoku oglądanego przedtem; ale są duże różnice pomiędzy tymi dwoma zjawiskami. Halucynacyjne obrazy nie posiadają jakiegokolwiek perspektywy czy skraju, a w ich tle niewiele można ujrzyć - często w ogóle nic. Zazwyczaj można odróżnić tylko kawałek ściany, róg kominka. zarys krzesła lub stołu; jeżeli można rozeznąć się w otoczeniu, to zawsze jest się

wewnątrz budynku. Co więcej, halucynacje są wyłącznie, że tak powiem, fikcyjne. Nigdy nie widuje się żadnych rzeczywistych przedmiotów.

Zazwyczaj obrazy przedstawiają ludzi. W ciemności pojawia się twarz, sama lub osadzona na szyi i ramionach, albo też fragment twarzy, albo coś, czego nie można dokładnie opisać, lecz co najbardziej przypomina twarz i co może poruszać się powoli lub zmieniać wyraz. Często widuje się też inne części ciała, na przykład pośladek i udo. cały tors lub pojedyncza stopę. W moim przypadku są one zazwyczaj nagie, choć może to być jedynie wynikiem moich erotycznych skłonności, a nie nieodzowną częścią przeżycia. Zresztą towarzyszące często rozpoznawalnym nagim kształtom dziwne zniekształcenia i wyrostki mogą pomniejszać ich erotyczne właściwości. Osobiście nie czuję seksualnego poruszenia na widok piersi podzielonej na części jak pomarańcza lub dwóch ud łączących się w pojedyncze, napuchnięte kolano. Z mojego opisu można by sądzić, że hipnagogicznych halucynacji należy się lękać. Do pewnego stopnia jest to prawda, ale (w moim przypadku) rozmaite obrazy, choć często groteskowe lub zagadkowe, nie są zbyt przerażające. I choć czasem jakaś niepozorna twarz, widziana z profilu, może zwrócić się ku mnie z wyrazem wariackiej wściekłości lub zmienić się w coś całkiem nieludzkiego, to bywa też, aczkolwiek rzadziej, że oglądam i widzę coś pięknego, oświetlonego płomykiem miękkiego, żółtego światła, który znika i pozostawia nicość, zaginiona ułudę. Najmniej miłym aspektem tych wizji są towarzyszące im skurcze i drgania mięśni, które zawsze zapowiadają rozbudzenie i opóźniają nadejście snu.

Przypominając sobie o tym, poczułem się nieco niepewnie. Rozejrzałem się: rozmawiałem z Jackiem stojąc w barze, powoli napełniającym się pierwszymi gośćmi, którzy już skończyli kolację w sali restauracyjnej, i przybyszami z okolicy, którzy przyjechali tu tylko na drugą połowę wieczoru. Powiedziałem do Jacka:

- Zaraz powiesz mi, że to wszystko z powodu mojego picia.
- Rzeczywiście, jest pewien związek.
- Kiedy ostatnio o tym rozmawialiśmy, doszukiwałeś się związku z epilepsją. Musisz się na coś zdecydować.
- Wcale nie muszę. Zresztą epilepsja to tylko techniczny szczegół. Nie mogę ci zagwarantować, że nigdy nie będziesz miał ataku epilepsji, tak jak nie mogę ci zagwarantować, że nigdy nie złamiesz nogi - mogę tylko stwierdzić, że w tym momencie nie zauważam żadnych symptomów epilepsji. Ale mogę ci oświadczyć, że związek między picciem a twoimi skurczami to coś więcej niż tylko techniczny szczegół. Napięcie. To wszystko skutki napięcia.
- Alkohol rozładowuje napięcie.

- Tylko na początku. Maurice, nie wygłupiaj się już. Po dwudziestu latach życia z butelką sam wiesz najlepiej, co to takiego błędne koło, równia pochyła i tak dalej. Wcale nie wymagam, żebyś całkiem przestał pić. Byłaby to bardzo zła rada. Ograniczaj się stopniowo. Spróbuj nie pić wódki przed wieczorem. I lepiej zacznij od razu, jeśli chcesz dożyć sześćdziesiątki. Ale nie od dzisiaj, bo będziesz siedział przy kolacji jak trupia główka na ucztach. Uracz się jeszcze jednym ze swoich specjałów, a potem podreptaj trochę po sali restauracyjnej i przeproś gości za psie gówienka w steku i nereczkach, a ja pogruchem tymczasem z dziewczętami.

Zrobiłem mniej więcej to, co mi kazał i co zajęło mi więcej czasu, niż się spodziewałem, gdyż mój gość z Baltimore musiał wygłosić wyczerpujący przegląd mojego menu, wypowiedziany w tempie wykładu dla dużej grupy osób bardzo niedorozwiniętych. Wysłuchawszy go i odpowiedziawszy stosownie zaokrąglonymi okresami, przeprosiłem i poszedłem na górę do mieszkania.

Z pokoju mojej córki dochodził dźwięk autorytatywnego i raczej zrzędzącego męskiego głosu o silnym środkowoeuropejskim akcencie. Trzynastoletnia Amy, wysoka, szczupła i blada, siedziała przygarbiona na skraju łóżka, opierając policzki na dłoniach i łokcie na kolanach. Jej otoczenie z przesadną wiernością oddawało jej wiek i pozycję społeczną: kolorowe zdjęcia piosenkarzy i aktorów, wycięte z magazynów i przyklejone taśmą do ściany, malutki, pasteloworóżowy gramofon bez pokrywy, płyty i ich jaskrawe okładki, te pierwsze zazwyczaj z dala od drugich, części garderoby, w większości chyba zbyt wąskie na swoją właścicielkę, i mnóstwo słoiczków pudełeczek i małych plastikowych buteleczek ustawionych wokół telewizora na toalecie. Na ekranie telewizora człowiek z mnóstwem włosów mówił do człowieka łysego:

- Ale, oczywiście, nie od razu będzie można dostrzec skutki tych ataków na pozycję dolara. Musimy zaczekać, aż zostaną zastosowane jakieś środki zaradcze.

- Kochanie, czy naprawdę musisz to oglądać? - spytałem. Amy wzruszyła ramionami, nie zmieniając przy tym swojej pozycji.

- Nie ma nic ciekawszego na innych programach?

- Na jednym jest muzyka - wiesz, taka ze skrzypcami - a na innym konie.

- Przecież lubisz konie.

- Ale nie takie.

- A co ci się w nich nie podoba?

- Są całe z kresek.

- Jak to?

- Całe z k r e s e k .

- Nie wiem, dlaczego zawsze musisz coś oglądać w telewizji, cokolwiek by to było. Nie rnozesz... Dlaczego nie chcesz czytać książek?

- Ależ musi pan zrozumieć, że me należy to bynajmniej do kompetencji Międzynarodowego Funduszu Walutowego - powiedział z pogarda człowiek z mnóstwem włosów.

- Kochanie, ścisz to, dobrze? Nic nie słyhać... Teraz jest lepiej - powiedziałem, gdy Amy, nie spuszczać wzroku z ekranu, dotknęła długim palcem pilota leżącego obok niej i zredukowała głos człowieka z mnóstwem włosów do odległego krzyku. - A teraz posłuchaj: doktor Maybury i jego żona przyjechali do nas na kolację. Zaraz tu przyjdą. Może byś założyła piżamę, umyła zęby i poszła porozmawiać z nimi przez chwilę przed snem?

- Nie, dziękuję, tato.

- Ale przecież lubisz ich. Zawsze mówisz, że ich lubisz.

- Nie, dziękuję.

- No, to chociaż powiedz dziadkowi „dobranoc”.

- Już mu powiedziałam.

Kiedy tak stałem przez chwilę przy łóżku mojej córki, szukając jakiegoś sposobu, żeby ją ożywić, przypadkiem spojrzałem na zdjęcie jej nieżyjącej matki, wiszące na ścianie obok okna. Nie wiem, jak to się stało, ale choć wcale nie poruszyłem się, Amy, na pozór nie odwracając ku mnie wzroku, zauważyła, na co patrzę. Lekko poruszyła nogami, jakby czuła się skrępowana. Nagle powiedziałem, siląc się na entuzjazm:

- Wiesz co: jutro rano muszę znów jechać do Baldock. Załatwię moje sprawy w kilka minut, a więc mogłabyś pojechać ze mną i napilibyśmy się... Napilibyśmy się coca-coli.

- Dobrze, tato - powiedziała pojednawczym głosem Amy.

- Przyjdę powiedzieć ci „dobranoc” za piętnaście minut, i mam nadzieję, że będziesz już w łóżku. Nie zapomnij umyć zębów.

- Dobrze.

Czas człowieka z mnóstwem włosów już minął, i kiedy wychodziłem z pokoiku, wypełniła go reklama szamponu, deklamowana głosem kogoś przeżywającego akurat orgazm. Amy nie była jeszcze kobieta, ale nawet w znacznie młodszym wieku przejawiała ów absolutnie kobiecy nawyk zachowywania się z chłodem czy też z oziębłością, który musiał być czymś wywołany, i jednocześnie zawziętego zaprzeczania nie tylko istnieniu powodów oziębłości, ale i istnieniu jej samej. Tym razem nie dałem jej okazji zaprzeczenia czemukolwiek, ale nie musiałem. Byłem onieśmielony jej zachowaniem i od czasu do czasu

przerażał mnie jego powód, choć wolałem nie zastanawiać się dokładnie nad jego naturą. Nigdy nie rozmawiałem z Amy o śmierci Margaret pod kołami samochodu półtora roku temu ani też o tym, jak opuściła mnie zabierając ze sobą Amy trzy lata wcześniej, ani o samej Margaret; poza niezbędnymi wzmiankami wcale me wymienialiśmy jej imienia. W końcu będę musiał coś z tym zrobić - i z jej zachowaniem, i z jego powodami. Może będę mógł zacząć jutro rano, w drodze do Baldock. Może.

Przeszedłem przez mansardowy korytarzyk do jadalni, szerokiego, raczej niskiego pokoju ze wspianym siedemnastowiecznym herbowym kominkiem z kamienia, który odkryłem pod wiktoriańskimi ceglami. Magdalena, żona Ramona, ustawiała talerze ze schłodzonym *vichyssoise*\* [\* *vichyssoise* - gęsta zupa z ziemniaków, porów, cebuli itp., podawana na zimno] przy pięciu nakryciach stojących na owalnym stole. Okna była otwarte, a firanki odsunięte, i kiedy zapalałem świece, ich płomyki lekko zakołysały się, nie gasnąc jednak. Bryza ze wzgórz Chilterns ledwo tu docierała. Niesione nią powietrze wcale nie wydawało się chłodniejsze. Kiedy Magdalena, dobrodusznie mrużąc coś do siebie, wyszła, podszedłem do frontowego okna, lecz nie doznałem przy nim ulgi.

Nie widziałem nic poza pustym pokojem odbitym w dużej, kwadratowej szybie. Wszystkie moje rzeźby stały na swoich miejscach: dobra kopia głowy starego Rzymianina z terakoty na piedestale obok drzwi, para elżbietańskich młodzianków spoglądających mętnie ku sobie z prostokątnych nisz w przeciwległej ścianie, popiersia oficera marynarki i żołnierza z czasów Napoleona nad kominkiem oraz śliczna dziewczyna, prawdopodobnie francuski brąz z przełomu stuleci, na drugim piedestale przed oknem po mojej lewej stronie, ustawiona tak, aby padały na nią promienie porannego słońca. Stojąc tyłem do pokoju nie widziałem jej wyraźnie, ale wydało mi się, że ze wszystkich innych rzeźb ulotniła się ta dziwna, delikatna równowaga pomiędzy elementem ożywionym i nieożywionym, która stale utrzymywała się, kiedy patrzyłem na nie bezpośrednio. W okiennej szybie zdawały się świeżo pozbawione życia.

Odwróciłem się i spojrzałem na nie: tak, teraz minerały znów miały w sobie coś ludzkiego.

Droga A595 przebiegała zbyt daleko, aby można było usłyszeć pojedyncze pojazdy, a na dziedzińcu też chwilowo nikogo nie było; przez moment, zanim wyteżyłem słuch, wydawało mi się, że panuje absolutna cisza. Potem dobiegł mnie pomruk głosów z dołu, ale znów z gwaru nie można było wyodrębnić słów poszczególnych osób. Powiedziałem sobie, że jeśli w ciągu minuty nie usłyszę żadnego wyraźnego dźwięku, to pójdę do szafki w sypialni i naleję sobie kolejnego drinka. Zacząłem bezgłośnie liczyć: jeden - tysiąc - dwa - tysiące - trzy -



tysiące - cztery - tysiące... Wtrącanie „tysięcy” pomaga znaleźć właściwy rytm, a używając tej metody przez wiele lat doszedłem do takiej wprawy, że potrafię odliczyć minutę z dokładnością nie mniejsza niż dwie sekundy. Przydaje się to w sytuacjach takich, jak gotowanie jajek bez zegarka, ale akurat nie o przydatność mi chodziło.

Dotarłem właśnie w moim odliczaniu do trzydziestu ośmiu tysięcy i już miałem pogratulować sobie rozpoczęcia ostatnich dwudziestu sekund, kiedy usłyszałem wyraźny, na pół oczekiwany dźwięk, dochodzący z saloniku po drugiej stronie korytarzyka, mieszaninę stękania i chrząkania. Mój ojciec, usłyszawszy, jak Magdalena wychodzi, ale nie chcąc, aby myślano, że uważa jej wyjście za sygnał, stwierdził, iż nadszedł czas, żeby przeciągnąć się i przejść do jadalni. Pozbawił mnie drinka, ale mogłem uważać, że tak jest chyba lepiej.

Usłyszałem jego kroki, powolne i stateczne, i po chwili drzwi otworzyły się. Ojciec powiedział coś ze strudzoną irytacją stwierdziwszy, że przed nim na progu pokoju znalazł się Wiktor Hugo, który wpadał mu pod nogi częściej niż komukolwiek innemu. Wiktor to błękitnawy syjamski kot, wykastrowany trzyletni samiec. Wszedł, jak zawsze, niemalże krokiem uciekiniera unikającego czegoś, co zapewne nie jest groźne, ale od czego na wszelki wypadek lepiej trzymać się z dala. Spozrzegłszy mnie podszedł, też jak zwykle, z miną niepewności i to nie co do tego, kim, ale czym jestem i nie ograniczając się jeżeli chodzi o przedział możliwych odpowiedzi. Czy byłem saletrzanem potasu, czy może paździenikiem przyszłego roku, czy chrześcijaństwem, czy też problemem szachowym - być może obejmującym wariant kontrgambitu Falkbeera? Podszedłszy do mnie zrezygnował z rozważań i runął na moje stopy jak śmiertelnie ranny słoń. To między innymi ze względu na Wiktora nie wolno było wprowadzać psów pod „Zielonego Człowieka”. Mogłoby się okazać, że wysiłek skategoryzowania ich przekracza jego siły.

Mój ojciec stanowczo zamknął za sobą drzwi i neutralnie skinął głową w moim kierunku. Zewnętrznie raczej przypominam go - jestem tego samego wzrostu, tak jak on nie mam tendencji do tycia, i odziedziczyłem po nim ciemno rude włosy, którego ślady można jeszcze dostrzec wśród jego siwizny. Ale w miejscu jego dużego nosa i dłoni, silnych jak u pianisty, ja mam coś mniej stanowczo męskiego, przekazanego mi przez matkę.

Neutralność, z jaką skinął mi głową, stanowiła rzadkie odstępstwo od nieokreślonego niezadowolenia, którym, jak mi się wydawało, darzył obecnie świat. Jego życia także nie potrafiłem pojąć. W dni powszednie przestrzegał ścisłego harmonogramu, łagodzonego tylko wylegiwaniem się w łóżku w niedzielne poranki: bez względu na pogodę równo o dziesiątej wyruszał do wioski, żeby „rozejrzeć się” (choć to, co tam było do obejrzenia, nigdy nie zmieniało się, przynajmniej nie dla oczu mieszczucha takiego, jak ja czy on), kupował małą

paczkę papierosów Piccadilly i „Timesa” (którego nie pozwalał mi prenumerować) w sklepie na rogu, zaglądał do herbaciarni „Wykwintnej” na kawę, ciastko czekoladowe i staranną lekturę gazety, a stamtąd, dokładnie w południe, udawał się pod „Godło Królowej”, aby wypić dwa jasne piwa Courage, zacząć rozwiązywanie krzyżówki i pogawędzić z „paroma starymi dziadkami” na tematy, które trudno mi było określić, kiedy czasem, nie mając nic lepszego do roboty, towarzyszyłem mu w jego obchodzie. Dokładnie kwadrans po pierwszej wracał pod „Zielonego Człowieka” na zimny posiłek, który zjadał u siebie w pokoju, po czym spędzał popołudnie drzemiąc, kończąc lub próbując dokończyć krzyżówkę i czytając tanie kryminały, które przywoziłem mu z Royston lub Baldock. Około szóstej lub pół do siódmej - w tym punkcie harmonogramu godzina mogła się nieco zmieniać - pojawiał się w saloniku, gotowy na pierwszy z dwóch drinków przed kolacją, i chyba też na rozmowę, bo nigdy nie zabierał ze sobą niczego do czytania ani nawet krzyżówki. Ale Joyre, Amy i ja byliśmy zajęci i nie mieliśmy czasu na rozmowę z nim, a więc musiał ratować się wieczorną gazetą, jak dziś wieczorem, lub wpatrywaniem się w ścianę. Kiedy zaglądałem do saloniku i widziałem go w tej pozycji, tak jak dziś, czułem się trochę pokonany; nie mogłem namówić go na czytanie, rozwiązywanie akrostychów, naukę łaciny lub rysunku, a jak sam twierdził, wolałby, żeby wsadzono mu do czaszki porcję papki z dyni zamiast mózgu, niż żeby zmuszano go do oglądania telewizji.

Teraz rozglądał się po jadalni z czołem zmarszczonym bardziej niż zazwyczaj, próbując widocznie stwierdzić, co najbardziej mu się nie podoba w jego otoczeniu. Jego wzrok spoczął na stole.

- Goście - powiedział z nieproszoną tolerancją.

- Tak, zaprosiłem Jacka i Dianę Mayburch. Prawdę mówiąc, już...

- Wiem, wiem, mówiłeś mi rano. Dziwny z niego typ, prawda? To znaczy, szczególny. Wciąż gada: jestem najbardziej odpowiedzialnym i najlepszym internistą w całym tym cholernym kraju, i wszyscy się ze mną przyjaźnią, i już. Chyba go nie lubię, Maurice. Chciałbym móc go lubić, bo wiele mu zawdzięczam, to znaczy jako lekarzowi, bo naprawdę zna się na swoim fachu. Ale chyba nie lubię go jako człowieka. Nie podoba mi się sposób, w jaki traktuje tę swoją żonę. Nie marnuje dla niej uczuć. Rozumiem go zresztą. Co ona wygaduje: jak wspaniale pan sobie radzi, a przecież nie ma pan rąk ani nóg. Cóż, w moim wieku można się tego mniej więcej spodziewać, ale ona do każdego się tak odnosi. Och, jest oczywiście bardzo atrakcyjna, zauważyłem to. A propos, nie próbujesz chyba...

- Nie - powiedziałem, czując tęsknotę za kieliszkiem. - Nic z tych rzeczy.

- Zauważyłem, jak na nią spoglądasz. Nicpoń z ciebie, Maurice.

- Samo spoglądanie nie może nikomu wyrządzić krzywdy.

- W twoim przypadku może, bo jesteś nicpoń. Zresztą, jeśli chcesz mojej rady, to nie zadawaj się z nią. Takie ladaco sprawi ci więcej kłopotu, niż jest warta. Kobieta nie jest tylko po to, żeby brać ją do łóżka. To mi o czymś przypomina...- chciałem porozmawiać z tobą o Joyce Maurice, ona nie jest szczęśliwa. Och, to nie znaczy, że jest nieszczęśliwa, nie podobnego, i bardzo ci pomaga w zajeździe - masz szczęście, że na nią trafiłeś. Ale nie jest naprawdę zadowolona. To znaczy, ona wie, że nie ożeniłbyś się z nią, gdybyś tylko nie potrzebował macochy dla małej Amy. A z tym coś ci nie wychodzi, bo zostawiasz jej całą robotę, zamiast zajmować się tym razem z nią i jej pomagać. Maurice, ona jest jeszcze młoda. Wiem, że w zajeździe masz mnóstwo pracy i że jesteś bardzo sumienny. Ale nie możesz traktować tego jako wymówki. Na przykład, wiesz, co się stało dziś rano? Jakiś cholerny bubek urządził awanturę, bo Magdalena wylała kilka kropel herbaty do jego marmolady przy śniadaniu. Joyce poradziła sobie z nim, nie powiem, a potem powiedziała mi...

Urwał, gdyż usłyszał, tak jak i ja, dźwięk otwierających się drzwi od mieszkania. Potem, słysząc oczekiwane głosy, uniósł się z krzesła przy stole, na którym się usadowił, aby stać w chwili, gdy otworzą się drzwi.

- Potem ci opowiem - szepnął konfidencjonalnie. Weszli Maybury'owie i Joyce. Podszedłem do kredensu, aby sprawdzić, czy jest dosyć alkoholu do kolacji, i zobaczyłem, że zbliża się do mnie Diana. Jack zaczął rozmowę z moim ojcem, jak zawsze pełną wyrozumiałości, bo wiedział, że w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat trudno jest mu zachować nieskazitelny stan zdrowia. Joyce została z nimi.

- Cóż, Maurice - stwierdziła lub może zapytała Diana, w charakterystyczny sposób wymawiając te dwa krótkie słowa ze swą nienaturalną precyzją. Jej ton implikował także, iż oto właśnie zdołała wynieść siebie i mnie na poziom znacznie bardziej wzniosły od zwykłej towarzyskiej konwersacji.

- Cześć, Diano.

- Maurice... pozwolisz, że cię o coś spytam?

Oto mała, ale jakże reprezentatywna próbka Diany. Miałem ochotę odpowiedzieć jej szczerze: „Nie, na miłość Boską, nie pozwolę”, ale przyłapałem się na tym, że spoglądam w okolicę wyciętego dekoltu jej wężowozielonej jedwabnej sukni, na nieco większą próbkę Diany, i tylko bąknąłem coś.

- Maurice... dlaczego zawsze sprawiasz wrażenie człowieka uciekającego przed czymś? Czemu czujesz się taki uwięziony? - Mówiła tak, jakby chciała ułatwić mi zadanie liczenia jej słów.

- Ja? Uwięziony Jak to? O ile mi wiadomo, nie uciekam przed niczym.

- A więc czemu wyglądasz, jakby cały czas coś cię dręczyło?

- Mnie? A co może mnie dręczyć? Są oczywiście podatki dochodowe i rachunki za przysły miesiąc, i starość, i kilka podobnych rzeczy, ale przecież wszyscy to...

- Od czego chcesz uciec?

Rezygnując z następnej kuszącej odpowiedzi, która właśnie przyszła mi do głowy, spojrzałem ponad jej gładko opalonym ramieniem. Jack i mój ojciec mówili coś jednocześnie, a Joyce próbowała słuchać obu naraz. Półgłosem powiedziałem:

- Wytlumaczę ci to kiedy indziej. Na przykład jutro po południu. Będę na rogu o pół do czwartej.

- Maurice...

- Tak? - spytałem, nie przez zaciśnięte zęby, jak mi się zdaje.

- Maurice, dlaczego jesteś tak niewiarygodnie natarczywy? Czego ode mnie chcesz?

Poczułem, jak pojedyncza kropelka potu pojawia się na mojej piersi.

- Jestem natarczywy, bo chcę czegoś od ciebie, a jeśli nie wiesz, czego, to wkrótce się przekonasz. Będiesz tam jutro, prawda?

Dokładnie w tym momencie Joyce zawołała:

- Zaczynamy już, dobrze? Na pewno wszyscy są głodni. Ja przynajmniej konam z głodu.

Diana podeszła do stołu nie usiłując nawet skryć tryumfu, gdyż oto okoliczności pozwoliły jej na niemalże usprawiedliwione pozostawienie mojego pytania bez odpowiedzi. Otworzyłem butelkę piwa Worthington White Shield dla ojca. wziąłem odkorkowaną przez kelnera pół godziny temu butelkę Batard Montrachet 1961 i ruszyłem za nią. W ciągu ostatnich pięciu sekund prawdopodobieństwo, że spotkamy się jutro po południu, stało się niewiarygodnie małe, ponieważ Diana była teraz w niezwykle korzystnej sytuacji, mogąc nie stawić się na spotkanie, a jednocześnie nie narażać się na opinię osoby nie dotrzymującej zobowiązań. Z drugiej strony, była w stanie wyobrazić sobie tok mojego rozumowania i iść na umówiony róg tylko po to, aby mnie tam nie zastać, przez co moje akcje spadłyby niżej, niż kiedykolwiek stały, a ja musiałbym z wysiłkiem windować ich wartość, odpowiadając na głupie pytania w rodzaju: dlaczego jestem tak nieobliczalny i tak samolubny, i może to dlatego, że czuję się zagrożony. A jeśli Diana, jako Diana, potrafiła sobie tyle wyobrazić, to musiała pojąć też, i to bez dłuższych rozmyślań, że i ja mogę przewidzieć tok jej rozumowania. A więc tak czy tak będę musiał być tam jutro. Ale przecież od samego początku chciałem tam być.

Tymczasem zdążyłem napełnić wszystkie kieliszki i zająć miejsce w orzechowym

rzeźbionym fotelu z czasów królowej Anny, moim ulubionym meblu, choć mam w domu parę starszych rzeczy. Diana siedziała po mojej prawej ręce, za nią, naprzeciw drzwi, ojciec, a po lewej stronie Jack i Joyce. Jedliśmy *vichyssoise*, kiedy ojciec powiedział:

- Ostatnio różni ludzie kręcą się po domu. To znaczy, tu, na piętrze, gdzie nie mają czego szukać, kiedy nie ma żadnych bankietów. Nie dalej jak pół godziny temu jakiś typ włóczył się po korytarzu przy schodach i tupał, jakby był u siebie w domu. Już chciałem wstać i spytać go, co wyprawia, ale uciekł. I to nie jest pierwszy taki wypadek w tym tygodniu. Maurice, czy mógłbyś wywiesić jakąś tabliczkę albo coś takiego?

- Jest już jedna przy drzwiach do mieszkania...

- Nie, nie, to znaczy gdzieś przy schodach na dole, żeby w ogóle nie wchodzili na piętro. Robi się tu istny dom wariatów. Nie zdarzyło ci się coś takiego, Maurice? Na pewno musiałeś coś zauważyć.

- Raz czy dwa razy. - Mówiłem nieuważnie, myślałem o Dianie i przyglądałem się jej kątem oka. - Skoro już o tym mówimy, to rzeczywiście, dzisiaj jakaś kobieta zabłąkała się na podest schodów. - Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że potem nie widziałem już tej kobiety ani w barze, ani w sali restauracyjnej, ani nigdzie indziej w zajeździe. Widocznie znalazła na parterze damską toaletę i wyszła, kiedy zastępowałem Freda. Widocznie. Ale oto zauważyłem, że Diana odkłada łyżkę i zaczyna wpatrywać się w moją twarz. Nie mogłem znieść perspektywy jej pytań, zadawanych starannie oddzielającym sylaby głosem, dlaczego jestem jakiś tam, co sprawia, że zachowuję się w taki sposób, i czy zdaję sobie sprawę, że jestem jeszcze jakiś. Wstałem, oświadczyłem, że idę powiedzieć Amy „dobranoc”, i wyszedłem, dzwoniąc po drodze na Magdalenę.

Wygląd i pozycja Amy zmieniły się w minimalnym stopniu, zważywszy, że przedtem była to Amy siedząca na łóżku, a teraz była to Amy siedząca w łóżku. Na ekranie telewizora młoda kobieta oskarżała o coś starszą, która przez cały czas stała do niej tyłem, nie przez nieuwagę lub z celowej nieuprzejmości, ale po prostu po to, by widzowie mogli jednocześnie oglądać jej twarz i twarz jej antagonistki. Przez chwilę patrzyłem, w nadziei, że może po wygłoszeniu diatryby obie kobiety zrobią eleganckie „w tył zwrot”, i zastanawiałem się, do jakiego stopnia zmieniłby się świat, gdyby wszyscy stosowali się do reguły, która wymaga, by rozmawiający ze sobą ludzie zawsze spoglądali w tę samą stronę. Potem podszedłem do Amy.

- O której to się kończy?

- Już prawie koniec.

- Wyłącz, kiedy tylko się skończy. Umyłaś zęby?

- Tak.

- Grzeczna z ciebie dziewczynka. Pamiętaj, że rano jedziemy do Baldock.

- Tak.

- No, to dobranoc.

Pochyliłem się, aby pocałować ją w policzek. W tym samym momencie z jadalni rozległa się seria dźwięków: głośny krzyk mojego ojca, kilka pośpiesznych słów Jacka, hałas kogoś wpadającego na meble, pomieszane głosy. Kazałem Amy zostać w łóżku i popędziłem do jadalni.

Kiedy otwierałem drzwi, przemknął koło mnie Wiktor z najeżonym ogonem. Po przeciwległej stronie pokoju Jack, z pewną pomocą Joyce, ciągnął mojego ojca, całkowicie bezwładnego, na pobliski fotel. Przed nakryciem ojca leżało przewrócone krzesło wśród sztućców i talerzy. Zauważyłem też mokrą plamę rozlanego napoju. Diana, która przypatrywała się tej scenie, odwróciła się teraz ku mnie z wyrazem przestraszenia na twarzy.

- Zaczął patrzeć na coś, a potem wstał i krzyknął, i jakby zasłabł, i upadł na stół, i Jack go schwycił - powiedziała łamiącym się głosem, bez śladu starannej wymowy.

Minąłem ją i podszedłem do Jacka.

- Co się stało?

Jack układał ojca na fotelu. Zrobiwszy to powiedział:

- To chyba wylew krwi do mózgu.

- Czy on umrze?

- Tak, to całkiem możliwe.

- Wkrótce?

- Być może.

- Co możesz zrobić?

- Nic, co mu uratuje życie, jeśli ma umrzeć. Spojrzałem na Jacka, a on na mnie. Nie mogłem wyobrazić sobie, o czym myśli. Palcem badał puls mojego ojca. Wydawało mi się, że moje ciało, że ja sam, składałem się tylko z twarzy i z przedniej części torsu, od brzucha w górę. Uklęknąłem przy fotelu, słuchając powolnego, głębokiego oddechu ojca. Powieki miał otwarte, a źrenice znieruchomiały w lewych kąciach oczodołów. Poza tym wyglądał całkiem normalnie, jakby odpoczywał.

- Tato - powiedziałem, i wydało mi się, że poruszył się nieznacznie. Ale nie miałem pojęcia, co powiedzieć dalej. Myślałem o tym, co dzieje się w jego mózgu, co widzi lub co wydaje mu się, że widzi: może coś bez znaczenia, coś przyjemnego, słońce i pola. Albo coś nieprzyjemnego, brzydkiego, przerażającego. Wyobraziłem sobie rozpaczliwy, długi wysięk

zrozumienia tego, co się dzieje, i niepokój tak olbrzymi, że gorszy od bólu, bo głuszący ból i jego miłosierna moc tłumienia myśli, uczuć, tożsamości, poczucia czasu, wszystkiego poza sobą samym. Myśl ta przeraziła mnie, ale także z nieodpartą jasnością i stanowczością podsunęła mi kolejne słowa.

Pochyliłem się nad ojcem.

- Tato. To ja, Maurice. Czy mnie słyszysz? Czy wiesz, gdzie jesteś? To ja, Maurice, tato. Powiedz mi, co się dzieje tam, gdzie jesteś. Czy widzisz coś? Opowiedz, jak się czujesz. O czym myślisz?

Za moimi plecami Jack powiedział chłodno:

- On ciebie nie słyszy.

- Tato. Czy mnie słyszysz? Porusz głową, jeśli mnie słyszysz.

Powolnym, mechanicznym głosem, przypominającym dźwięk płyty gramofonowej odtwarzanej ze zbyt małą prędkością, mój ojciec powiedział: „Maur-ricé”, potem, już mniej wyraźnie, jeszcze kilka słów, brzmiących jak „kto” i „tam, przy...” Potem umarł.

Wyprostowałem się i odwróciłem. Diana przyglądała mi się, nie okazując już strachu. Zanim mogła coś powiedzieć, minąłem ją i podszedłem do Joyce, która patrzyła na boczny stolik. Stała na nim taca z pięcioma przykrytymi talerzami i kilkoma salaterkami z jarzynami.

- Nie wiedziałam, co z tym zrobić - powiedziała Joyce - więc kazałam Magdalenie postawić wszystko tutaj. Czy on nie żyje?

- Tak

Natychmiast zaczęła płakać. Przytuliliśmy się do siebie.

- Był już bardzo stary i nie cierpiał, wszystko stało się tak szybko.

- Nie wiemy, co musiał wycierpieć - powiedziałem.

- Był takim miłym człowiekiem. Nie mogę uwierzyć, że już go nie będzie z nami.

- Lepiej pójde powiedzieć Amy.

- Czy mam iść z tobą?

- Nie teraz.

Amy wyłączyła telewizor i siedziała na łóżku, ale już w innej pozycji.

- Dziadek zachorował - powiedziałem.

- Czy nie żyje?

- Tak, ale wszystko trwało tylko chwilę i nic go nie bolało. Nic nawet nie wiedział. Wiesz, był już bardzo stary, i to mogło się zdarzyć każdego dnia. Tak to już bywa ze starymi ludźmi.

- A chciałam mu tyle opowiedzieć.

- O czym?

- O różnych rzeczach. - Amy wstała, podeszła do mnie i położyła dłonie na moich ramionach. - Przykro mi, że twój ojciec nie żyje.

Rozpłakałem się. Przez kilka minut siedziałem na łóżku, a Amy trzymała mnie za rękę i głaskała po karku. Kiedy przestałem płakać, kazała mi już iść, powiedziała, żebym się o nią nie martwił, że nic się jej nie stanie i że zobaczymy się rano.

W jadalni kobiety siedziały na ławce we wnęce okiennej. Diana obejmowała Joyce ramieniem. Joyce spuściła głowę, i złote włosy zakrywały jej twarz. Jack podał mi szklanekę do połowy wypełnioną whisky z odrobiną wody. Wypiłem duszkiem.

- Amy dobrze się czuje? - spytał Jack. - W porządku. Zajrzę jeszcze do niej. A teraz musimy zanieść twojego ojca do łóżka. Możesz mi pomóc albo zawołam kogoś z dołu, jeśli nie chcesz.

- Chcę. Zrobimy to razem.

- No, to chodź.

Jack schwycił mojego ojca pod pachami, a ja ująłem go za kostki. Diana otworzyła nam drzwi. Jack przyciskał ojca do swej piersi, dzięki czemu jego głowa nie zwieszała się na bok. Gdy szliśmy, nie przestawał mówić.

- Kiedy tylko to zrobimy, zawołam tu młodego Palmera, jeśli pozwolisz, i powiem mu, co się stało. Na razie nie musimy nic więcej robić. Jutro rano przyślę tu pielęgniarkę, która się nim zajmie. Ja też przyjadę, ze świadectwem zgonu. Trzeba będzie zawieźć je do Baldock i załatwić pogrzeb. Zajmiesz się tym?

- Tak. - Byliśmy już w sypialni. - Potrzebujesz czegoś?

- Koca.

- Jest w dolnej szufladzie.

Przykryliśmy ojca i zostawiliśmy go. Wkrótce załatwiliśmy resztę spraw. Wszyscy zjedliśmy po parę kęsów, Jack nawet więcej. Zjawił się David Palmer, który wysłuchał mnie i powiedział, że jest mu bardzo przykro, potwierdzając to wyrazem twarzy, i wyszedł. Zadzwoiłem do mojego syna Nicka, który w wieku dwudziestu czterech lat uczył historii literatury francuskiej na uniwersytecie w Środkowej Anglii. Obiecał mi, że rano znajdzie kogoś, kto zajmie się dwuletnią Józefiną, a sam przyjedzie samochodem z Lucy, swoją żoną, na późny obiad. Ze wstrząsem uświadomiłem sobie, że nie mam już kogo zawiadomić: brat i siostra mojego ojca umarli bezpotomnie, a ja sam jestem jedynakiem. Do pół do dwunastej, czyli na dobre trzy kwadransy przed normalną porą zamknięcia restauracji, wieść o śmierci ojca rozeszła się wśród gości i na dole zrobiło się pusto. Wreszcie Maybury'owie, Joyce i ja



stanęliśmy na progu mieszkania.

- Nie odprowadzajcie nas do wyjścia - powiedział Jack. - Fred nas wypuści. Wyśpijcie się dobrze - Maurice niech zażyje trzy pastylki relanium, a Joyce - jedną czerwoną pigułkę. - Tonem, w którym nie było ani pośpiechu, ani czułości, dodał: - Cóż, przykro mi, że on umarł. Był bardzo przyzwoitym człowiekiem, miał mnóstwo zdrowego rozsądku. Myślę, Maurice, że będzie ci go bardzo brakować.

Te niezbyt zobowiązujące słowa i towarzyszące im spojrzenie, w którym dostrzegłem bezosobowe współczucie, stanowiły pierwszą niezawodową reakcję Jacka na wydarzenia dzisiejszego wieczora; zresztą na tym poprzestał. Dość głośno powiedział „dobranoc”, tonem, który pasowałby raczej do Freda za barem, i ruszył ku schodom. Ucałowawszy Joyce i przelotnie zerknąwszy w moją stronę, ale nie wprost na mnie, Diana poszła za nim. Niemal ze wzruszeniem zauważyłem, że nie usiłowała przekazać swym milczeniem żadnych uczuć, których nie potrafiłaby wyrazić słowami. Zresztą już wcześniej okazywała podobną powściągliwość. Choć wiedziałem, że postępuję nieszlachetnie, to nie mogłem powstrzymać się od rozważań, jak długo jeszcze zdoła zachowywać się w sposób tak nietypowy. Żadnego z ludzi nic mniej poważnego od fizycznego kalectwa nie zmusiłoby do całkowitej zmiany postępowania.

- Chodźmy już spać - powiedziała Joyce. - Ledwie trzymasz się na nogach.

Rzeczywiście, fizycznie byłem skrajnie wyczerpany, jakbym musiał cały dzień stać w tej samej pozycji, ale nie chciałem ani spać, ani też leżeć w ciemności i czekać na sen.

- Wypiję jeszcze jedną whisky - powiedziałem.

- Byle nie za dużą, Maurice. I tylko jedną. - W jej głosie dźwięczała szczerza prośba. - I nie siedź sam ze szklanką. Możesz wypić w sypialni.

Zrobiłem tak, jak prosiła, zajrzawszy najpierw do Amy, która spała w sposób, że tak powiem, nie rzucający się w oczy, nie wystawiając na pokaz objawów skupienia lub zaniedbania, jak mają w zwyczaju dorosłe kobiety. Czy śmierć mojego ojca pozostawi wielką pustkę w jej świecie? Nie mogłem wyobrazić sobie, o czym to chciała mu tyle opowiedzieć: on traktował ją z nieśmiałą dobrocią, ona odpowiadała mu tym samym w swoistej dziecięcej odmianie, z ożywieniem pełnym jednocześnie roztargnienia i egoizmu, i o ile wiedziałem, nigdy wiele ze sobą nie rozmawiali. Ale w ciągu półtora roku, które spędziła tutaj po śmierci matki, widywała go codziennie, a w takim małym światku chyba żadna strata nie może być mała.

- Jak tam Amy? - spytała Joyce, kiedy przyszedłem z whisky do naszej sypialni, sąsiadującej z pokojem Amy i równie szerokiej od drzwi do okna, choć dłuższej. Stojąc,

włożyła do ust czerwoną pigułkę nasenną i popiła wodą.

- Śpi. Widziałaś gdzieś relanium?

- Proszę. Trzy to raczej sporo, nie sądzisz? To znaczy, w połączeniu z alkoholem. Ale Jack powinien znać się na tym.

- To nie są barbituraty.

Popiłem białe pigułki whisky, patrząc, jak Joyce zdejmuje pantofle, ściąga suknię przez głowę i wiesz ją w ściennej szafie. Króciutka chwila, gdy odwracała się od szafy, aby ruszyć w moją stronę, wystarczyła, bym mógł dostrzec jej wspaniale nabrzmiałe piersi pod nieskazitelnie białym stanikiem, pozostające w doskonałej proporcji z szerokością ramion i pleców i rozłożystą pełnią klatki piersiowej. Nie przeszła nawet trzech kroków ku łóżku, kiedy odstawiłem szklankę na jej toaletkę i objąłem jej nagą talię.

Przytuliła mnie z momentalną siłą, typową dla osoby pocieszającej kogoś. Gdy po chwili pojęła, że nie szukam pocieszenia, a przynajmniej nie konwencjonalnego pocieszenia, jej ciało zeszywniało.

- Och, Maurice, nie teraz, proszę.

- Właśnie teraz. I to już. Chodź.

Dotychczas tylko raz w życiu zdarzyło mi się doświadczyć tak wszechogarniającego pożądania, przy którym umysł mimowolnie popada w letarg, a ciało wcześniej niż zazwyczaj osiąga autonomię. Było to w chwili, gdy patrzyłem, jak moja ówczesna kochanka kroi chleb w kuchni, podczas gdy jej mąż zastawiał stół w jadalni po drugiej stronie przedpokoju, a więc mój umysł i ciało musiały wtedy jak najprędzej powrócić do stanu normalnego funkcjonowania. Ale tej nocy miało być całkiem inaczej.

Kiedy odciągnąłem kołdrę i rzuciłem Joyce na łóżko, była ona całkiem naga, a ja tylko częściowo. Reagowała już w swoim długim, powolnym rytmie, oddychając głęboko w ledwie rosnącym tempie i obejmując mnie mocno ramionami i udami. Prawie wcale nie zauważyłem mego pożądania; wydawało mi się, że zaspokojenie go można odsunąć w nieskończoność. Oczywiście były to tylko pozory i na jakiś niedostrzegalny znak, którym mógł być daleki dźwięk samochodu, jakieś wspomnienie lub poruszenie kogoś z nas, albo myśl o jutrze, oboje osiągnęliśmy nasz cel, raz czy może dwa lub trzy razy. Tuż potem raptownie uświadomiłem sobie, co zaszło w ciągu minionej godziny, jakby do tej pory były to tylko fakty przekazane mi z jakiegoś odległego i niezbyt dobrze postrzeżanego źródła. Wydało mi się, że moje serce zatrzymuje się na moment, a potem rzuca się do gwałtownego biegu. Czym prędzej wskoczyłem z łóżka.

- Czy dobrze się czujesz? - spytała Joyce.

- Wspaniale.

Postawszy przez chwilę nieruchomo, zdjąłem z siebie resztę ubrania, założyłem piżamę i poszedłem do łazienki. Później zajrzałem do saloniku, gdzie zobaczyłem wieczorną gazetę starannie złożoną na niskim stoliku przy ulubionym fotelu mojego ojca i do jadalni, gdzie ujrzałem fotel, w którym umarł. Banalność tych obrazów uspokoiła mnie na moment. Wróciwszy do sypialni, stwierdziłem, że Joyce, która w takiej sytuacji zazwyczaj gotowa była do pogawędki, leży z kołdrą naciągniętą na głowę. Potwierdziło to moje obawy, że dręczą ją wyrzuty sumienia, nie dlatego, iż kochaliśmy się w noc śmierci mojego ojca, ale dlatego, iż sprawiło jej to przyjemność. Jednak kiedy położyłem się do łóżka, odezwała się całkiem przytomnym głosem:

- To, co zrobiliśmy, było chyba naturalne, jak instynkt. Wiesz, natura dba o zachowanie ciągłości gatunku. Choć jakoś nie przypominało mi to instynktu. Raczej coś, o czym czyta się w książkach. To znaczy, mówię tak ogólnie.

Do tej pory nie myślałem o tym i nieco mnie zirytowała przenikliwość jej uwagi, albo coś, co nie wtajemniczony obserwator mógłby wziąć za przenikliwość. A jednak, pocieszyłem się, mam do czynienia z Joyce, a nie z Dianą, która pograżyłaby się w denerwujących, ekstatycznych spekulacjach.

- Ja nie udawałem - powiedziałem. - Mężczyźni nie mogą udawać.

- Wiem, kochanie. Nie o to mi chodzi. Ale pomyśl o tym, jak to mogło wyglądać. - Wysunęła zza siebie dłoń i uchwyciła moją rękę. - Myślisz, że będziesz mógł zasnąć?

- Tak, chyba tak. Czy mogłabyś mi coś powiedzieć? To zajmie tylko chwilę.

- Słucham.

- Potem nie będziemy już o tym myśleć. Powiedz mi, jak to się dokładnie stało. Chcę wszystko wiedzieć i mieć już z tym spokój.

- No cóż, twój ojciec mówił coś o tym, że ludzie mają prawo do spokoju w swoim własnym domu, a potem urwał i wstał, znacznie szybciej niż normalnie, i zaczął patrzeć.

- Na co?

- Nie wiem. Na nic. Patrzył w stronę drzwi. Potem krzyknął coś i Jack spytał go, co się stało i czy dobrze się czuje, a on upadł na stół i Jack go schwycił.

- Co krzyknął?

- Nie wiem. To nie było żadne słowo. Potem Jack i ja zaczęliśmy przenosić go i wtedy ty przyszedłeś. Wyglądało na to, że nic go nie boli. Był tylko bardzo zaskoczony.

- Przerażony?

- Cóż... może trochę.

- Tylko trochę?
- No, bardzo. Chyba czuł, że to się zbliża, wiesz, ten wylew.
- Tak. To mogło go przerazić. Rozumiem.
- Nie myśl o tym. - Joyce ścisnęła moją dłoń. - Nawet gdybyś tam był, to i tak nie mógłbyś nic poradzić.
- Chyba nie.
- Oczywiście, że nie.
- Zapomniałem powiedzieć Amy, gdzie... że on jest w swoim pokoju.
- Nie będzie tam wchodzić. Zajmę się tym rano. A teraz muszę już spać. Te pigułki naprawdę zbijają z nóg.

Powiedzieliśmy sobie „dobranoc” i wyłączyliśmy nocne lampki. Obróciłem się na prawy bok, w stronę okna, choć i tak nic nie mogłem w nim zobaczyć. Było nadal bardzo gorąco, ale w ciągu ostatniej godziny zrobiło się znacznie mniej duszno. Ledwo złożyłem głowę na poduszce, wydało mi się, że jest znacznie cieplejsza od mojego policzka i poprzecinana nieregularnymi wybrzuszeniami o twardych brzegach. Serce wciąż mi biło ciężko i dość szybko, jak przed jakąś drobną przygodą w rodzaju wizyty u dentysty lub wygłoszenia publicznego przemówienia. Leżałem i czekałem na jego kolejne potknięcie i skok, takie jakie przeżyłem dziesięć minut wcześniej i chyba jeszcze kilkadziesiąt razy w ciągu całego dnia i wieczora. Wspomniałem o tym zjawisku Jackowi, który powiedział, raczej z pobłażaniem niż z niepokojem, ale w każdym razie ze sporym naciskiem, że nie jest to nic poważnego, że po prostu moje serce często daje sobie dodatkowy i przedwczesny sygnał do uderzenia, w związku z czym następne uderzenie opóźnia się i może wydawać się silniejsze niż normalnie. Mogłem tylko powiedzieć (po cichu), że w takich przypadkach, jak ten, to cholera chyba jednak było poważne. Po minucie lub dwóch oczekiwania nadeszło spodziewane zachwianie rytmu, po nim pauza tak długa, że aż nie mogłem oddychać, i wreszcie drobne szturchnięcie w wewnętrzną ściankę mojej klatki piersiowej. Powiedziałem sobie, że nic się nie stało, że to tylko nerwy, że to minie tak, jak zawsze, że jestem hipochondrykiem, że lada chwila zacznie działać relanium, że to naturalne, że to egoizm. Tak: już było spokojniej, łatwiej, normalniej, wygodniej, chłodniej, wolniej, ciszej, sennie, mgliściej...

Przed moimi zamkniętymi oczyma rozciągał się, jak zwykle, ruchomy całun ciemnej purpury, ciemnej szarości i jeszcze jednej ciemnej barwy, zbyt mało odmiennej, abym mógł przypisać jej jakiś konkretny kolor. Był tam, oczywiście, przez cały czas, ale dopiero teraz zacząłem na niego patrzeć, wiedząc, co nastąpi za chwilę, lecz nie mogąc się powstrzymać, bo tak po prostu było zawsze. Niemal natychmiast pojawiło się przyćmione żółto-

pomarańczowe światło. Oświetlało ono coś o gładkich, zaokrąglonych i zwężających się kształtach części ludzkiego ciała, choć nie mając skali porównawczej nie mogłem stwierdzić, czy patrzę na nogę czy nos, na ramię czy palec, na pierś czy policzek. Wkrótce przed ten kształt wpłynął, zakrywając go niemal całkowicie, szarawy męski profil, prawie kompletny, o wyrazie zdziwienia lub zamyślenia. Jego górna warga drgnęła, zaczęła raptownie rosnąć i powoli dryfować na zewnątrz, niespiesznie pęczniejąc do kształtu grubego sznura jelita. W dolnej części mojego pola widzenia zaczęło nieregularnie błyskać drugie pomarańczowe światło, padające na kiszkowatą formę od spodu i ukazujące żyłki na jej błyszczącej powierzchni. Twarz zniknęła już gdzieś z boku. Pomarańczowa poświata przygasła i wszystko zaczęło się jakby od nowa: drżące brązowe i żółte woale pojawiły się i szybko znikły, odsłaniając mroczną jaskinię o dziwnie ludzkich ścianach i stropie. Nie mogłem zidentyfikować żadnych elementów, tylko ten charakterystyczny wygląd powierzchni, na pół matowej, na pół lśniącej, co jest typowe dla nagiej skóry.

Nie wiem, jak długo te wizje pojawiały się, rosły i wirowały, może przez pięć minut, na pewno nie dłużej niż przez pół godziny. Jak to zawsze bywa, niektóre z nich były bardzo dziwne, ale do tej pory żadna mnie nie zaskoczyła. Zaczynały nawet wiotczeć, kurczyć się i znikać. Wtedy pomięta płachta brązowego ciała zatrzęsała się konwulsyjnie i zaczęła harmonijkowo składać się ku środkowi. Zjawily się podłużne, oliwkowo-zielone pasma, które ułożyły się w pień i gałązki młodego drzewa o licznych mniej więcej pionowych i równoległych łodygach. W tym dotychczas antropomorficznym świecie było to raczej kojąca nowością. Drzewny kształt drżał, kontynuując skurcze cielistej masy, z której się narodził. Jego gałązki i mniejsze wyrostki powoli zlały się w coś, co - według obowiązujących obecnie luźnych wymagań mimesy - przypominało męskie uda, genitalia i tors aż do mostka. Wyżej na razie nie mogłem dostrzec niczego. Poszczególne części ciała zachowały swą roślinną tożsamość i trwały jako zlepki ciasno upakowanych gałązek, konarów, pnia i listowia. Próbowałem uświadomić sobie, jaki rysunek czy obraz przypomina mi ta konstrukcja, kiedy usłyszałem dźwięk, odległy, lecz rozpoznawalny: brzmiał jak trzask zieleni i drobnych gałązek, łamanych przez człowieka lub duże zwierzę idące przez gęsty las. Jednocześnie słup światła zaczął odsłaniać górną część piersi, gardło i szyję oraz koniuszek drewnianego podbródka.

Uderzyłem palcami o oczy i zacząłem pocierać je zapamiętałe: nie miałem zamiaru oglądać twarzy, która wieńczyła takie ciało. W mgnieniu oka, dosłownie w mgnieniu oka wszystko zniknęło i dźwięk ucichł. Przed samym sobą udawałem, że dochodził on z zewnątrz; ale wiedziałem, że to trzaskanie rozlegało się wewnątrz, i to znów w najdosłowniejszym

znaczeniu tego słowa. Tak jak nigdy nie wątpiłem w nierealność tego, co „widziałem” z zamkniętymi oczyma, tak też wiedziałem, że to, co przed chwilą „usłyszałem”, także nie było prawdziwe. Jutro, być może, przerazi mnie perspektywa regularnych, a nawet i sporadycznych słuchowych dodatków do tych nocnych przywidzeń; na razie byłem zbyt zmęczony. Kiedy znów zamknąłem oczy, wiedziałem, że na dziś widowisko skończyło się: z informacji przekazywanych przez moje nerwy wzrokowe ulotniło się całe napięcie i siła, a ciemne zasłony przede mną z każdym moim oddechem poruszały się coraz słabiej.

Byłem już u zewnętrznych granic snu. Tak jak się spodziewałem, zaczęły się jaktytacje. Moja prawa stopa, cała prawa noga, drgnęła gwałtownie, głowa, usta i podbródek, górna warga, cała górna część ciała, jak mi się wydało, następnie lewy nadgarstek, i znów lewy nadgarstek, poruszały się z własnej woli, raz czy dwa razy obwieściły swój zamiar stając się bezcielesnymi i wodnistymi, ale zazwyczaj o niczym nie uprzedzały. Kilka razy chwilowo rozbudziły mnie, jak sądzę, podobne konwulsje, choć nie mogłem ich zlokalizować, a raz potrójne szarpnięcie ramieniem tak bardzo przypominało poczynania osoby budzącej śpiącego, że zaniepokoiłbym się, gdybym nie przypominał był sobie od razu równie gwałtownych przeżyć, których doświadczyłem w przeszłości. Wreszcie obrazy, myśli i słowa przyszły do mnie jakby znikąd, zmieszane z czymś jeszcze, co stopniowo traciło związek ze mną: śliczna suknia, przepraszam ktoś do pana, musisz uświadomić sobie, bardzo dobra zupa, jeśli mogę w czymś, dawno temu, wszystko bardzo brudne, nie zgadzam się z nim, dopiero co tu była, a teraz, z wodą, tam przy, kochanie, drzewo, łyżka, okno, ramiona, schody, gorąco, przepraszam, człowiek...

## II. Doktor Thomas Underhill

Nazajutrz o dziesiątej rano kończyłem w kantorku omawianie codziennych spraw z Davidem Palmerem.

- Jak się spisuje Ramón? - spytałem.

- No cóż, umył już salaterki - niektóre zresztą całkiem nieźle - i kazałem mu zająć się dzbankami do kawy. Na razie nie ma powodów do narzekań. To znaczy on nie ma powodów do narzekań.

- Dopilnuj, żeby pozmywał garnki szefa, dobrze? I te kule do lodów. Wytłumacz mu, że nawet jeśli goście ich nie widzą, to i tak mają się błyszczeć jak nowe.

- Już mu o tym mówiłem, panie Allington.

- No to wytłumacz mu jeszcze raz, a w razie potrzeby możesz posłużyć się groźbami. Powiedz mu, że ma mi je osobiście pokazać przed obiadem. Aha - proszę o dwa dodatkowe nakrycia do obiadu na górę. Przyjeżdża mój syn z żoną. Czy to już wszystko?

- Mniej więcej. Zniknął jeden ręcznik, z pokoju tego małżeństwa z Birmingham, i Fred mówi, że brakuje popielniczki, takiej z ciężkiego szkła.

- Wiesz, David, mam ochotę pojechać do Birmingham, odszukać dom tych typków, włamać się i zabrać im ten ręcznik. To jedyny sposób, żeby go odzyskać. A może będziemy teraz wykładać w pokojach stare szmaty i ścierki do kurzu i każemy im gasić pety w starych puszkach od konserw? Sam nie wiem, dlaczego jeszcze tak się tym przejmuję. Cóż, chyba nic na to nie poradzę. Jeśli nie masz już do mnie nic więcej, to jadę do Baldock.

- Tak jest, panie Allington. - Na długiej, nieco groteskowej twarzy Davida pojawił się wyraz zdecydowania. - Pragnę tylko powiedzieć, że gdyby pan chciał, żebym zajął się czymś dodatkowym lub specjalnym, to z przyjemnością to zrobię. I tak samo myśli cały personel.

- Dziękuję, David, na razie nic nie przychodzi mi do głowy, ale jeśli tylko będziesz mógł w czymś pomóc, to na pewno cię poproszę.

David wyszedł. Zebrałem pieniądze do wpłacenia w banku, odszukałem i schowałem do kieszeni listę, którą wypisałem dla dostawcy napojów, założyłem moją czapkę w kratkę i wyszedłem do holu. Sprzątaczką, młoda i raczej ładna kobieta w dżinsach i podkoszulku, szła z odkurzaczem w ręku w stronę sali restauracyjnej.

- Chłodniej dzisiaj - oznajmiła unosząc na chwilę brwi, jakby miała to być aluzją do mojego wyglądu lub ubioru.

- Ale wieczorem będzie gorąco jak zawsze, zobaczy pani.

Zareagowała na to stwierdzenie ukośnym ruchem głowy i znikła. Rozpoznałem w niej jedną z tych osób, na których życie lub śmierć innych nie robi większego wrażenia. W tym

momencie pojawiła się Amy, rozradowana i dość elegancko wystrojona w czystą koszulę w szerokie pastelowe pasy i spódniczkę.

- Kiedy wyjeżdżamy, tato?

- Och, kochanie. - Po raz pierwszy tego ranka przypomniałem sobie o niej. - Przepraszam cię, ale chyba będziemy musieli odłożyć naszą wycieczkę na inny dzień.

- Och, nie. Och, jak możesz? Och, dlaczego?

- Cóż... Umówiliśmy się, zanim...

- Zanim dziadek umarł - wiem. Ale co to ma do rzeczy? Dziadkowi nie przeszkadzałyby, że z tobą jadę. Lubił, jak razem jeździliśmy.

- Wiem, ale muszę zająć się ważnymi sprawami, zgłosić zgon i iść do przedsiębiorcy. Nie spodoba ci się to.

- Mnie to nie przeszkadza. Do jakiego przedsiębiorcy?

- Pogrzebowego.

- Mnie to nie przeszkadza. Mogę posiedzieć sobie w samochodzie. Zresztą pewno i tak pójdziesz na kawę. Mogę pochodzić po sklepach i spotkamy się przy samochodzie.

- Przepraszam cię, Amy. - Naprawdę było mi przykro, ale nie mógłbym znieść w ciągu następnych kilku godzin czyjegokolwiek towarzystwa, nawet najmilszego, a już dawno temu przyjąłem do wiadomości, że przy Amy nigdy nie czuję się zupełnie swobodnie. - To nie są rzeczy dla ciebie. Możesz pojechać ze mną jutro.

To ją tylko rozdrażniło.

- O, r a n y. Nie chcę jechać jutro, chcę jechać dzisiaj. Po prostu przeszkadzam ci.

- Amy, przestań krzyczeć.

- Nic cię nie obchodzi. Wszystko ci jedno, co robię. Nigdy nie mam żadnego zajęcia.

- Możesz pomóc Joyce z pościelą, przydasz się...

- Och, ś w i e t n i e. Wielkie dzięki, t a t u l k u.

- Zabraniam ci mówić takim tonem.

- A ja tak mówię, i już. Jak będę brać LSD i palić trawę, to wtedy zaczniesz się o mnie troszczyć. Nie, nie zaczniesz. Nigdy nie będziesz się o mnie troszczyć.

- Amy, wracaj do swojego pokoju.

Wydała donośny dźwięk, coś pośredniego między wrzaskiem a jękiem, i popędziła na górę. Zaczekałem, aż przez grube ściany budynku rozległo się trzaśnięcie jej drzwi. Jednocześnie, z dokładną, szyderczą synchronizacją, w sali restauracyjnej zaczął hałasować odkurzacz. Wyszedłem z domu.

Rzeczywiście, było dzisiaj chłodniej. Słońce, stojące dokładnie nad laskiem, w którego



stronę ponoć spoglądał duch Thomasa Underhilla, nie przebiło się jeszcze przez rzadką mgłę czy może warstwę nisko wiszących obłoków. Idąc ku mojemu volkswagenowi, zaparkowanemu na dziedzińcu, myślałem sobie, że oto wkrótce zacznę napawać się stanem samotności (nie chodziło mi o pozbycie się Amy, tylko o to, żebym mógł być sam przez określony czas) po to jedynie, by stwierdzić, jak zawsze, że samotność oznacza, iż jestem skazany na siebie, na moją zewnętrzną i wewnętrzną powłokę, ze wszystkimi wspomnieniami, oczekiwaniami i terażniejszymi uczuciami, z tą nieokreśloną sferą istnienia, która jest sumą tych składników i jeszcze czegoś poza nimi, i, wreszcie, z przepajającym to wszystko niepokojem. Dwoje ludzi może zadać sobie nawzajem wiele bólu, ale najbardziej dręczymy siebie w samotności.

Kiedy uruchamiałem silnik volkswagena, poczułem w lewej dolnej części palców, tuż pod pasem, tępy ból o nieregularnym, ale określonym kształcie. Trwał przez jakieś dwadzieścia sekund, zachowując dokładnie takie samo natężenie, po czym w mgnieniu oka zniknął. Już od tygodnia zachowywał się w ten sposób. Czy dziś rano był ostrzejszy, niż kiedy poczułem go po raz pierwszy, czy pojawiał się częściej i na dłużej? Wydawało mi się, że chyba tak. To rak nerki. To nie rak nerki, ale ta choroba, przy której nerka przestaje działać i musi być amputowana, a druga nerka znakomicie spełnia swe funkcje, aż do chwili, kiedy i ona przestaje działać i musi być amputowana, i wtedy trzeba żyć w całkowitej zależności od maszyny. To nie choroba nerki, a tylko lekki stan zapalny, wywołany nadmiarem alkoholu, którego łatwo można się pozbyć, zażywając kilka dawek holenderskiego ginu i zmniejszając spożycie innych napojów wyskokowych. To nie zapalenie, a jedynie jeden z tych niegroźnych ataków bólu, które niepostrzeżenie same znikają, kiedy tylko przestajemy o nich myśleć. Tak, ale na czym polega standardowa procedura niemyślenia o tym albo o jakimkolwiek innym bólu?

Ból powrócił, gdy skręcałem na południowy zachód, na drogę A595, i tym razem trwał nieco dłużej niż dwadzieścia sekund, chyba że wyobraźnia płatała mi figle. Pomyślałem sobie, że znacznie bardziej cenilibyśmy wyobraźnię, gdybyśmy tylko wiedzieli, kiedy działa, a kiedy nie. W ten sposób byłaby też znacznie bardziej pożyteczna. Moja jakoś nie potrafiła podpowiedzieć mi, jak powinienem się zachować, gdyby moja nerka naprawdę była w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Swego czasu padłem ofiarą kilku dość poważnych schorzeń, ale do tej pory umiałem zaaplikować sobie odpowiednią kurację. W zeszłym roku, w lecie, zdołałem zahamować i nawet cofnąć rozwój wczesnego stadium płasawicy Huntingtona - postępującej choroby układu nerwowego, powodującej całkowite zniedołężnienie i normalnie nieuleczalnej - ograniczając po prostu konsumpcję whisky. Dwa lata temu rak jelita grubego

zniknął bez śladu, ledwo przestałem jeść miejscowe renklody i śliwki, zrezygnowałem z picia dwóch butelek czerwonego bordo dziennie i pohamowałem moje zamiłowanie do surowych cebulek, ostrych pikli i curry. Nowa, silniejsza żarówka na biurku przegoniła w ciągu tygodnia ostry guz mózgu. Wszystkie inne obrażenia, nowotwory, atrofie i rzadkie wirusowe zakażenia kończyły się w ten sam sposób. Do tej pory.

Właśnie o to chodziło. Zawsze śmiejemy się z hipochondrii innych ludzi, czy raczej, kiedy zaczniemy o niej myśleć, uśmiechamy się z przekąsem. Każdy pojedynczy przypadek jest komiczny, o ile tylko należy do przeszłości. Kłopot z hipochondrykiem, traktowanym jako obiekt kpin, polega na tym, że dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć razy myli się on co do swego stanu, ale za tysięcznym razem, lub tysiąc pierwszym, lub którymś tam, ma rację. Ledwo doszedłem do tej konkluzji, ból w plecach zaakcentował ją elegancko, nawiedzając mnie na około pół minuty.

Byłem już na drodze A507 i wjeżdżałem do Baldock, nie pamiętając o niczym, co widziałem po drodze i co zrobiłem, aby pozostać na drodze. Teraz, kiedy miałem zająć się ostatnią rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobię dla mojego ojca, myśli o nim zaczęły pojawiać się między mną a moimi czynnościami. Parkując volkswagena na szerokiej głównej ulicy miasteczka wspominałem, jak to grywałem z nim w krykieta na piaskach nad zatoką Pevensey w roku, dobry Boże, 1925 lub 1926. Raz wypadłem z gry przy pierwszej piłce, a on gratulował mi potem stoicyzmu, z jakim to przyjąłem. Kiedy czekałem w urzędzie stanu cywilnego, a potem załatwiałem sprawę, myślałem o jego codziennych wyprawach do wioski i o tym, że chciałbym móc towarzyszyć mu w nich choć jeszcze jeden raz. U przedsiębiorcy pogrzebowego rozważałem historię jego pierwszego zawału i rekonwalescencji po nim, a w banku próbowałem wyobrazić sobie, jak po tym wyglądało jego życie duchowe, z takim powodzeniem, że punktualnie o pół do dwunastej znalazłem się pod „Świętym Jerzym i Smokiem”. Poświęcałem moim czynnościom akurat tyle uwagi, by dostrzec, jak trywialne i nudne było to wszystko, pozbawione nie tylko znaczenia, ale i dramatycznego braku znaczenia, i że twarze urzędników, przedsiębiorcy pogrzebowego i kasjera w banku były do siebie bliźniaczo podobne.

Po trzech szybko wypitych podwójnych whisky poczułem się lepiej: szczerze mówiąc, byłem pijany, pijany z ową odwieczną świeżością i z owym na poły mistycznym uniesieniem ducha, które, za każdym razem, zjawiają się, jakby miały trwać wiecznie. Wiedziałem o wszystkim, co warto było wiedzieć, a raczej mogłem się o wszystkim dowiedzieć, gdybym tylko znalazł sposób, aby skupić na tym moją uwagę. Życie i śmierć nie były problemami, a jedynie punktami, wokół których narastały błędne wyobrażenia raczej ograniczonego typu. Z

definicji, czy może z jakichś innych powodów, każdy problem był w istocie nie-problemem. Konfidencjonalnie kiwając głową do samego siebie, porażony siłą tego wniosku, wyszedłem z pubu i ruszyłem w stronę, gdzie, jak mi się zdawało, zapewne zaparkowałem volkswagena.

Szukałem go dość długo. Właściwie wciąż jeszcze go szukałem, kiedy okazało się, że jestem nie w Baldock, ale na dziedzińcu „Zielonego Człowieka”, gdzie widocznie właśnie zajechałem. W tylnym rogu karoserii, od strony pobocza, lśniło wgniecenie, którego prawie na pewno nie było tam przedtem. Zafrasowało mnie to do pewnego stopnia, aż uświadomiłem sobie, że przecież nic, co nie przeszkodziło mi dotrzeć tutaj, nie może mieć większego znaczenia. W następnej chwili stałem w holu i mówiłem coś do Davida Palmera, bardzo jasno i przekonująco, lecz przez cały czas nie mogłem przypomnieć sobie, co powiedziałem do niego przed dziesięcioma sekundami. Chyba wydawało mu się, że moje niepokoje, pytania czy zapewnienia, choć same w sobie ciekawe i wartościowe, nie miały jednak żadnego związku z obecną sytuacją. Wraz z Fredem, który towarzyszył mu sam nie wiem czemu, odprowadził mnie do początku schodów, gdzie jeszcze przez dłuższą chwilę tłumaczyłem mu, że nie potrzebuję, i nie zniosę, niczyjej pomocy.

Dotarłem do podestu schodów cały i zdrow, choć z wielkim wysiłkiem, dzięki któremu zresztą zacząłem przytomnieć. Znałem dobrze te zaćmienia pamięci, ale jeszcze nie doświadczyłem ich o tak wczesnej porze i po tak małej porcji alkoholu. Cóż, dziś jest szczególny dzień. Podchodziłem właśnie do drzwi mieszkania, kiedy kobieta, którą widziałem poprzedniego wieczora w niemal tym samym miejscu, nagle minęła mnie - nie mam pojęcia, skąd mogła wyjść - i pośpieszyła ku schodom. Machinalnie zawołałem coś do niej, coś zupełnie nie w stylu kierownika zajazdu, coś jakby „Co pani tu robi?” Nie zwróciła na mnie uwagi, zaczęła schodzić po schodach, a kiedy po niezbyt wprawnym biegu stanąłem na podeście, już jej nie było.

Zszedłem po schodach tak szybko, jak tylko mogłem, aby nie spaść z nich, to znaczy dość wolno. David właśnie zbliżał się do kilku stopni prowadzących do sali restauracyjnej. Zawołałem go, głośniejszym niż zamierzałem, więc odwrócił się raptownie.

- Tak, panie Allington? Czy coś się stało?

- Słuchaj, David...

- Cześć, tato - usłyszałem głos mojego syna Nicka. - Przyjechaliśmy trochę wcześniej...

- Chwileczkę, Nick. David, czy widziałeś przed chwilą kobietę schodzącą po schodach?

- Nie, chyba nie...

- W długiej sukni, miała rudawe włosy. O Boże, to było na dziesięć czy piętnaście sekund przed tym, jak do ciebie zawołałem.

David zastanawiał się tak długo, że aż zapragnąłem ryknąć na niego. Mogłem teraz rozejrzeć się i stwierdzić, czy zwracam na siebie uwagę, ale nie skorzystałem z okazji. Wreszcie David powiedział:

- Nic nie zauważyłem, ale wyszedłem właśnie z baru i nie rozglądałem się specjalnie. Przepraszam.

- W porządku, David, to drobiazg. Myślałem po prostu, że to kobieta, która pewnego razu wcisnęła mi czek bez pokrycia. Nic ważnego. Zawołaj mnie, jeżeli będziesz miał jakieś kłopoty w sali restauracyjnej. Cześć, Nick. - Pocałowaliśmy się; David ruszył do swoich zajęć. - Przepraszam cię za to, ale wydawało mi się... Gdzie jest Lucy? Dobrą mieliście podróż?

- Świetną. Lucy jest w oficynie, myje się. Co się stało, tato?

- Nic. To znaczy, miałem raczej paskudny dzień, jak możesz sobie wyobrazić, wszystkie...

- Nie, teraz, przed chwilą. Wyglądasz, jakbyś się czegoś przestraszył.

- Och, nie. - Rzeczywiście, przestraszyłem się. W gruncie rzeczy nadal się bałem. Nie wiedziałem, czy bardziej mam się bać myśli, która przysłała mi do głowy, czy też tego, że się tam zjawiała i nie przejawia ochoty, aby zniknąć. Spróbowałem zostawić ją w spokoju i nie rozmyślać już nad nią. - Szczerze mówiąc, Nick, wypilem w Baldock parę szklaneczek, co nie powinno cię dziwić, może trochę za szybko je wypilem, w każdym razie o mało co nie spadłem teraz ze schodów, goniąc tę cholerną kobietę. Mogło to się źle skończyć. To raczej irytujące. Rozumiesz mnie?

Nick, wysoki i kanciasty, z ciemnymi włosami i oczyma swej matki, spojrział na mnie bez współczucia. Wiedział, że nie mówię mu prawdy, ale nie chciał wytykać mi kłamstwa.

- Może lepiej napij się jeszcze - powiedział szybko owym tolerancyjnym tonem, który po raz pierwszy usłyszałem w jego ustach, kiedy miał dziesięć lat. - Pójdziemy na górę? Lucy sama do nas trafi.

W kilka minut później Lucy zjawiała się w jadalni, gdzie czekaliśmy w trójkę - Nick, Joyce i ja. Podeszła do mnie i cmoknęła mnie w policzek z miną wymownie świadczącą o tym, że dzisiaj, choć jej niechęć i dezaprobata wobec mnie pozostaną nie zmienione, nie będzie znęcać się nade mną bez wyraźnej prowokacji. Zawsze zastanawiałem się, co Nick widzi w tej krępej osobce z zadartym nosem i krótkimi włosami nieokreślonego koloru, noszącej egzotyczne szale i torebki obszyte frędzelkami. Nigdy nie zwierzał mi się na ten temat. A jednak musiałem przyznać, że chyba dobrze im jest ze sobą.

Amy weszła do pokoju i wpatrywała się we mnie, dopóki nie zauważyłem brudnego

swetra i dziurawych dżinsów, które zastąpiły jej poranny uroczysty strój. Potem, popatrując wciąż na mnie, podeszła do Lucy i zaczęła pokaz teatralnej serdeczności, choć wiedziała, iż wiem, że uważa ją za snobkę. Rozmawiałem nadal z Nickiem, mój mózg zaś zajmował się swoją upartą myślą, przekładając fakty i przedzierając się przez pytania i wątpliwości, jak inteligentne zwierzę działające bez ludzkiego dozoru. Pracował pilnie przez cały czas obiadu.

Joyce przygotowała zimny posiłek: karczochy z *vinaigrette*, szynkę z Bradenham, ozór osobiście wyciśnięty przez szefa kuchni, pasztet z dziczyzny, też przez niego przyrządzony, parę sałatek i talerz serów z rzodkiewkami i wiosenną cebulką. Zrezygnowałem z karczochów, gdyż zawsze gardziłem nimi ze względów biologicznych. Często mawiam, że ludzie nadmiernie otyli powinni żywić się tylko karczochami, ponieważ każdy posiłek dostarczałby im mniejszej ilości kalorii niż ta, która trzeba zużyć, usiłując wygrzebać z tego cholerstwa zawarte w nim skrawki substancji odżywczych. Obliczyłem, że człowiek naprawdę mały, zmuszony przez swoje wymiary do częstego jedzenia, jak ryjówka albo kret, zmarłby wkrótce z głodu lub z wyczerpania, gdyby zamknięto go w magazynie pełnym karczochów, a zmuszanie go do bezsensownego maczania każdego liścia w *vinaigrette* przyspieszyłoby jeszcze jego zagładę. Ale dziś trzymałem język za zębami, po części dlatego, iż Joyce, która lubi wszystko, co jadalne, a zwłaszcza karczochy, zawsze odpowiadała na moje narzekania zarzutem, że nie znoszę jedzenia.

Miała zresztą rację. Moim zdaniem, jedzenie nie tylko przerywa wszystkie inne zajęcia, zmuszając nas do spożywania go i czekania na następne danie, ale także nakłada piętno pustki na wszystko, co dzieje się przed i po nim. Żadna inna cielesna czynność nie musi, po to, by sprawić komukolwiek przyjemność, odbywać się o ustalonej godzinie ani też tak nieubłaganie i tak często. Niektóre potrawy mogą znieść. Owoce same wjeżdżają do żołądka, chleb szybko znika, a drobne, ostre warzywa posiadają własną wartość, przerastając zwykłe jedzenie. Natomiast co do reszty, to przeżuwanie obrzydliwego w dotyku mięsa, wyciąganie ości z pozbawionych smaku kęsów ryby czy zajmowanie się nicością jarzyn nie stanowi dla mnie przyjemności. Seks nie wymaga przynajmniej równoczesnego podtrzymywania konwersacji, a alkoholu nie trzeba żuć.

Podczas tego posiłku nie pojawił się żaden godzien wzmianki alkohol. Próbując zająć mój mózg wyłącznie zarzutami wobec jedzenia, pokryłem trochę szynki i ozora chili i ostrym sosem, i popiłem tę mieszaninę szklanką mocnej whisky z wodą. Nie wyglądała na zbyt mocną, gdyż używam bardzo przezroczystego gatunku whisky, dzięki czemu mogę korzystać z bardziej skondensowanych napitków, niż to przystoi w towarzystwie. Cebulki i rzodkiewki pomogły mi zjeść mały kawałek świeżego cheddara; byłem już najedzony. Nadszedł czas na

kawę, ów tradycyjny środek sztucznego przedłużania stanu i atmosfery posiłku. Wypiłem dość dużo, nie w nadziei, że mnie otrzeźwi, bo kawa wcale nie skutkuje w takich przypadkach, a byłem już tak trzeźwy, jak tylko mogłem sobie życzyć, ale po to, aby odpędzić senność. Tego popołudnia chciałem być mniej więcej w formie.

Ledwie Amy wyszła z jadalni, zdecydowałem się. Kiedy rozmawia z sobą tylko dwóch ludzi, może się zdarzyć, że jeden z nich starannie wysłucha słów drugiego i potraktuje je poważnie. Podczas zgromadzeń więcej niż dwóch osób ryzyko to już nie występuje. Postanowiłem więc nie odciągać potem Nicka na stronę, dołąłem sobie kawy i, zwracając się raczej do niego, powiedziałem tak niedbale, jak tylko potrafiłem:

- Wiesz, zastanawiałem się, czy w czasie, gdy mój ojciec umierał, nie działo się może coś... trochę dziwnego. - Spytałem...

- Jak to, dziwnego? - spytała ostro Lucy, chcąc widocznie upewnić się w tej sprawie, zanim zdołam nieodwołalnie zmienić temat rozmowy na piłkę nożną lub perspektywy zniw.

- Właśnie chciałem to wyjaśnić. Według Joyce, tuż przed tym, jak ojciec upadł, wstał i zaczął patrzeć w stronę drzwi, choć nic tam nie było. Potem, już przed samą śmiercią, powiedział do mnie: „Kto?” i „Tam, przy...” czymś. Sądzę, że chciał powiedzieć: „Kto (stał) tam, przy (drzwiach)?” To...

- Nie widzę w tym nic dziwnego - powiedziała Lucy. - Miał wylew. Być może...

- Mów dalej, tato - powiedział Nick.

- Tak. To jest pierwsza sprawa, czy też dwie pierwsze sprawy. Poza tym, kilka minut przedtem ojciec opowiadał, że słyszał, jak ktoś chodzi po korytarzu na piętrze. Nie mogę wyobrazić sobie, kto by to mógł być, choć przyznaję, że samo w sobie nie musi to mieć większego znaczenia. Poza tym, dwukrotnie, raz wczoraj wieczorem i raz przed godziną, widziałem u szczytu tych schodów kobietę ubraną w, hm, coś, co mogło być zwyczajną osiemnastowieczną codzienną suknią domową. I wydaje mi się, że w obu przypadkach zniknęła. Nie jestem pewien, jak to było wczoraj wieczorem, ale dziś, kiedy zeszła po schodach, poszedłem za nią, i nikt jej nie widział. Gdyby wyszła frontowymi drzwiami, to Nick by ja zobaczył, prawda, Nick? Przepraszam cię za tę bajeczkę, którą wymyśliłem, ale byłem wtedy trochę podniecony. W każdym razie, czy wchodząc widziałeś kogoś podobnego do niej?

Ulga, której szukałem, ulga zawarta w samym wyjawieniu komuś mojej natrętnej myśli, zakłóciła niedbałość mojego tonu, i Nick odpowiedział mi z wielkim skupieniem:

- Tak, na pewno musiałbym ją zauważyć, a nikogo nie spostrzegłem. Ale co z tego? Jak myślisz, kim była ta kobieta?

Stwierdziłem, że nie mogę wypowiedzieć owego słowa, które zagnieździło się w moim mózgu.

- Cóż... słyszeliście, że w tym domu podobno straszy. Nie wiem, czy takie opowieści są rozsądne, ale na pewno dają do myślenia. No i Wiktor... - Spojrzałem na niego: siedział przed kominkiem z podkurczonymi łapami, jak pokrywka do talerza, uosobienie kota, któremu nigdy nie przytrafiło się nic niezwykłego, a właściwie to w ogóle nic. - Był bardzo przestraszony, kiedy ojciec upadł. Przemknął koło mnie, kiedy wchodziłem, i uciekł z pokoju. Był naprawdę bardzo przestraszony.

Na razie nic więcej nie przychodziło mi do głowy. Moja trzyosobowa publiczność miała miny, jakby słuchała długiej opowieści, która nie była wprawdzie dziwna ani nieoczekiwana, ale na którą nie sposób było zareagować inaczej, niż bezpośrednio, niepohamowaną znie wagą. Czuję, że jestem gadułą, egocentrykiem i wielkim, wielkim durniem. Wreszcie Lucy poruszyła się i powiedziała głosem godnym sędziego (przypomniało mi się, że uczęszczała na kurs jakiegoś podejrzanego filozoficznego melanzu na jednym z „nowych” uniwersytetów):

- Rozumiem, że masz na myśli możliwość istnienia duchów. Słyszając wreszcie to słowo, poczułem się całkowicie zbity z pantałyku. Nie mogłem nawet wykrztusić sarkastycznej uwagi, że nawiedzone domy i znikające kobiety w staroświeckich sukniach zazwyczaj właśnie z tym się kojarzą.

- Tak - powiedziałem.

- Cóż, po pierwsze, to nie koty są podobno wrażliwe na zjawiska paranormalne, ale psy. Nie sposób stwierdzić, co widział twój ojciec, o ile w ogóle coś widział, a bardzo polegasz na tym, co powiedział, na kilku oderwanych słowach, które mogłeś zresztą źle zrozumieć. A jeśli chodzi o tę kobietę, którą zobaczyłeś... Każdy może zabłąkać się w holu, wejść na górę i zejść z powrotem. Czy jesteś pewien, że nie schowała się gdzieś na dole, na przykład w damskiej toalecie?

- Nie, nie jestem pewien. A co z krokami w korytarzu?

- Jak to, co? Sam mówiłeś, że to akurat nie ma większego znaczenia.

- Mm. - Wypiłem trochę kawy.

- Pamiętam twoje opowieści o duchu, który kiedyś pojawiał się w sali restauracyjnej, ale to był mężczyzna, prawda? Czy słyszałeś kiedykolwiek o duchu kobiety?

- Nie.

Lucy nie powiedziała wprawdzie: „Świadek do dyspozycji obrony”, ale nie musiała. Nick patrzył na mnie z pobłażaniem, Joyce z irytacją, albo raczej z czymś, co byłoby irytacją,

gdyby nie pamiętała, że wczoraj straciłem ojca. Próbowałem wymyślić jakąś ripostę. Nie było to wcale łatwe. Jakaś zmiana w metabolizmie albo może te 150 gramów whisky, które zdążyłem dziś wypić, sprawiły, że czułem się lekko pijany. Wreszcie, na przekór wszystkiemu, coś przyszło mi do głowy. Znow zwróciłem się do Lucy.

- Czy gdyby istniała opowieść o duchu kobiety, ubranej tak, jak to opisałem, uwierzyłybyś, że to właśnie ją widziałem?

- Tak - odpowiedziała, mieszając mi szyki i okazując, iż wie, że miesza mi szyki.

- Czy to ma znaczyć, że wierzysz w duchy?

- Tak. Ściśle mówiąc, wierzę, że ludzie widują duchy. Nie rozumiem, jak ktokolwiek przy zdrowych zmysłach może w to wątpić. Oczywiście, nie chcę powiedzieć, że duchy widzi się w ten sam sposób, co prawdziwych ludzi. Duchów nie ma, a więc nie można ich fotografować i tak dalej. Ale ludzie naprawdę je widują.

- To znaczy, myślą, że je widzą - powiedział Nick. - Wyobrażają je sobie.

- Cóż, niezupełnie tak, kochanie. Sądzę raczej, że duchy widzi się w tym samym trybie, jak przy halucynacjach lub wizjach religijnych. Nie mówimy, na przykład, że świętej Bernadettcie wydawało się, że widzi Matkę Boską, chyba że chcemy oskarżyć ją o zniekształcenie rzeczywistych wydarzeń albo że zakładamy, iż pomyliła się lub padła ofiarą oszustwa. O ile nie podejrzewamy czegoś takiego, to mówimy, że widziała ona Matkę Boską.

- Której naprawdę nie było. Według mnie, to była halucynacja. Tak samo jest z duchami.

- Z pewnością są tu podobieństwa, ale są też i różnice. - Lucy sięgnęła do swej torebki z frędzelkami, w czerwone i białe pasy, która niewątpliwie pochodziła z jakiegoś konkretnego miejsca, i wyjęła paczkę mentolowych papierosów. Zapaliła jednego z nich i mówiła dalej: - Różni ludzie widzą tego samego ducha, jednocześnie albo w dużych odstępach czasu. Halucynacje nie występują w ten sposób. Można wywołać halucynacje podając pewne środki chemiczne, ale nie można sprawić, aby kilku ludzi miało takie same halucynacje. Kilka osób może niezależnie od siebie widzieć tego samego ducha i dopiero po jakimś czasie skontaktować się ze sobą, a do tego nigdy nie widzą oni całego mnóstwa rozmaitych innych rzeczy, jak to się zdarza przy halucynacjach. Człowiek w nawiedzonym domu może zobaczyć ducha, nawet jeśli nie wie, że dom jest nawiedzony. Człowiek, który zażył środek psychodeliczny, ma halucynacje. Nie umiemy wytłumaczyć tych zjawisk, ale na pewno są one odmienne w każdym z tych dwóch przypadków.

- A co ty sądzisz, Joyce? - spytał Nick, który słuchał tego wszystkiego ze sporą uwagą, ale nie okazywał, żeby jego zdaniem chodziło o coś więcej niż prawdziwość pewnej teorii.

- Nie znam się na tym - powiedziała Joyce - ale uważam, że duchy to brednie. Nic



takiego nie może istnieć. Maurice był rozkojarzony i mógł, no, wyobrażać sobie różne rzeczy.

- Ja też, mniej więcej, tak sądzę - powiedział Nick. Lucy zmarszczyła brwi i zaczęła bawić się paczką papierosów, jakby w duchu nadal kontynuowała swoje rozważania.

Miałem rację, że nie potraktują mnie na serio - to znaczy nie wywołałem zamieszania. Wolałbym już oskarżenia o szaleństwo lub kpiące okrzyki niż to trzeźwe, uspokajające taksowanie mojej myśli.

- No, to co mam teraz zrobić? - spytałem.

- Zapomnij o tym, tato - powiedział Nick, a Joyce skinęła głową.

Lucy westchnęła z namysłem.

- Jeśli ta kobieta znów się pojawi, spróbuj jej dotknąć. Spróbuj zmusić ją, żeby coś powiedziała. Gdyby ci się to udało, byłby to spory sukces, bo jest bardzo niewiele poświadczonych przypadkowych spotkań z mówiącymi duchami. W każdym razie, idź za nią i sprawdź, czy inni ludzie też ją widzą. Na pewno przyda ci się ta informacja.

- Nie rozumiem, po co to wszystko - powiedziała Joyce.

- Cóż... to może być ciekawe.

Stwierdziłem, że jestem trochę zły na Lucy. Tylko ona udzieliła mi praktycznych rad, z których już teraz postanowiłem skorzystać, ale nie przypadł mi do gustu jej pedantyczny rozsądek i jej poza osoby, która, choć o prawie trzydzieści lat młodsza ode mnie, zdążyła już nagromadzić dostateczne zasoby wiedzy i mądrości, aby móc radzić sobie ze wszystkimi życiowymi niespodziankami; i to radzić sobie z nimi lepiej ode mnie. Głosem, w którym, jak miałem nadzieję, brzmiało tylko zainteresowanie, powiedziałem:

- Mówisz, jakbyś była ekspertem w tych sprawach, Lucy. Czy nauczyłaś się tego na studiach?

- Nie, nie na studiach - odrzekła, z przyganą w głosie za to, iż podejrzewam, że uczęszczała na uniwersytecki kurs spirytyzmu. - Ale zajmowałam się tym problemem. Pisałam referat o znaczeniu stwierdzeń niesprawdzalnych, i akurat przyszło mi do głowy, że opowieści o spotkaniach z duchami należą do pewnej grupy stwierdzeń niesprawdzalnych. Przeczytałam kilka relacji. Było w nich parę ciekawych wspólnych punktów. Na przykład taka sprawa: podobno tuż przed pojawieniem się ducha temperatura spada albo wydaje się, że spada. Rzekomo nawet rejestrują to termometry, ale nie jestem co do tego przekonana. Może to być subiektywne wrażenie towarzyszące osobie osiągnącej stan fizjologiczny, w którym widzi się duchy. Czy tuż przed tym, jak zobaczyłeś tę kobietę, było ci zimno?

- Nie. Gorąco. To znaczy, gorąco jak przez cały dzień.

- Nie. Moim zdaniem nie ma tu duchów. Przynajmniej nie w tej chwili. Ale powiedz...

Maurice - powiedziała Lucy, subtelnie dając mi do zrozumienia, jak wiele kosztuje ją zwracanie się do mnie po imieniu - czy uważasz, że wierzysz w duchy?

- O Boże, nie wiem. - Przed wydarzeniami wczorajszego wieczoru i przed dzisiejszym spotkaniem odpowiedziałbym bez namysłu, że nie. Ale nie byłbym też takim durniem, żeby kupować „Zielonego Człowieka”, gdybym wiedział o przypadkach nawiedzenia go w czasach mniej więcej współczesnych. - Oczywiście, jeśli pojawią się jeszcze jakieś dowody...

- Jeśli w ogóle pojawią się jakiegokolwiek dowody, powiedzmy. Mogę się mylić, ale sądzę, że tylko wydawało ci się, że widzisz ducha.

Na tym rozmowa się skończyła: wstaliśmy od stołu. Joyce poszła liczyć pościel. Powiedziałem, że zdrzemnę się trochę, a potem pojedę odebrać owoce i warzywa z kilku farm w okolicy. Nick oświadczył, że w takim razie, jeśli pozwolę, zadzwoni do Hojna Duerinckxa-Williamsa, francuskiego profesora, pod którego kierunkiem studiował w Kolegium św. Mateusza, i spyta go, czy nie mógłby wpaść do niego do Cambridge na herbatę, i że wróciliby około szóstej. Powiedziałem, że to dobry pomysł, i rozeszliśmy się.

Była za dziesięć trzecia. Wziąłem prysznic, przebrałem się w czystą odzież i generalnie przygotowałem się na spotkanie z Dianą. Z jakiegoś powodu, którego nie mogłem zidentyfikować, byłem pewien, że przyjdzie. Starannie uczesałem się, po czym stwierdziłem, że moje włosy za bardzo przypominają ciemno rudą perukę, i przez chwilę nadawałem im wygląd niedbały, acz nie zaniedbany. Kiedy osiągnąłem pożądany efekt, było już za późno na drzemkę. Zresztą i tak nie mógłbym zasnąć: byłem zbyt napięty. Zazwyczaj stan ten nie sprawia mi przyjemności, lecz tym razem pulsowała gdzieś w jego obrębie domieszka miłostnego podniecenia. Spojrzałem na moją twarz w lustrze. Wyglądała naprawdę nieźle: nieco blada, nieco zaczerwieniona pod oczami i ze starczymi zmarszczkami pomiędzy podbródkiem a szczęką widocznymi co najmniej równie wyraźnie, jak zazwyczaj; ale fizycznie była całkiem atrakcyjna. Nie podobała mi się w niej monotonna ciągłość jej wyrazu, ze stałą miną banalnej surowości i skrywanego zmartwienia, pojawiającą się w odpowiedzi na niepotrzebne i nieuniknione pytania. Akurat w tym momencie moje serce znów potknęło się w swym marszu, a w ślad za tym pojawił się ból w plecach, o którym nie myślałem od rana. Natychmiast, w ramach odwetu, przybrałem minę narcystycznego zachwyty nad samym sobą i z premedytacją wyszedłem z pokoju. Za stary ze mnie wróbel, aby zrezygnować z przyjemności, nawet mając stuprocentową pewność, że nie sprawi mi ona satysfakcji. Niech będzie, co ma być.

Ból minął. Wyprowadziłem z garażu moją półciężarówkę i ruszyłem w stronę centrum wioski. Hałas silnika nie był w stanie zagłuszyć straszliwego wycia i grzechotania kilku

buldożerów wyrównujących pagórek na tyłach ogródków domków przy drodze. O ile tempo prac budowlanych nie zmieni się, to być może gdzieś na wiosnę roku 1984 powstanie tu nowa ulica domków jednorodzinnych, choć nie mam pojęcia, jakiego rodzaju nieszczęśnicy będą zmuszeni do wprowadzenia się do nich. Sama wioska wyglądała, jakby cała ludność opuściła ją już przed kilkoma tygodniami. Przy narożnym sklepie stała pocztowa furgonetka pokryta warstwą kurzu, a jej kierowca najprawdopodobniej spoczywał w objęciach poczmistrzyni, niezamężnej kobiety w średnim wieku, o której krążyły najrozmaitsze plotki i która niewątpliwie miała dwoje nieślubnych dzieci, a także przykutą do łóżka matkę. Inni mieszkańcy, o ile nie umarli, obliczali teraz perspektywy zbiorów pszenicy, apatycznie przygotowywali się do popołudniowego udoju, wyrażali nadzieję, że podczas sobotniego meczu krykietowego z drużyną Sandon pogoda jednak dopisze, wkładali torebki z herbatą do imbryka, bawili się z dziećmi lub spali. Życie na wsi stanowić może dla nas zagadkę, dopóki nie uświadomimy sobie, że jego większość, na całym świecie, polega na przygotowywaniu się i dochodzeniu do siebie po krótkich, aczkolwiek dotkliwych atakach nudy, nieodłącznie związanych z uprawą roli, a raczej z niemożnością osiągnięcia jakiegokolwiek zadowolenia z tej pracy, gdyż za bardzo przypomina ona zmywanie naczyń przez całe życie i to pod gołym niebem. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego ktokolwiek, po roku 1400, zgodził się zostać rolnikiem.

Dom Maybury'ych, kamienna konstrukcja o stylowym wyglądzie, być może przerobiona ze szkoły dla nawróconych panien albo prymitywnej fabryki pikli, znajdował się na drugim końcu wsi. Przejechałem obok niego po wyboistej drodze obramowanej głogowym żywopłotem, skręciłem i zatrzymałem się na skrawku gołego piasku na rogu polnej drogi wiodącej pomiędzy łanami zboża, w miejscu gdzie już dwukrotnie spotkałem się z Dianą, bez większych sukcesów. Była 15 32.

W oddali, za kłosami zboża, przygarbiony mężczyzna na traktorze powoli włókł przez spory spłacheć nagiej gleby jakąś rolniczą maszynę. Z punktu, w którym się znajdowałem (a śmiem rzec, że obserwator znajdujący się na miejscu i uzbrojony w szkło powiększające potwierdziłby mój osąd), nie mogłem dostrzec, aby czynność ta cokolwiek zmieniała; pozostawiała jedynie rozliczne wyżłobienia w ziemi. Prawdopodobnie facet wprawiał się na razie, próbując przygotować się do jakiejś prawdziwej orki przewidzianej na przyszły tydzień.

Jego maszyna oraz jakiś kos, który widocznie nie miał nic lepszego do roboty, stanowiły jedyne słyszalne źródła dźwięku. Ledwo zacząłem czuć nadzieję, że nie będę miał czasu na rozmyślanie, kiedy usłyszałem trzeci dźwięk, odwróciłem głowę i ujrzałem Dianę, pieszo zbliżająca się do mnie spóźniona jedynie o pięć minut, co zresztą według jej kryteriów

stanowiło donkiszotowską punktualność: dobry znak. Ubrana była w granatową koszulę i tweedową spódnicę, a w dłoni niosła złożona gazetę. Gazeta nieco mnie zaskoczyła. Gdy dotarła do samochodu, pochyliłem się i otworzyłem drzwiczki z jej strony, ale ona jakoś nie miała ochoty wsiadać.

- Cóż, Maurice - powiedziała.

- Cześć, Diano. Pojedziemy stąd?

- Maurice, czy nie sądzisz, że to raczej niezwykle z twojej strony, że jednak, mimo wszystko, postanowiłeś tu przyjechać? - Powiedziała to w pełnokrwistym ustnym stylu magazynów dla kobiet, z maleńkimi myślami milczenia pomiędzy sylabami akcentowanych wyrazów. Aby móc to powiedzieć, będąc jednocześnie widzianą, musiała zgiąć i kark, i kolana, a ja musiałem pozostać wykręcony w fotelu i wychylony głęboko ku niej.

- Porozmawiamy o tym po drodze.

- Ale co o tym sądzisz? Jak możesz przystawiać się do cudzej żony w niecałe osiemnaście godzin po tym, jak na twoich własnych oczach zmarł twój ojciec?

Uderzył mnie jej brak wahania co do ilości godzin, zdradzający uprzednie obliczenia. Teraz rozumiałem już, dlaczego przedtem byłem tak pewien, że przyjdzie na wyznaczone przeze mnie spotkanie: wyczułem, że nie zdoła oprzeć się pokusie tak rzeczowego przesłuchania.

- Och, nie wiem - powiedziałem. - Wsiadaj, to spróbuję ci to wytłumaczyć.

- To znaczy, większość mężczyzn na twoim miejscu nawet nie myślałaby o czymś takim. Dlaczego postępujesz tak nietypowo?

- Wkrótce urządzę ci kompletny pokaz. Wsiadaj.

Jakby dopiero teraz się zdecydowała, usadowiła się koło mnie. Objąłem ją i pocałowałem mocno. Zachowała obojętność, aż do chwili, gdy umieściłem dłoń na jej piersi, kiedy to usunęła ją natychmiast. Mimo to byłem pewien, że podda mi się dzisiaj, kiedy tylko będzie na to gotowa, i tym razem jednocześnie zrozumiałem, dlaczego jestem tego pewien. Rozkładając przede mną nogi właśnie dziś, tajemniczo zareaguje ona na moje tajemnicze pożądanie, stwierdzając, iż tajemniczo współbrzmi z tym tajemniczym mężczyzną - innymi słowy, będzie mogła uważać się za osobę interesującą. Ale zanim zacznie tajemniczo reagować, ściągnie ze mnie pełen haracz, zmuszając do dostatecznie cierpliwego i długiego znoszenia jej wypytywania, aby wydawało się, iż zgadzam się, że jest ona osobą interesującą. Na szczęście dla mnie wystarczyły jej pozory, gdyż nie potrzebowała żadnego prawdziwego potwierdzenia swoich poglądów na siebie samą. Ale w takim razie, dlaczego musiałem stwarzać dla niej te

pozory? Najprawdopodobniej cieszyła ją po prostu perspektywa przyjemności oglądania moich błazeńskich prób poskromienia niecierpliwości.

Diana rozłożyła gazetę - był to, oczywiście, „Guardian” - ale nie czytała jej. Gdy zbliżaliśmy się do zakrętu, pojawił się staruszek siedzący w ogródku, i wtedy skryła twarz w środkowych stronicach. Było to skuteczne zabezpieczenie i kolejny dobry znak, jeśli potrzebowałem jeszcze dobrych znaków, ale skoro nie chciała, by ją widziano w moim samochodzie, to dlaczego przed chwilą stała przy nim wśród otwartych pól przez dobrą minutę? Motywacje innych ludzi to naprawdę ogromna zagadka.

- Dokąd mnie wiesz? - zapytała.

- Cóż, obawiam się, że trudno byłoby nam znaleźć jakieś miłosne gniazdko, ale jest dziś ciepło i od dwóch tygodni nie padało, a więc pomyślałem, że możemy nieźle poradzić sobie gdzieś na dworze. O niecałą milę stąd jest taki idealny zakątek.

- Który niewątpliwie dobrze znasz, gdyż już korzystałeś z niego w tym samym celu.

- Właśnie.

- Maurice, czy bardzo byś się pogniewał, gdybym cię o coś spytała?

- Och, nie sądzę. Spróbuj, i zobaczymy, jak zareaguję.

- Maurice, co sprawia, że jesteś takim straszliwym kobieciarzem?

- Nie jestem. W młodości byłem dość aktywny, ale to było dawno temu.

- Jesteś strasz...li...wym kobieciarzem. Wszyscy ludzie w wiosce wiedzą, że żadna atrakcyjna kobieta, która pojawia się w twoim zajeździe, nie zazna tam spokoju.

- A myślisz, że atrakcyjne, niezamężne kobiety często się tam zatrzymują?

- Wcale nie muszą być niezamężne, prawda? Jak to było z żoną tego holenderskiego hodowcy tulipanów na wiosnę?

- Gleboznawcy. To było coś innego. On zasłabł w restauracji, David położył go do łóżka, a ona powiedziała, że nie chce się jej spać i że mamy taką piękną noc. Cóż mogłem zrobić?

- Ale, Maurice, co się za tym wszystkim kryje? Dlaczego, na przykład, tak bardzo chcesz kochać się ze mną?

- To chyba sprawa seksu.

Wiedziałem, że odpowiedź ta wcale nie zadowoli Diany w jej obecnym nastroju, który zresztą był jedynym nastrojem, w jakim kiedykolwiek ją widziałem w ciągu trzech lat znajomości. Posępnie rozpatrywałem w duchu spontanicznie brzmiące warianty standardowej, pełnej odpowiedzi - popęd rozrodczy, żądzę władzy, udowodnienie własnej męskości (co miałbym zasugerować w jednej chwili, a w następnej stanowczo odrzucić), niepokój, ciekawość, poligamiczność mężczyzn skonstrastowaną z monogamicznością kobiet

(co miałbym szczerze zdefiniować jako starą gadkę, ale wartą rozważenia) i całą resztę, całą mieszankę ostro przyprawioną pornograficznymi pochlebstwami. Ledwie jednak zabrałem się do tego ponurego zajęcia, sama Diana darowała mi je, zainteresowawszy się naszą marszrutą.

- Dokąd jedziemy? Chyba nie chcesz wracać do wsi?

- Przejedziemy tylko obok jej krańca. Za chwilę przejedziemy przez szosę i wjedziemy na wzgórze, tuż za budową tych nowych domków.

- Ależ to prawie naprzeciwko „Zielonego Człowieka”.

- Wcale nie. I nikt nas stamtąd nie zobaczy.

- To i tak bardzo blisko. - Przed nami pojawiła się rolnicza furgonetka i „Guardian” znów się uniósł. Zza gazety Diana kontynuowała:

- Czy o to ci chodzi, Maurice? Czy to część twojej przyjemności? Kuszenie losu?

- Nie będzie żadnego kuszenia losu, jeśli tylko zrobisz to, co ci każę, a przecież i tak nikt cię nie może zobaczyć.

- A jednak... - Opuściła gazetę. - Czy wiesz, co jeszcze strasznie mnie dziwi?

- Co?

- Do wczoraj właściwie wcale się mną nie interesowałeś. Znamy się całkiem dobrze, od kiedy Jack i ja wprowadziliśmy się do Fareham, i zawsze traktowałeś mnie po przyjacielsku, a tu nagle zaczynasz się do mnie tak bezceremonialnie przystawiać. Chciałabym tylko wiedzieć, skąd... ta-zmia-na?

Jak na razie, było to jej najbardziej normalne pytanie, w każdym razie ani teraz, ani potem nie mogłem wymyślić żadnej odpowiedzi na nie. Niemal na chybił trafił powiedziałem:

- Sądzę, że zaczynam uświadamiać sobie, że jestem już prawie starcem. Mój czas zaczyna już się kończyć.

- To absolutna, wierutna bzdura, Maurice, i ty też o tym wiesz, kochanie. Nie masz brzucha, masz wszystkie włosy, i sama nie wiem, jak to możliwe, bo pijesz mnóstwo, ale mimo to wyglądasz na najwyżej czterdzieści cztery czy pięć lat, a więc nie wygaduj głupstw.

Musiała powiedzieć coś mniej więcej w tym rodzaju, gdyż przejawiając zamiłowanie, czy to potajemne, czy też nie skrywane, do początkujących emerytów, stałaby się, we własnych oczach, osobą interesującą pod niewłaściwym względem. Ale i tak miło było mi to usłyszeć.

Wkrótce przejechaliśmy przez szosę, obok zapuszczonego i zarośniętego cmentarza, na którym pochowany był Thomas Underhill, i zaczęliśmy wspinać się krętą dróżką, oświetloną ukośnymi promieniami mglistego, popołudniowego słońca, padającymi przez splątane gałęzie topoli. Tuż pod szczytem wzgórza skręciłem na ścieżkę tak wąską, że po obu jej stronach krzaki muskały drzwiczki samochodu. W dwie minuty później znaleźliśmy się na polance,

której brzegi stanowiły wysokie zbocza wzgórza, poszarpana półkolista linia głogów i nagłe wzniesienie terenu pomiędzy nami a szosą. Wyłączyłem silnik.

- Czy to tu?

- Prawie. Obok tych krzaków jest wspaniałe, małe zagłębienie, którego nie widać nawet stąd.

- Czy będziemy tam bezpieczni.

- Nigdy jeszcze nikogo tu nie widziałem. Ścieżka znika gdzieś w tym lesie.

Zanim mogła zastanowić się nad tym albo nad innymi, frapującymi faktami, zacząłem znów ją całować. Jedyna prawdziwa zaleta mody mini polega na tym, że można umieścić dłoń wysoko na kobiecym udzie, nie prowokując oskarżeń o wsadzanie łapy pod spódnice. W pełni skorzystałem z tej możliwości.

Diana zareagowała na to i inne moje posunięcia z entuzjazmem, jakby chciała zademonstrować kontrast wobec swego uprzedniego biernego zachowania. Ale niebawem, w momencie gdy akurat moje usta nie spoczywały na jej ustach, powiedziała z autentyczną ciekawością w głosie:

- Maurice, czy nie sądzisz, że powinniśmy wyjaśnić sobie pewne sprawy?

Nie mogłem wyobrazić sobie żadnych wymagających wyjaśnienia spraw, ani w ogóle żadnych spraw, ale, trochę może nierozgarniętym tonem, powiedziałem:

- Nie myślmy o tym teraz.

- Ale, Maurice, musimy o tym pomyśleć. Musimy.

W pewnym sensie, przedtem ja też tak sądziłem i będę tak uważać potem, ale w tej chwili nie odwiódłoby mnie to od mojego celu. Odwiódła mnie odeń świadomość, niejasna acz silna, że Diana jeszcze nie powiedziała swojego - a raczej nie spytała o swoje - że nic nie zmusi jej do rezygnacji z przewagi, którą w tej chwili daje jej stosunek popytu na nią do podaży, i że w związku z tym niech się wygada teraz, a nie wówczas, kiedy już ją ułożę w zagłębieniu. Przymilność wobec niej, choć retrospektywnie może wydać się obrzydliwa, skróci jednak jej przemowę albo przynajmniej ograniczy przerwy pomiędzy jej poszczególnymi częściami. Cóż, można spróbować.

- Masz, oczywiście, rację - powiedziałem, puszczając ją, chwytając jej dłoń i z odpowiedzialną miną wpatrując się w krzaki. - Jesteśmy dwojgiem dorosłych ludzi. Nie możemy ot, tak sobie, na oślep, rzucić się w coś takiego.

- Maurice.

- Tak? - Mówiłem burkliwym głosem, aby pokazać jej, jak udręczony się czuję.

- Maurice, dlaczego zmieniłeś się tak nagle? W jednej chwili uwodzisz mnie ze

wszystkich sił, a w następnej wycofujesz się i mówisz, że musimy zastanowić się nad tym, co robimy. Chyba nie zmieniłeś zdania, prawda?

- Nie - powiedziałem raczej pośpiesznie - wcale nie, ale chciałaś, żebyśmy coś sobie wyjaśnili, i przypomniałem sobie, że...

- Ale czy jesteś absolutnie pewien, że tego chcesz? - W jej głosie dźwięczała podejrzliwość, i uświadomiłem sobie, jak błędne jest mniemanie, że ci, którzy zazwyczaj mówią nieszczerze, albo dla efektu, albo plotą bzdury, nie są w stanie przyłapać na tym innych. Kiedy powiedziała: - W twoich ustach brzmiało to tak dziwnie - natychmiast pojąłem, o co chodzi: dzisiaj nikt poza nią nie ma prawa wygadywać bzdur.

- Cóż... - powiedziałem, gestykulując wolną ręką - ja tylko...

- Maurice - powiedziała, znów ze swobodą, wpatrując się we mnie szeroko rozwartymi orzechowymi oczyma - czy można stawiać własne szczęście ponad wszystko inne, ponad szczęście innych?

- Być może. Nie wiem.

- Czy nie sądzisz, że jedną z najbardziej charakterystycznych cech naszych czasów jest to, że wszyscy ustanawiają dla siebie własne reguły?

- Jest w tym sporo prawdy.

- Martwi mnie to, czy może to być słuszne. W końcu nie można twierdzić, że jesteśmy tylko zwierzętami, prawda?

- Nie.

- Maurice... czy nie uważasz, że pociąg seksualny jest jedną z najdziwniejszych, najbardziej nieobliczalnych i poprostu zwariowanych rzeczy na świecie?

To dodało mi nieco otuchy. Albo Diana półświadomie zbliżała się do pytania za sześćdziesiąt cztery centy, do ostatecznej bzdury, której wytrzymanie równoznaczne będzie ze zdaniem przeze mnie egzaminu, albo też, po prostu, brakło jej już konceptu.

- Nigdy nie mogłem tego zrozumieć - powiedziałem skromnie.

- Ale zgadzasz się, że ludzie, którzy nie zwracają uwagi na to, co każą im robić ich instynkty, stają się zamknięci w sobie i odcięci od wszystkiego, i w ogóle całkiem paskudni?

Zaczynałem się już czuć, jakbym sam od kilku tygodni nie zwracał uwagi na to, co każą mi robić moje instynkty, i może nawet jakbym już nigdy nie miał na nie zwracać uwagi, ale akurat w tej chwili, jakby chcąc zaakcentować swoją opinię, że źle jest być człowiekiem całkiem paskudnym, Diana z powagą nachyliła się do przodu, i dostrzegłem nagie ciało pomiędzy podstawą wzgórka jej lewej piersi a skrajem miseczki stanika. Całe moje skupienie diabli wzięli; przywołałem je z powrotem w ciągu kilku sekund, lecz w tym czasie zdążyłem



powiedzieć coś w rodzaju: „Tak, no to chodźmy i udowodnijmy, że nie jesteśmy tacy”, i zacząłem otwierać drzwiczki z mojej strony. Złapała mnie za nadgarstek, zaciskając usta i marszcząc brwi. Jeszcze zanim się odezwała, pojąłem, że oto, po pokonaniu kilkunastu krótkich, ale w sumie doprowadzających mnie całkiem blisko celu gry, odcinków, cofnąłem się właśnie w okolicę punktu wyjścia. Jednak i w zwykłych grach, i w tej, w którą grałem z Dianą, są pewne miejsca na planszy, wychodząc z których za jednym rzutem kostką możemy wrócić tam, skąd się cofnęliśmy, a nawet i zawędrować dalej.

- Maurice.

- Tak?

- Maurice... może jeśli dwoje ludzi naprawdę się pożąda, to w pewnym sensie nie jest to złe. Czy naprawdę mnie pożądasz?

- Tak, Dianó, naprawdę cię pożądam. Naprawdę.

Diana znów wpatrzyła się we mnie. Być może myślała, że powiedziałem jej prawdę - a, na Boga, każdy mężczyzna, który nie tylko bez krzyku wysłuchał jej bajdurzenia, ale jeszcze, w razie potrzeby, gotów był na więcej, musiał rzeczywiście pragnąć jej na swój specyficzny sposób. Być może po prostu wypowiedziałem właściwą formułkę z odpowiednio przekonującą miną, objawiając w ten sposób jedynie seksualne dobre maniery. Być może udało mi się wyrazić różnicę pomiędzy pożądaniem kogoś naprawdę a zwykłym pożądaniem kogoś, choć sam nie wiem, na czym miałyby ona polegać. W każdym razie, nic już nie mogło zmusić mnie do cofnięcia się, a przynajmniej tak mi się wydawało.

- Chodźmy się kochać, najdroższy - powiedziała Diana. Nowy problem polegał na tym, jak powstrzymać ją od wypowiedzania zbyt wielu uwag w tym stylu, aż do chwili, gdy nie będzie już miejsca na słowa. Wsiadłem z wozu, obszedłem go dookoła i pomogłem jej wsiąść.

- W czas letni się to działo - powiedziała, rzeczywiście spoglądając w niebo - gdy słońce było ciepłe... \* [\* William Langland: *Widzenie o Piotrze Oraczu*, przełożył Przemysław Mroczkowski.]

- Cóż, nie możemy powiedzieć, że pogoda nam nie sprzyja - wymamrotałem, ciągnąc ją za sobą. Jeszcze jeden taki cytat i erekcja przejdzie mi na dobre. - W radiu przewidywali deszcz po południu, ale na tych ich prognozach nie można polegać, prawda? To tylko zgadywanki. To tutaj.

Zeskoczyłem przed nią do zagłębienia i pomogłem jej pokonać metrową różnicę poziomów. Było tu czysto jak podczas mojego wczorajszego rekonesansu, bez żadnych śladów po romansujących parach. Widocznie mieszkańcy Fareham nie mogli wykrzesać z

siebie energii niezbędnej do romansowania i otępiali popadali w małżeństwo, jak popaść można w długi lub w starcze zniedołężnienie.

- Maurice, na pewno będzie wspaniale, wszystko...

Zamknąłem jej usta pocałunkiem. Jednocześnie skończyłem rozpinać jej koszulę i zatrzasnąć stanika. Pod moim dotykiem jej piersi wydawały się mocne i niemal twarde. Odkrycie to sprawiło, że zacząłem ciągnąć ją ku ziemi. Wyswobodziła się i cofnęła.

- Chcę być naga - powiedziała. - Dla nas muszę być naga.

Zdjęła koszulę, i tym razem wybaczyłem jej literacki styl.

Jeśli rzeczywiście chciała, abym uważał ją za interesującą osobę, a nie tylko udawał, że ją za taką uważam, to teraz zaczynała naprawdę się o to starać. Jak się okazało, jej piersi były nie tylko pełne i twarde, ale i wysoko osadzone i zwieńczone ciężkimi sutkami, choć po chwili spostrzegłem, że Diana jest mimo to osobą drobnej budowy, o smukłych nogach i ciele. W ciągu kilku sekund, jakie zajęło zdejmowanie ubrania, jej twarz zmieniła się - dopiero teraz znikły jej stanowcze, bezpośrednie spojrzenia, rozluźniła się szczęka, oczy i usta, a cała twarz nabrała niemalże ospałego wyrazu podniecenia. Powoli, z odrzuconymi do tyłu ramionami i wciągniętym brzuchem, usiadła na płacie krótkiej murawy i, jakby dopiero teraz mnie dostrzegła, powiedziała:

- Ty też.

Ten nowatorski pomysł niezbyt przypadł mi do gustu. Rozbierającemu się mężczyźnie braknie godności; co więcej, rozebrany mężczyzna pod gołym niebem czuje się zagrożony, i to nie bez powodu. Dla nie wtajemniczonego obserwatora naga kobieta pod gołym niebem może być albo czcicielką słońca, albo ofiarą gwałtu; mężczyzna w tym samym stanie to albo przestępca seksualny, albo zwykły szaleniec. Ale mimo to usłuchałem jej; zresztą powietrze było ciepłe i przyjemne. Diana siedziała i czekała, nie patrząc na mnie, delikatnie i rytmicznie przyciskając wewnętrzne powierzchnie przedramion do boków biustu. Oczywiście musiała być naga nie dla nas, nie mówiąc już o mnie, ale dla siebie samej. Mimo wszystko jednak spodobało mi się to, gdyż osobników dotkniętych narcyzmem nie obchodzi, z definicji, czy inni uważają ich za interesujących, czy też nie. Gdzieś w tym tkwił paradoks, związany z zachowaniem Diany w ubraniu, ale nie miałem teraz czasu na rozmyślenia o nim: zbyt serdecznie zgadzałem się z nią co do ważności jej ciała.

Jak wkrótce stwierdziłem, położywszy się obok niej, najmocniej działały na nią bodźce dochodzące z górnej części ciała. Zresztą za jej preferencjami przemawiały poważne względy seksualne i estetyczne. Twarz kobiety ubranej może być bardzo atrakcyjna, ale twarz kobiety rozebranej staje się znacznie bardziej kusząca; wtedy, a czasami tylko wtedy, staje się ona

najbardziej pociągającą częścią damskiego ciała. Szyja, ramiona i ręce, nie mówiąc już o piersiach, posiadają swoje indywidualne albo przynajmniej osobiste cechy; poniżej talii napotykamy jedynie na przytłaczający brak wszelkich szczegółów i odrobinę prozaicznej anatomii. Przez jakiś czas współpracowałem z Dianą, według jej reguł, przy jej nieograniczonej i nierzadko hałaśliwej aprobacie. Ale w końcu musiała nadejść pora na przyspieszone przejście do anatomii i na brak szczegółów jakiegokolwiek rodzaju. Poziom rozkoszy Diany natychmiast opadł.

W tej chwili (w ostatniej chwili) pojąłem, jaki stoi przede mną wybór. Mogłem powrócić, w miarę możliwości, do czynności, która tak jej przypadła do gustu, jednocześnie niemal - ale nie całkiem - zaprzestając tej, którą rozpocząłem na mój własny rachunek: byłby to seksualny odpowiednik odgrywania sonaty fortepianowej połączonej z jednoczesnym spożyciem talerza kanapek. A mogłem też, bez najmniejszego wysiłku, przestać zwracać uwagę na nią i, co ważniejsze, na siebie. Tego popołudnia pragnąłem tego wyswobodzenia bardziej niż zwykle, ale z drugiej strony jeszcze bardziej chciałem, aby przy pożegnaniu ze mną Diana była zadowolona i wdzięczna - o ile coś takiego w ogóle jest możliwe. Wybrałem więc pierwszą możliwość, nieco nawet ulepszoną, gdyż, metaforycznie mówiąc, zagrałem skomplikowaną kodę, pełną ozdobników i trudnych pasaży w partiach obu rąk, która trwała jeszcze dość długo po zniknięciu ostatniej kanapki. (Zresztą kanapki też były dobre, jak na kanapki.)

Odsunąłem się od Diany na minimalną odległość. Spojrzała na mnie. Była zarumieniona, i wydawało mi się, że dostrzegam nabrzmienie ciała wokół oczu i ust.

- Och, Boże - powiedziała - wspaniałe. Tyle tego było. Chciałabym móc to wszystko zapamiętać. Sama nie wiem, co czułam.

- Byłaś cudowna. Jesteś cudowna.

Uśmiechnęła się i przeniosła wzrok na własne ciało. Niebawem porzuciła swą niedbałą pozę, podciągnęła podbródek, skrzyżowała nogi i wyprostowała się do pozycji półsiedzącej. Kiedy znów na mnie spojrzała, oczy miała szeroko otwarte, niemal bez śladu nabrzmień, rozmytych w tak dobrze mi znanej minie lekkiej obawy i arogancji.

- Maurice - powiedziała po chwili - to było strasz-li-wie wspa-nia-łe. Sama nie wiem, jak... ty to robisz. Czy tobie też było dobrze? Zasłużyłeś na to, żeby było ci dobrze.

- Było mi doskonale.

Znów objąłem ją i pobieżnie powtórzyłem kilka zagadnień, które uprzednio potraktowałem bardziej wyczerpująco, tym razem jednak podchodząc do nich w duchu wyniosłego niezaangażowania, chcąc jedynie podkreślić zasadniczą stałość mojego stosunku do jej wdzięków. Po kilku minutach powiedziałem:

- Diana.

- Tak?

- Diano, czy byłaś już kiedyś w łóżku z więcej niż jedną osobą? To znaczy jednocześnie.

- Maurice, słowo daję... Cóż, byłam, jeśli chcesz wiedzieć. Bardzo dawno temu. Zanim jeszcze poznałam Jacka.

- Czy podobało ci się to? To chyba byli dwaj mężczyźni, prawda?

- Maurice... Tak, to byli dwaj mężczyźni. O ile można nazwać ich mężczyznami. Myślałam, że chodzi im o mnie, ale w rzeczywistości byli zainteresowani tylko sobą. Każdy po kolei musiał być w środku, i chcieli, żebym robiła różne nieprzyjemne rzeczy. Śmiertelnie mnie to znudziło i w końcu po prostu zostawiłam ich samych. To było absolutnie okropne. Ale...

- Na pewno było to okropne. Ale byłoby zupełnie inaczej, gdybyś...

- Mówisz o sobie i o Joyce.

- No, tak. Ona zawsze...

- Maurice, wiem, że często cię denerwuję, ale, proszę, nie pogniewaj się na mnie, jeśli cię o coś spytam. Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł? To wszystko jest tak dziwnie niepotrzebne. Czy może rzeczywiście się starzejesz? Chciałabym cię jeszcze o coś zapytać. Mogę?

- Strzelaj.

- Hm... jak często kochasz się z Joyce? Mniej więcej?

- Nie wiem. Może raz na tydzień. Czasami nawet rzadziej.

- A widzisz. Chciałbyś upikantnić to sobie w obrzydliwy sposób. Masz piękną, młodą żonę, która cię absolutnie ubóstwia, ale musisz jeszcze dostawiać się do mnie, i nawet to ci nie wystarcza. Wiesz, to jest jak wysokie buty i przezroczysta bielizna, i wiązanie, i tak dalej.

- Przepraszam, Diano. Zapomnijmy o tym. Pomyliłem się. Myślałem, że jesteś osobą, którą można o to spytać. Przepraszam.

- To znaczy, jaką osobą?

- No cóż, żądną nowych przeżyć, nowych wrażeń. Kimś, kto chce... rozszerzyć swą świadomość. - Jej głowa spoczywała bezpiecznie na moim ramieniu, i nie mogła spojrzeć mi w oczy. - Kimś, kto interesuje się wszystkim, a także jest interesujący narozne...

- Maurice, kto powiedział, że mnie to nie interesuje? Po prostu zafascynował mnie problem twoich motywacji. W końcu tylko o to cię pytałam, prawda?

- Przepraszam, tak, masz rację. Oczywiście. I, wiesz, tym razem nie będzie tak, jak z tymi dwoma facetami. Robię właśnie to, co ty uwielbiasz, prawda? - W tym momencie zrobiłem

czynną aluzję do mych słów. - Prawda, kochanie?

- Och, tak. Tak, to prawda.

- A Joyce uważa, że jesteś najbardziej zadziwiająca istotą, jaką kiedykolwiek...

- Naprawdę? Co takiego ona mówi?

- Och, że kiedy na ciebie patrzy, to rozumie, na czym polega miłość lesbijska, i że chciałyby się przekonać, czy twoja figura jest autentyczna, i tak dalej. I, wiesz, Diano kochana, byłabyś całkowitym ogniskiem uwagi. W końcu Joyce i ja zdążyliśmy się już do siebie przyzwyczaić, ale przy tobie oboje...

- Czy wspomniałeś jej o tym?

- Jeszcze nie.

- No to nic jej nie mów, dopóki znów o tym nie porozmawiamy. Maurice...

- Tak?

- Co jeszcze Joyce mówi o mnie?

Zaprezentowałem jej jeszcze kilka przesadzonych albo zmyślonych cytatów - Joyce rzeczywiście podziwiała urodę Diany, ale nic nie wiedziałem o miłosnym aspekcie jej podziwu, o ile coś takiego w ogóle istniało. To, co powiedziałem, było niezbyt oryginalne, ale poskutkowało. Diana zaczęła głęboko oddychać, unosić i opuszczać ramiona. Przystąpiłem do akcji.

Nieco później, całkowicie ubrany, napawając się ulgą, jaką każdemu cudzołożnikowi daje powrót do tego stanu, na polecenie Diany, żeby zniknąć na pięć minut, wydostałem się z zagłębienia, o którym do tej pory jakoś nie pomyślałem jako o miejscu z prawdziwego zdarzenia. Nawet krzyżujące się wzorki odbić źdźbeł trawy, które zauważyłem, ubierając się, na przedramionach i kolanach, nie skojarzyły mi się z tym, że naprawdę leżeliśmy na trawie i wśród trawy, a otaczający nas widok, głogi, piaszczyste, upstrzone kamieniami brzegi zagłębienia i odległe drzewa - wszystko to znajdowało się gdzieś na skraju nieistnienia. Teraz, w przyćmionym świetle padającym z zakrytego chmurami nieba, znalazło się to na należytych miejscu. Ruszyłem ścieżką w stronę lasu, w którym się gubiła. Powietrze było gęste i parne, bez najmniejszego powiewu wiatru. Przeszedłszy około stu metrów, skręciłem w stronę drogi, po pierwsze po to, aby się wysuszyć, a po drugie po to, aby dla zwykłego zabicia czasu ustalić, gdzie właściwie jestem w odniesieniu do mojego domu. Ruszyłem ku grzbietowi wzgórza, okrążając obszar gęściej zarośnięty, głównie dębem i jesionem, z odrobiną ostrokrzewu, leszczyny i czarnego bzu, zapewne zagajnik, który można było dostrzec z frontowych okien budynku; nigdy jeszcze tak daleko nie zawędrowałem.

Droga nie była łatwa; napotykałem na śliskie kępy trawy, rozpadające się grudy ziemi i

gdzieniegdzie jamy głębokie na stopę albo i więcej. W miarę jak zbliżałem się do szczytu wzgórza, mogłem dostrzec smukłe zwieńczenia kominów „Zielonego Człowieka”, wpadnięte dachówki i wreszcie główny korpus budynku oraz pomieszczenia gospodarcze. Oficynę z pokojami dla gości zakrywała bryła właściwego budynku. Gdy tak stałem, niewątpliwie niewidoczny na tle ściany zбочa pnącego się jeszcze za mną, zobaczyłem samochód, zbliżający się i wjeżdżający na dziedziniec (może była to wycieczka z Cambridge, która wczoraj zamówiła telefonicznie stół), a potem człowieka, stojącego przy jednym z okien sali restauracyjnej i patrzącego mniej więcej w moją stronę. Ktokolwiek to był - prawdopodobnie jakiś kelner, chwilowo nie zajęty zastawianiem stołów - raczej nie mógł mnie spostrzec, ale wołałem nie ryzykować bez potrzeby. Cofnąłem się, chcąc wrócić po własnych śladach, i zauważyłem zarośniętą ścieżynkę, wiodącą w stronę ścieżki, którą przyszedłem. Była ona o kilkadziesiąt metrów dłuższa od poprzedniej trasy, ale wołałem ją od gramolenia się i potykania, które wciąż jeszcze czułem całym ciałem. Ruszyłem ścieżynką.

Natychmiast poczułem wielki, prawdziwy strach. Z początku - o ile można tak się wyrazić - nie przeraziło mnie to. Dobrze znam stan nieuzasadnionego strachu, z pozornie nieprzewidywalnym nadejściem typowych symptomów, od przyspieszonego tętna i oddechu po świerzbiecie karku i potylicy, nagłe obfite pocenie i przemożne pragnienie krzyczenia na głos. Ale potem moje serce potknęło się w swym ruchu i zaczęło drzeć, a symptomy strachu, same w sobie jedynie bardzo nieprzyjemne, przyniosły rzeczywisty strach. Zatrzymałem się na ścieżnce. Jeszcze przez kilka sekund zastanawiałem się, czy naprawdę umieram, ale po chwili zrozumiałem, że to, co się ma stać, dzieje się poza mną. Nie miałem pojęcia, co to będzie i gdzie się wydarzy. Będzie to z pewnością coś przerażającego; coś potwornego, tak potwornego, że sam ten fakt, samo zajście tego wydarzenia, trudniej będzie mi znieść niż jakiegokolwiek zagrożenie, jakie może ono stanowić dla mojej osoby. Moja głowa zaczęła trząść się niepohamowanie. Usłyszałem, albo wydawało mi się, iż słyszę, szeleszczący dźwięk, jakby wiatru wiejącego przez trawę, zobaczyłem, na pewno zobaczyłem, jak bluszcz porastający niedaleki dąb drży i porusza listowiem na wszystkie strony, jakby na wietrze, ale przecież nie było wiatru. Tuż za drzewem spostrzegłem jakiś cień poruszający się w zaroślach, ale wiedziałem, że w tym lesie nikogo nie ma i że nawet słońce nie świeci. To właśnie w to miejsce wpatrywał się duch Underhilla i tutaj znajdowało się to, co go przerażało. Z ostrym trzaskiem oderwał się od łodygi jeden z liści dużej paproci rosnącej przy ścieżce i, jak niesiony szkwałem, zwijając się konwulsyjnie, poszybował w stronę tego punktu w zaroślach, gdzie przed chwilą widziałem poruszający się cień. Nie sprawdzałem już, czy ten cień wciąż tam jest, lecz na złamanie karku popędziłem ścieżynką przez las, na

ścieżkę, którą przyszedłem, i wreszcie do Diany, spokojnie siedzącej na skraju zagłębienia i palącej papierosa.

Słyszając, że się zbliżam, obróciła głowę z wdziękiem, który wyparował bez śladu, gdy mnie zobaczyła.

- Co się stało? Dlaczego tak pędzisz? Jesteś...

- Chodź - wysapałem. Chyba krzyknąłem to słowo.

- Co się stało? Źle się czujesz? Co się stało?

- Wszystko w porządku. Musimy jechać. W tej chwili. Diana miała minę jedynie zaniepokojoną, kiedy ja wsiadałem do samochodu, cofałem i obracałem go niezręcznie i jak najszybciej ruszyłem przez ścieżkę w stronę drogi. Na niej skręciłem tak, aby oddalić się od wioski. Przejechawszy około mili, znalazłem pastwisko z otwartą bramą i zaparkowałem półciężarówkę tuż za nią. Wrócił mi już równy oddech i przestałem się trząść, od chwili opuszczenia tamtego lasu bałem się jedynie retrospektywnie. Ale bałem się nadal. Otworzyłem schowek na desce rozdzielczej - tak, była w nim mała butelka whisky, prawie pełna. Przelotnie zauważyłem, że pomyślałem o tym, aby ze względów smakowych domieszać do niej nieco wody. Wypiłem całą butelkę.

Uświadomiłem sobie, że będę musiał powiedzieć coś Dianie, która siedziała obok mnie, nienaturalnie cicho, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Zacząłem mówić, w nadziei, że słowa podsuną mi jakiś pomysł.

- Przepraszam. Nagle poczułem się absolutnie straszliwie. Musiałem uciec stamtąd. Nie wiem, co to było, po prostu poczułem się paskudnie.

- To znaczy, źle?

- Niezupełnie. Nie czułem się chory. Po prostu... Nie, chyba nie mogę tego opisać. To musiały być jakieś sprawy neurotyczne. Tak czy tak, już po wszystkim, Maurice. - Tym razem w jej głosie brzmiała niepewność co do tego, co ma nastąpić po tym roboczym haśle wywoławczym.

- Tak, Diano?

- Maurice... powiedz mi szczerze jedną rzecz. Nie chcesz chyba w ten sposób dać mi do zrozumienia, że nie masz już zamiaru zadawać się więcej ze mną w tych sprawach, prawda?

- Źe co? O co ci chodzi?

- No, mogłeś pomyśleć sobie, że źle się czujesz, że masz wyrzuty sumienia i tak dalej, i dlatego zebrałeś to wszystko razem i udawałeś, że masz zawroty głowy, chcąc w ten sposób pokazać, że masz już dość. - Niepewność zdążyła zniknąć z jej głosu. - Bo tak naprawdę to chyba chodzi ci o to, że, na przykład, nie zrobiłam dla ciebie czegoś, co lubisz.

I to wszystko, pomyślałem, przechodzi przez gardło kobiecie, która zaledwie trzy minuty temu okazywała wszelkie oznaki autentycznej troski o inną osobę.

- O Boże, nie. Słowo ci daję, że się mylisz.

- Bo jeśli sobie myślisz, że nie jestem dla ciebie dość dobra, to lepiej powiedz to od razu.

- Jeśli tego się obawiasz - powiedziałem z wściekłością - to chyba dlatego, że to ja nie jestem dla ciebie dość dobry, cokolwiek bym zrobił. Czy wydaje ci się, że codziennie kocham się w taki sposób?

Zamrugła i przez moment poruszała ustami i ramionami, sugerując tym, iż przeżywa wewnętrzny konflikt. Wreszcie uśmiechnęła się i dotknęła mej dłoni.

- Przepraszam, Maurice. Ogarnęła mnie raptownie straszna panika. Wymyśliłam sobie jakoś, że nie podobam ci się. Poczułam się przeraźliwie niepewna. Wiesz, tak to bywa z kobietami. Cóż, przynajmniej z niektórymi kobietami. Naprawdę, nie mogłam nic na to poradzić.

Pocałowałem ją.

- Rozumiem - powiedziałem szczerze. - Ale tam... było ci wspaniale, prawda?

- Mm. Wspaniale. - Widocznie teraz, kiedy przywróciła swój monopol na wrażliwość, uważała, że może pozwolić sobie na wylewność. - Absolutnie wspaniale.

- Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co Joyce i ja dla ciebie zrobimy, zapewniam cię.

- Maurice, jesteś naprawdę niesamowity. W jednej chwili prawie mdlejesz, a w następnej kontynuujesz namawianie mnie na orgię z tobą. Dlaczego jesteś tak niewiarygodnie nieobliczalny?

W drodze powrotnej wysunąłem parę teorii na temat mojej nieobliczalności, przez cały czas sugerując, że poza właściwymi powodami kluczową rolę odgrywa tu także atrakcyjność Diany i moja nią fascynacja. Umówiłem się z nią na jutro, w tym samym miejscu i o tej samej porze, kazałem jej obiecać, że przemyśli projekt orgii (byłem całkiem pewien, że już się na nią zgodziła, ale przyznając się do tego już teraz, mogłaby zrobić wrażenie osoby aż za bardzo zainteresowanej), wysadziłem ją na rogu i pojechałem po moje warzywa i owoce.

Ta ostatnia czynność zajęła mi niecałe trzy kwadranse, a trwałaby o połowę krócej, gdyby nie opieszałość obu rolników, do których się udałem. Starszy z nich zachowywał się tak, jakbym przyjechał kupować jego córki, a nie sałatę i pomidory; młodszy, którego górne siekacze spoczywały poziomo na dolnej wardze i który raczej śmierdział, potraktował mnie jak carskiego poborcę podatków. Przez cały czas moje seksualne rozradowanie zakłócały nieproszone wspomnienia tego, co zdarzyło się w lesie, i świadomość, że myśląc przez cały



dzień tak niewiele, jak tylko było można, o moim ojcu, zachowywałem się wobec niego źle. Ból w plecach starał się dodatkowo przechylić szalę na niewłaściwą stronę, nawiedzając mnie wyjątkowo silnym i stanowczym kluciem.

Zanim zdążyłem wjechać półciężarówką na dziedziniec „Zielonego Człowieka” i posłać po Ramona, który miał ją rozładować, było już dwadzieścia po szóstej i moje myśli skupiły się na picciu. Wypiłem dużą szklankę - tylko jedną, bo nie osuszyłem jej do dna, a wciąż dolewałem alkoholu do poziomu jeszcze wyższego niż poprzednio - biorąc prysznic i zakładając wieczorowy strój. Potem zjrzałem do Amy, która oglądała w telewizji program publicystyczny o ubezpieczeniach dla właścicieli domków jednorodzinnych i była chyba jeszcze bardziej małomówna niż zazwyczaj. Brak mojego ojca niemile skrócił tę część rozkładu dnia. Zamieniłem parę słów z Davidem Palmerem i tuż po siódmej dołączyłem do Nicka, Lucy i Joyce w barze, z niemiłą perspektywą oczekujących mnie jeszcze kilku godzin pracy. Napiliśmy się (przerzuciłem się na sherry, mój standardowy napój o tej porze dnia w miejscach publicznych) i niebawem trzeba było zacząć pomagać pierwszym gościom w wyborze potraw.

Nie miałem z tym żadnych trudności, a przynajmniej żadne nie utkwily mi w pamięci. Dotarłszy jednak do trzeciego czy może czwartego stolika, stwierdziłem, że zaczynam napotykać ten sam problem, którego nie mogłem rozwiązać rano po powrocie z Baldock: nadal mówiłem spójnie, ale nie byłem w stanie przypomnieć sobie nawet w najmglistszym zarysie tego, co powiedziałem przed chwilą. Pewną pomocą służył mi bloczek z zamówieniami, choć kilka razy nie mogłem po prostu zdecydować się, co na nim zapisać. Bar niemal całkowicie opustoszał. Ci, którzy przybyli tu na wczesną kolację, albo przenieśli się do sali restauracyjnej, albo, na sam mój widok, uciekli frontowymi drzwiami. Po chwili powiedziałem do Davida, że dobrze by było zajrzeć teraz do kuchni. W odpowiedzi usłyszałem, że jest to oczywiście znakomity pomysł, ale może lepiej byłoby przesunąć jego realizację na później i nie wcielać go w czyn teraz, tuż po poprzedniej inspekcji. Zastanawiałem się, jaki interwał czasu oznaczało owo „tuż po”, i czy zaglądając do kuchni powiedziałem coś godnego uwagi, czy to ze względu na dowcip, czy też na dogłębne zrozumienie doli człowieka. Mina Dawida nie ułatwiała mi rozwiązania tej zagadki. Swoim specjalnym, wzbudzającym zaufanie głosem powiedział:

- Panie Allington, może ja już dopilnuję wszystkiego przez resztę wieczoru? Mamy na dziś tylko kilka późnych rezerwacji, a pan na pewno miał męczący dzień, a i tak miałem przejąć dowodzenie o dziesiątej. I przedwczoraj sam pan powiedział, że powinienem więcej pracować bez nadzoru.

- Dziękuję, David, ale chyba jeszcze przez moment tu zostanę. Pamiętaj, że profesor Burgess zarezerwował stolik na pół do dziesiątej, a chciałbym zająć się nim osobiście, zwłaszcza po tym straszliwym suflecie, który dostał ostatnio.

Jeśli chodzi o spójność, to uwaga ta raczej nie wyróżniała się spośród wszystkiego, co powiedziałem w ciągu minionych dwudziestu czy czterdziestu minut, ale pamiętam jej treść, a nawet poprzedzające ją słowa Davida. Oto znów panowałem nad sobą, prawie całkowicie, nie dokonawszy, jak zwykle, niczego w rodzaju snu lub abstynencji, aby na to zasłużyć. Zazwyczaj bywało tak, że znów traciłem kontrolę nad swymi poczynaniami, nie robiąc nic, aby i na to zasłużyć, przeprowadziłem więc krótki, acz gwałtowny atak na wystawione przez Freda na kontuarze krakersy, nadziewane oliwki i ser, obiecałem sobie, że nie będę już pić aż do rozpoczęcia kolacji. David dostrzegł widocznie, że lepiej sobie radzę, i po chwili zniknął.

Burgess, karykatura uczonego, wkrótce zjawił się wraz z żoną, także karykaturą sawantki, choć czyściej naukowego, może bardziej germańskiego typu. Przywieźli ze sobą kilku przyjaciół, których erudycja nie rzucała się już tak bardzo w oczy. Tak jak oczekiwałem, wszyscy zażądali głuszca - pierwszego tegorocznego głuszca, który zdążył dostatecznie kruszeć - a do niego kilku butelek Château Lafite 1955, które trzymam pod ladą dla paru gości w rodzaju starego Burgessa, na przystawki - naszego wspaniałego firmowego pasztetu z łososia. Osobiście wprowadziłem ich do sali restauracyjnej; główny kelner, uprzedzony zawczasu, czekał przy drzwiach. Sala, raczej niska i zapełniona jedynie w połowie, wyglądała przyjemnie i przytulnie ze swymi świecami, wypolerowanym srebrem, dębem i ciemnobłękitną skórą; było też w niej znacznie chłodniej niż w barze. Widok i dźwięk tylu ludzi jedzących i rozmawiających zbił mnie nieco z pantafyku, choć odbywało się tu też picie: za mało jednak, jak na moje wymagania, które trudno jest zaspokoić.

Usadziwszy Burgessów i ich przyjaciół, chciałem obejść inne stoliki, ale wtedy właśnie spostrzegłem stojącego przy oknie mężczyznę, być może wyglądającego na dwór przez szparę w zasłonach, choć wydawało mi się, że do tego stoi w nieco niewłaściwym miejscu. Byłem święcie przekonany, że nie było go tam, kiedy wszedłem do sali. Przez chwilę myślałem, że jest to gość zatroskany, na przykład, reflektorami swojego samochodu. Potem, gdy już odruch oberżysty kazał mi ruszyć ku niemu krokiem osoby narzucającej się z pomocą, dostrzegłem, że człowiek ten ma na sobie krótką, szarą perukę i czarną togę z białymi wstęgami u szyi. Teraz byłem już o niecałe dwa metry od niego. Zatrzymałem się.

- Doktorze Underhill?

To nieprawda, że zdarza nam się powiedzieć coś tak całkowicie mimo woli, że nawet przez moment nie zdajemy sobie sprawy, że to my właśnie coś powiedzieliśmy. Ale ja nie

miałem najmniejszego świadomego zamiaru wypowiedzenia tego nazwiska.

Bez pośpiechu, ale i bez zwłoki, mężczyzna obrócił głowę i ujrzałem jego oczy. Były ciemno piwne, z głęboko pomarszczonymi powiekami, gęstymi dolnymi rzęsami i zaokrąglonymi brwiami. Zobaczyłem też bladą cerę człowieka spędzającego życie w domu, upstrzoną nedorzecznymi licznymi popękkanymi żyłkami, szerokie czoło, długi, przekrzywiony nos i usta, które być może w innej twarzy nazwałbym wesołymi, o ostro zarysowanych wargach. Potem, a raczej w tym samym momencie, doktor Underhill rozpoznał mnie. Po chwili uśmiechnął się. Był to uśmiech, którym sadysta może przywitać kogoś niżej od siebie stojącego, gotowego pomóc mu w prześladowaniu jakiejś bezbronnej, trzeciej osoby. Była też w nim pewna groźba, jakby w wyniku jakiegokolwiek opieszałości w prześladowaniu współnik sam miał stać się ofiarą.

Odwróciłem się do najbliższego stolika, przy którym siedziała grupa trzech młodych adwokatów z Londynu z żonami, i głośno powiedziałem:

- Czy widzisz go? Mężczyzna w czerni... Tam jest, tam... Kiedy się obejrzałem, Underhilla już nie było. Poczulem wielkie zmęczenie i irytację, bo tak łatwo można było to przewidzieć. Przez moment idiotycznie mamrotałem o tym, że jeszcze przed chwilą tu był i że na pewno musieli go zobaczyć, aż uświadomiłem sobie, że nie mogę utrzymać się na nogach. W tym momencie moje serce zachowywało się całkowicie spokojnie, nie czułem nudności ani zawrotów głowy, a jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mi się zemdleć; po prostu nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Ktoś - główny kelner - pochwycił mnie. Usłyszałem zaniepokojone głosy i dźwięki zamieszania i powstawania. Natychmiast, jakby znikąd, pojawił się David. Objął mnie ramieniem, ostro kazał przyprowadzić z baru moją żonę i syna, i skierował mnie do holu. Tam usadził mnie w prostym krześle z czasów regencji, obok kominka, i zaczął rozpinać mi kołnierzyk, ale powstrzymałem go.

- Wszystko w porządku, David, słowo daję. To tylko... to nic.

Nick zapytał:

- Co się stało, tato? - a Joyce powiedziała: - Zadzwońię po Jacka.

- Nie, proszę. To niepotrzebne. Po prostu nagle zakręciło mi się w głowie. Chyba wypilem więcej, niż myślałem. Już czuję się lepiej.

- Dokąd chciałby pan iść, panie Allington? Czy da pan radę wejść po schodach, jeśli panu pomogę?

- Nie zadawaj sobie trudu, chyba sam sobie poradzę. - Wstałem, całkiem opanowany, i zobaczyłem, że patrzą na mnie ludzie z sali restauracyjnej, z baru i z innych miejsc.

- Mógłbyś powiedzieć wszystkim zainteresowanym, że niedawno przeżyłem wielki szok

albo jakieś głupotki w tym rodzaju? Tak czy tak, wszyscy pomyślą, że jestem pijany jak bela, ale chyba możemy w miarę możliwości zachować pozory.

- Jestem pewien, że bardzo niewielu ludzi tak pomyśli, panie Allington.

- Och, no i co z tego? Ja już idę. Nie przejmuj się, David. Zawiadam mnie, gdyby Ramón zaczął wariować z tasakiem, ale poza tym aż do rana składam zajazd w twoje ręce. Dobranoc.

Raczej skrępowani, zasiedliśmy w czwórce w saloniku, nazwanym tak przez mojego poprzednika, choć panująca w nim ciasnota i nie złagodzona niczym symetria sprawiały, że dla mnie była to jedynie bawialnia lub przedpokój. Nigdy nie starałem się za bardzo uprzyjemnić tego pomieszczenia, uznałem je raczej za skład co mniej atrakcyjnych mebli i kilku posążków, które zaczęły działać mi na nerwy, portretowego popiersia wczesnowiktoriańskiego duchownego i kobiecego aktu w jakimś bladym drewnie o marnie modernistycznej tendencji, który kupiłem w Cambridge po obfitym obiedzie w Garden House i którego jakoś nie chciało mi się usunąć z domu. Zdaje mi się, że tylko mój ojciec lubił ten pokój, albo przynajmniej używał go regularnie. Tutaj jednak mogliśmy mieć spokój.

Opowiedziałem im o tym, co zobaczyłem. Nick przyglądał mi się z wielkim zainteresowaniem, Joyce z zainteresowaniem, Lucy z czujną odpowiedzialnością, jakby brała udział w ogólnokrajowych badaniach pijaków, którzy widują duchy. W połowie opowieści poprosiłem Nicka o przyniesienie mi małej whisky z wodą. Opierał się, ale zdołałem go przymusić.

Słuchając mnie, Joyce wyzbyła się swojej zainteresowanej miny. Kiedy skończyłem, powiedziała:

- Brzmi to trochę jak *delirium tremens*, prawda? - owym zaangażowanym tonem, którym omawiała szansę mojego ojca na przeżycie bieżącego roku, a raz także ewentualny związek skrytości Amy z niedorozwojem umysłowym.

- Jezu, co za pomysł - powiedział Nick.

- Co w tym takiego strasznego? Jeśli tylko o to chodzi, to możemy się z tym uporać. W końcu to nie obłąd.

Nick zwrócił się do Lucy.

- Myślałem, że *delirium tremens* to małe zwierzątka i tak dalej.

- Zazwyczaj tak - powiedziała rzeczowo Lucy. - W każdym razie rzeczy absolutnie nierzeczywiste. Nie można za taką uznać uśmiechniętego mężczyzny.

Sprawiło mi to pewną ulgę, choć wolałbym, żeby nie traktowała tego, co zobaczyłem, na równi z brudnym kołnierzykiem jednego z kelnerów.

- Dobrze - powiedziałem - a więc, co to było?

Nick zacisnął usta i z powagą pokręcił głową.

- Tato, byłeś zalany. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale kiedy rozmawiałeś z nami w barze tuż przed tą wizją, miałeś typowo pijacki monotony głos.

- Teraz nie jestem zalany.

- Rzeczywiście nie, ale w tym czasie doznałeś szoku, a to zazwyczaj otrzeźwia. Ale przedtem byłeś zalany. Och, mówiłeś całkiem do rzeczy, ale znam cię przecież i zwróciłem uwagę na ton twojego głosu i wyraz oczu.

- Ale potem wytrzeźwiałem. Rozmawiałem z Davidem... Słuchaj, Nick, idź na dół i zapytaj profesora Burgessa. On ci powie, czy byłem trzeźwy. Idź do niego.

- Och, t a t o . Jak mogę pytać go o takie rzeczy?

- No, to idź na dół, złap Davida i poszukajcie kilku stałych klientów, David ci ich wskaże, poproście ich na stronę i zapytajcie, czy widzieli kogoś przy oknie. Opisałem jego wygląd i będą...

- Jezu, t a t o ... Daj sobie z tym spokój. Naprawdę, szczerze ci radzę. Już i tak na dole wszyscy plotkują. Nie dolewaj oliwy do ognia. Nie chcesz chyba, żeby wszyscy opowiadali, że oberżysta z „Zielonego Człowieka” podobno widuje różne rzeczy. Nie gniewaj się na mnie, w końcu mówię to w gronie rodziny, ale przecież wszyscy wiedzą, że lubisz zaglądać do kieliszka. A tak czy tak, nikt niczego nie pamięta, nawet jeśli kogoś widzieli, to nie zwrócili na to uwagi. N a p r a w d ę , dajmy już sobie spokój.

- Nick, idź i poproś tu Davida.

- Nie. - Twarz Nicka przybrała wyraz zdecydowania, znany mi już od kilkunastu lat. - To na nic, tato. Nic z tego nie wyjdzie.

Zapadła cisza. Joyce podciągnęła pod siebie nogi i poprawiła włosy, nie patrząc na nikogo. Lucy wyjęła mentolowego papierosa i pstryknęła zapalniczką.

- Co o tym myślisz? - zapytałem ją bez entuzjazmu.

- Oczywiście nie będziemy badać tej sprawy. Wiemy, że to na nic. W zasadzie zgadzam się z Nickiem. To znaczy uważam, że żyłeś w pewnym napięciu, myślałeś dużo o duchach, znasz opowieści o tym całym Underhillu, działanie twojego umysłu było, że tak powiem, zakłócone przez alkohol, a światło w sali restauracyjnej jest przyćmione, zwłaszcza przy oknie. Mogę uwierzyć w to, że ktoś naprawdę tam stał, ale był to jakiś prawdziwy człowiek, kelner albo jakiś klient. Tak jak przedtem, wziąłeś go za ducha.

- Ale peruka i ubranie...

- To było tylko przywidzenie.

- Ale on mnie rozpoznał i uśmiechnął się do mnie.

- Oczywiście. Byłeś jego szefem albo gospodarzem, i nieco zbiliś go z tropu, myląc z kimś innym.

- On zniknął. Kiedy...

- Poszedł sobie.

Znów zapadła cisza, zmacona tylko wejściem do mieszkania Magdaleny, która udała się do jadalni. Bardzo chciałem opowiedzieć im o tym, co zdarzyło się w lesie, choćby tylko po to, aby podważyć ścisłą logikę Lucy, ale nie mogłem wymyślić żadnego niewinnego powodu mojej tam obecności, a zresztą wtedy też byłem pod wpływem napięcia, alkoholu itd.

- A więc wymyśliłem to sobie - powiedziałem, dopijając whisky.

- Tak uważam - rzekła Lucy - ale tylko tak u w a ż a m . Łatwo można by dowieść, że się mylę.

- Och, czyżby? W jaki sposób?

- Na przykład, gdyby jutro albo kiedykolwiek ktoś inny zobaczył to, co ty widzisz - choć chyba nie muszę dodawać, że jeśli nikt inny nie widzi tego, co ty, nie świadczy to o tym, że ty tego nie widzisz - albo gdyby duch przekazał ci wiadomość, której nie mógłbyś poznać z żadnego innego źródła, chociaż to nie byłby właściwie dowód, ale coś, co poważnie by mnie przekonało.

- Wiadomość jakiego rodzaju?

- Cóż, gdybyś, powiedzmy, zobaczył, jak duch przechodzi przez ścianę, w miejscu, gdzie kiedyś były, na przykład, drzwi, a potem stwierdziłbyś, że rzeczywiście są tam ślady po zamurowanych drzwiach, o czym nie mógłbyś się dowiedzieć bez pomocy ducha. Coś w tym stylu - coś ukrytego w książce albo pod boazerią, o czym nikt nie wiedział, coś takiego na pewno by mnie przekonało.

Joyce powiedziała: - Muszę iść dopilnować Magdaleny - i wyszła z pokoju. Nick mruczał coś po cichu i kołysał się na krześle.

- Och, to wszystko bzdury, kochanie - mówił. - Co z tego, że coś tam by cię przekonało? Daj mu już spokój i zapomnijmy o tym wszystkim. Przepraszam, tato, wiem, że nadal tu jesteś. Nikt nie chce widzieć duchów ani myśleć, że je widzi, ani mieć z nimi do czynienia. Nic dobrego nie może z tego wyniknąć nawet jeśli to tylko przywidzenia - wtedy sprawy stoją jeszcze gorzej. Jak już powiedziałem, tato, zostawmy to w spokoju. Jeśli to tylko przywidzenia, to nie ma o czym mówić. A jeśli coś w tym jest, to nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby się tym zajmować.

Kładąc dłonie na kolanach, Lucy westchnęła po nauczycielsku.

- Duchy nie mogą skrzywdzić ludzi. Duchów nie ma, jak już wyjaśniłam.

- Babranie się w takich rzeczach może doprowadzić do, hm, poważnych stanów lękowych.

- To zależy od poszczególnych osób. Duch nie może doprowadzić nikogo do obłądu, tak jak nie może tego dokonać człowiek. Ludzie wariują dlatego, że mają w sobie samych predyspozycje do tego.

Nie patrząc, wiedziałem, że Nick wykrzywia się do swojej żony. Oboje milczeli. Powiedziałem, że pójde położyć się na godzinkę, a potem wróce chyba jeszcze na ostatnią szklaneczkę lub dwie i krótką pogawędkę na dobranoc, jeśli ktoś będzie miał na to ochotę. W korytarzu wpadłem na Joyce.

- Kolacja gotowa - powiedziała. - Właśnie idę...

- Nie będę jadł, dziękuję.

- Powinieneś coś zjeść. - W jej głosie brakło przekonania.

- Nie jestem głodny. Może potem zjem kawałek sera.

- Dobrze. Dokąd teraz idziesz?

- Zdrzemnę się trochę.

- A potem zbudzisz się akurat wtedy, kiedy ja będę szła spać, i pójdziesz pogadać z Nickiem, a potem będziesz siedział sam z butelką do drugiej w nocy, a jutro zobaczymy się przy obiedzie i potem wieczorem w barze, gdzie będzie mnóstwo ludzi, i tak dalej, całkiem jak dzisiaj i wczoraj, i właśnie to będziemy jutro robić.

Jak na Joyce, była to całkiem długa przemowa, i do tego pełna niezadowolenia. Postanowiłem, że nie zapytam, o co jej chodzi, i zamiast tego powiedziałem:

- Wiem. Przepraszam, kochanie. O tej porze roku zawsze mam dużo pracy.

- O każdej porze roku masz dużo pracy. To nie znaczy, że nie możemy się już widywać.

Pomyślałem, że ślicznie wygląda oparta o ścianę korytarza tuż obok jednej z moich myśliwskich rycin - ładniejsza nawet od Diany, z pełnym, ale pięknie proporcjonalnym ciałem wyeksponowanym przez błękitną jedwabną suknię, ze złotymi włosami gładko upiętymi i odsłaniającymi kształtne uszy.

- Wiem - powiedziałem.

- No to zrób coś. Jestem twoją współpracowniczką w interesach, gospodynią i macochą Amy, i niczym poza tym.

- Czyżby? Kochamy się też ze sobą, prawda?

- Czasami. Ale wielu mężczyzn kocha się ze swoimi gospodyniami.

- Muszę powiedzieć, że nie zauważyłem, żebyś bardzo czynnie wypełniała rolę macochy.

- Sama nie dam rady. Ty i Amy musicie mi pomóc, a żadne z was nie ma na to ochoty.

- Nie sędę, żeby właśnie dzisiaj był właściwy moment na...

- Właśnie dzisiaj powinniśmy o tym porozmawiać. Jeśli nie masz mi nic szczególnego do powiedzenia w dzień po śmierci twego ojca, to co musi się stać, żebyś zechciał ze mną porozmawiać? Nie pamiętam, kiedy ostatnio... Nie - powiedziała, chwytając mnie za nadgarstki, gdy zbliżyłem się do niej i spróbowałem ją objąć - to się nie liczy. To nie jest rozmowa.

- Przepraszam. A więc, kiedy chcesz ze mną porozmawiać?

- To my mamy ze sobą rozmawiać, a nie ja z tobą, i żadne umawianie się nie ma sensu. To beznadziejne. Zresztą, teraz i tak nie mamy czasu. Idź i prześpij się. - Minęła mnie i znikła.

Na pewno rozmowa z Joyce będzie niezbędna, pomyślałem, nie tyle po to, aby namówić ją do pójścia do łóżka z Dianą i ze mną, ale jako preambuła do tej konwersacji. Muszę zastanowić się nad tym już jutro rano. Na razie czekała mnie praca (niezbyt wymagająca).

Wszedłem do jadalni, gdzie na stole czekały cztery nakryte garnuszki z zupą, i podszedłem do biblioteczki na lewo od kominka. Trzymam w niej kilkadziesiąt książek o architekturze i rzeźbie i około setki pozbawionych objaśnień tomików standardowych angielskich i francuskich poetów, chronologicznie kończących się na dość zamierzchłym okresie: najmniej odlegli w czasie spośród moich rymotwórców to Mallarme i lord de Tabley \*. [\* John Byrne Leicester Warren, lord de Tabley (1835-1895) - pomniejszy poeta angielski.] Powieściopisarzy nie czytuję, gdyż uważam ich sztukę za niedojrzałą i banalną, niezdolną nawet w swych najlepszych dziełach oddać prawdy o czymś więcej niż zaledwie kilka drobnych okruchów całości świata, który ponoć uważa ona za swoje pole odniesienia. Wystarczy poczuć jakąś emocję, jakąkolwiek emocję, cokolwiek wyodrębnionego, i spędzić minutę na rozważaniach, jak zostałyby to opisane w powieści - i to nie w przeciętnej powieści, lecz w dziele kogoś na miarę Stendhala i Prousta - aby pojąć żalną niezdolność wszelkiej literackiej prozy do wypełnienia postawionego sobie zadania. W porównaniu z literaturą, najskromniejsze dzieła sztuk plastycznych są tryumfami umiejętności portretowania, tak materii, jak i ducha, poezja zaś - przynajmniej poezja liryczna - jest równie oddalona od prozy i od życia, i autonomiczna.

Jednakże książka, po którą przyszedłem, nie należała do żadnej z wymienionych kategorii. Było to potężne dzieło Josepha Thorntona *Przesądy i niezwykle opowieści ludu brytyjskiego*, drugie wydanie z roku 1838. Zdjąłem je z półki, nalałem sobie średniej wielkości whisky (która w barze uszłaby za potrójną) i usiadłem w czerwonym sypialnianym fotelu obitym skórą.



W rozdziale o „Magach i czarnoksiężnikach” Thornton poświęca Underhillowi prawie trzy strony, ale większość tego ustępu dotyczy rzekomych pojawień się Underhilla w nadprzyrodzonej formie w okresie około stu pięćdziesięciu lat po jego śmierci oraz opowieści o owej drugiej istocie, której szeleszczące i trzaskające dźwięki słyszano, gdy obchodziła dom po zmierzchu. Morderstwa i ich reperkusje opisane są mniej wyczerpująco; w braku czasu lub, po prostu, w braku zachowanych dowodów, w odróżnieniu od zwykłych plotek, Thornton nie zdołał połączyć ze sobą w rzeczowy sposób osoby Underhilla i dwóch nie wyjaśnionych zabójstw, i musiał zadowolić się wzmianką o sile i uporze tradycji - pośród mieszkańców Baldock i Royston oraz okolicznych przysiółków - trwającej w opowieściach o człowieku, który posiadał „tajemniczą i nikczemną sztukę” atakowania na odległość osób na tyle zuchwałych, aby krzyżować jego plany, i „sprawiał, iż ofiary jego na strzępy rozdzieranymi były przez ręce do śmiertelników nie należące, tak iż kmiecie nie śmieli przechodzić mimo jego domu, ni dniem, ni nocą, z obawy, by wzrok nieprawego Doktora na nich nie padł i nie znalazł w nich nowych przedmiotów strachu lub nienawiści”.

Samemu nie wiedząc zbyt dobrze, czego szukam, od niechcienia przejrzałem cztery czy pięć długich akapitów, po raz chyba już dwunasty w moim życiu. Potem, pod koniec ustępu, natknąłem się na kilka zdań, których jakoś nie pamiętałem z poprzedniej lektury:

#...Takie oto wypadki towarzyszyły pochówkowi tej niesławnej postaci, bo za taką co najmniej uznać go należy, nie zważając nawet na prawdziwość rozlicznych opowieści o jego czarach. Mienie jego, czy to przez przypadek, czy przez ludzką złośliwość, rozproszonem zostało: większą część jego książek i papierów spotkała zagłada przy pożarze domostwa (dla którego żadnej przyczyny przytoczyć nie mogę) na drugi dzień po jego śmierci; pewien drobny ułamek, na jego własne żądanie, wraz z nim pochowano; fragment dziennika zachował się w bibliotece jego kollegium, Kollegium Wszystkich Świętych w Cambridge.

O tym zabytku powiedzmy jeno, iż nie jest wart trudu studyowania, chyba, że przez tych, których ciekawość w sprawach owego barbarzyńskiego jeszcze wieku wystarczy, aby naturalny wstręt do takiego zadania przemóc.

Wydawało mi się, że w ostatnim zdaniu dostrzegam coś nieco dziwnego. Dlaczego Thornton, zazwyczaj z zapałem przekazujący czytelnikom swój własny entuzjazm, nawet (może zbyt często) zachęcający ich do samodzielnego skonsultowania cytowanych źródeł, miałby wspomnieć o tym urywku dziennika, wymieniając także miejsce, gdzie można go

znaleźć, a potem przestrzec przed podejmowaniem trudu „studyowania” go? Cóż, jutro będę mógł wyjaśnić tę zagadkę. Jeśli na początku dziewiętnastego wieku ów rękopis Underhilla znajdował się w bibliotece Kolegium Wszystkich Świętych, było prawdopodobne, że i dziś można go tam znaleźć. Tak czy tak, rano pojadę do Cambridge i dowiem się, czy tam jest. Sam nie wiem, dlaczego raptem poczułem tak wielką determinację.

Pomiędzy stronami *Przesądów*, opowiadającymi o Underhillu, przechowywałem kilka dotyczących go papierów, które „przejąłem wraz z domem”, głównie niezbyt interesujących wycinków z lokalnej wiktoriańskiej prasy, ale także oświadczenie służącej, pochodzące z wcześniejszego okresu. Dotychczas nie zajmowałem się nim, uznając je za nudne, i nie oglądałem go od czterech czy pięciu lat, ale teraz poczułem, że mogę w nim znaleźć coś ważnego. Rozłożyłem poplamiony, pojedynczy arkusik.

#Ja, Grace Mary Hedger, pokojowa w służbie *WPana Samuela Roxborough*, mając lat xlix, i będąc *Wiary Chrześcijańskiej*, uroczyście zaręczam i oświadczam, iż wczoraj wieczorem, trzeciego dnia Marca, Roku Pańskiego MDCCLX, około godziny v, weszłam do małego salonu [podówczas części obecnej sali restauracyjnej] w moich sprawach, i tam ujrzałam Szlachcica obok okna stojącego. Ze stroju nieco iako strój starożytny. Wielebnego P. *Millinshipa* którego małą dziewczynką będąc widziałam. Jego cera bardzo blada, lecz czerwienią poznaczona, i jego nos długi i nabok zwrócony, i jego usta iako u niewiasty. Zdawał się być w rozterce. Gdy go spytałam czego sobie życzy, zniknął, nie wyszedł z pokoju, nagle zniknął. Bardzo przerażoną byłam i krzyczałam i zemdlałam i moja pani domnie przyszła. Ja za sto funtów niechęć takiego Szlachcica znowu uźrzeć. Na to wszystko się klnę.

Grace Mary opatrzyła dokument starannym podpisem, a poświadczył go niejaki William Totterdale, proboszcz parafii, który też go zapewne spisał. Ci dwoje nieco mnie uspokoili, przynajmniej pod jednym względem: trzy dokładnie opisane szczegóły twarzy wystarczyłyby same w sobie, nawet bez wzmianki o dziwnym, jakby duchownym stroju, dla którego Grace mogła znaleźć najbliższy odpowiednik w odzieży starego pastora, którego widziała w latach dwudziestych XVIII wieku. Wypiłem jej zdrowie i pobłogosławiłem ją za zdolność obserwacji i dobrą pamięć.

Z drugiej jednak strony, choć nie z jej winy, jej pomoc dla mnie była ograniczona. Nie mogłem powiedzieć Lucy ani nikomu innemu, nawet samemu sobie, że nie czytałem poprzednio oświadczenia. Być może - pomyślałem sobie bez większego przekonania -

przeczytawszy już kilkakrotnie dokument, ukryłem jego słowa gdzieś w podświadomości, z której coś wydobyło je na wierzch i oparło na nich moje złudzenie. Sama natura owego tajemniczego „czegoś” pozostawała zagadką, gdyż wszystko, co podówczas myślałem sobie o duchu Underhilla, musiało także zostać głęboko ukryte, ale nie stanowiło to problemu, bo w naszym stroniącym od filozofii wieku brak dowodów absolutnie negatywnych uznaje się za większą część dowodu pozytywnego.

Złożyłem oświadczenie Grace i miałem już zamknąć książkę wraz z tym i innymi papierami, gdy zauważyłem jeszcze jedno zapomniane miejsce u Thorntona, a właściwie pojedyncze zdanie w nawiasie, w środku opowieści o niewidzialnym nocnym włóczędzie: „którego niektórzy podejrzewają, iż był sługą Doktora”. Natychmiast pojąłem to, co powinienem był pojąć wcześniej, albo co może pojąłem, samemu nie zdając sobie z tego sprawy. Świadkowie, którzy nie zgadzali się co do wyrazu twarzy ducha Underhilla, w rzeczywistości uzupełniali nawzajem swoje relacje: widzieli go w różnych momentach jego życia, oddzielonych od siebie zapewne tylko kilkoma sekundami. Z miną laboratoryjnej ciekawości czekał na wyjście z lasu wyczarowanego przez siebie stwora, a przybrał minę zgrozy, gdy zobaczył go, wychodzącego, aby rozszarpać na strzępy jego żonę lub wroga. Zaś stwór ten, czy raczej jego zjawa, nie mógł zaznać całkowitego spokoju po śmierci Underhilla; od czasu do czasu próbował dostać się do domu swego byłego pana - może w poszukiwaniu dalszych rozkazów? A chodząc, wydawał dźwięk poruszających się konarów, gałęzi i listowia, bo właśnie z tego się składał. Gdybym tylko zdołał dostatecznie długo zaczekać dziś po południu w zagajniku, też bym go zobaczył; a przynajmniej zobaczyłbym jego ducha.

Cała lewa połowa mego ciała, wraz z ramieniem i nogą, czterokrotnie poruszyła się dobitnie w jedną i drugą stronę. Natychmiast pomyślałem sobie, że oto zaczynam doświadczać jaktytacji w stanie pełnej świadomości, co napełniło mnie przerażeniem, aż uświadomiłem sobie, że zadrzałem ze strachu, z podwójnego strachu, który poczułem już przy obiedzie, strachu przed myślą, która zagnieździła się w mojej głowie, i przed tym, że jest ona tam i ma zamiar tam pozostać. Nie znałem nikogo na tyle dobrze, nie mogłem nawet wyobrazić sobie znajomości na tyle bliskiej, aby opowiedzieć mu, czy jej coś podobnego. Może łatwiej byłoby mi zdobyć się na to, gdybym nie przeszedł ostatnio ze stadium notorycznego pijaka w stadium notorycznego pijaka, który zaczął miewać przywidzenia, ale sam w to wątpię. W każdym razie będę musiał sam uporać się z tym, nie mając pojęcia, na czym to polega i w co się wplątuję, zajmując się tym. Trzeba będzie dużo myśleć: z tego już teraz zdawałem sobie sprawę. Spróbowałem już teraz nieco pomyśleć i osiągnąłem tyle, że pojąłem, iż Thornton nie mógł znaleźć wyraźnego związku, a właściwie żadnego związku,

między Underhillem a leśnym stworem dlatego, że sam nigdy nie był w zagajniku (albo, nawet jeśli tam był, zabrakło wtedy czynników, które zadziałały sześć godzin temu). Na razie nic więcej nie zdołałem wymyślić. Poczulem, że na razie mam dosyć swego własnego towarzystwa, bez względu na wady przebywania wśród większej liczby osób. Ruszyłem do łazienki, umyłem się pobieżnie, spryskałem twarz płynem po goleniu, aby przytłumić opary whisky, i zszedłem do baru.

Wróciłem pół godziny później, po pogawędce z kilkoma businessmanami ze Stevenage i z młodym rolnikiem z okolicy, który miał dosyć pieniędzy, aby zajmować się uprawą roli, że tak powiem, z premedytacją. Wchodząc po schodach stwierdziłem, że zapomniałem tej konwersacji co do słowa, nie pod wpływem procesu natychmiastowej amnezji, którego dobrodziejstw zaznałem już dziś dwukrotnie, ale z powodu działania owego zasilanego alkoholem filtru niepamięci, który nieco ułatwia przeżycie wieku dojrzałego, choć z czasem może stracić swą selektywność. Byłem niemalże pewny, że na podeście schodów zobaczę kobietę o kasztanowych włosach, zapewne żonę Underhilla, zresztą, według miejscowych standardów, całkiem reprezentacyjnego ducha, ale nie pojawiła się. Wreszcie, przy samych drzwiach mieszkania, przez chwilę poczułem czystą egoistyczną radość na myśl o tym, co zdarzyło się w zagłębieniu na skraju lasu, i w tym też momencie doznałem autentycznej halucynacji, wspaniale i czysto dotykowej, nagiego ciała Diany przyciśniętego do mojego. Nigdy nie dziwiło mnie to, że niektórzy mężczyźni próbują pobić tradycyjny rekord Don Juana, raczej zastanawiało mnie to, że jest ich tak niewielu. Uwodzenie stanowi wyjątkowy akt zmysłowy; inne rozkosze, wraz z seksem *per se*, to tylko czynności, czasochłonne i powtarzalne. Każde poszczególne uwiedzenie jest rzeczą ostateczną i niezmienną, częścią historii, jak sto punktów w krykiecie zdobyte przed obiadem albo zwycięski rzut (choć niewiele z nich zawiera premię w postaci orgazmu). I rzeźba może stać się jedynie nieświeżą groteską, wiersz może stracić swą puentę, ale nic w tym rodzaju nie grozi wspomnieniom wyczynów owej nocy z księżniczką - lub barmanką.

W jadalni moi trzej domownicy siedzieli nad kawą. Nawet nie nalali sobie nic do picia. Gdy próbowali przełamać milczenie, które zapadło po moim wejściu, ja nalałem sobie kieliszek czerwonego bordo i zacząłem jeść chleb z kawałkiem cheddara. W niedopracowany sposób Nick powiedział od niechcenia, że skoro akurat zabrał ze sobą trochę swoich papierów, a na razie na uniwersytecie nie dzieje się nic ważnego, to - oczywiście, jeśli nie będzie mi przeszkadzać - chętnie odpocząłby przez kilka dni od małej Józefiny, która znów ząbkuje, i został u mnie aż do pogrzebu. Lucy wróci na pogrzeb, jeśli pozwolę, ale na razie, jutro pojedzie do domu. Powiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu i w ogóle przeciwko

jakimkolwiek jego zamiarom.

Z dworu dochodziły do mnie odgłosy wychodzących z domu mężczyzn i kobiet, stojących i rozmawiających ze sobą, wsiadających do samochodów i odjeżdżających, i ta seria dźwięków, jak zawsze, napełniła mnie chwilowym poruszeniem, smutkiem i lekką zazdrością. W pokoju, jak co wieczór, stary Rzymianin, elżbietańscy chłopcy, francuscy oficerowie i francuska dziewczyna wyglądali lepiej niż w świetle dnia, dokładnie zasymilowani z resztą otoczenia, choć obecność ich można było wyczuć równie silnie. Wilgotność powietrza chyba znów wzrosła; w każdym razie pot pojawił mi się na czole i u cebulek włosów. Joyce powiedziała:

- Czy to nie jest niewiarygodne, że jeszcze wczoraj wieczorem dziadek był tak pełen życia, jak każde z nas? - Nigdy nie należała do osób, które mogą zrezygnować z wygłoszenia denerwującej uwagi jedynie ze względu na jej truizm.

- Chyba tak - powiedziałem. - Ale na pojęcie czegoś podobnego nie trzeba zbyt wiele czasu, nawet w sytuacji takiej, jak ta, kiedy wydaje nam się, że nikt z nas nie będzie mógł przestać o tym myśleć. I to dopiero jest niewiarygodne. I naprawdę nie rozumiem, dlaczego każdy, kto nie jest dzieckiem, kto teoretycznie jest dostatecznie dojrzały, aby pojąć, co to takiego śmierć, nie spędza całego czasu na rozmyślaniach o niej. To całkiem intrygująca myśl, że niczym nie będziemy, że nigdzie nas nie będzie, a świat, mimo to, będzie nadal istnieć. Po prostu wszystko zatrzyma się, na zawsze, nie tylko na miliony lat. I musimy osiągnąć punkt, poza którym nic więcej nas nie czeka. Sądzę, że każdy może całkowicie wypełnić swój umysł tą perspektywą, zwłaszcza że wszyscy znajdziemy się tam wcześniej czy później, być może wcześniej. Oczywiście nie można twierdzić, że tylko to nas czeka. W tym czasie zdarzy się jeszcze mnóstwo innych rzeczy, jak na przykład czekanie na wizytę u lekarza i umawianie się na badanie, czekanie na badanie i czekanie na wyniki badania, umawianie się na drugie badanie i czekanie na nie, czekanie na jego wyniki i przyjęcie do szpitala na obserwację, leżenie w szpitalu i czekanie na operację, czekanie na narkozę i czekanie na wiadomość o wynikach operacji, czekanie na drugą operację i czekanie na wiadomość o jej wynikach, i na wiadomość, że niestety nie mogą zrobić niczego, co radykalnie poprawiłoby nasz stan, ale, oczywiście, zrobią, co tylko w ich mocy, żeby przedłużyć nam życie i złagodzić cierpienia, i dopiero wtedy wszystko się zaczyna. I minie jeszcze mnóstwo czasu, zanim dotrzemy do etapu, na którym zaczniemy przeżywać pewne rzeczy po raz ostatni, na przykład nasze urodziny, wyjazd na wakacje, obiad w restauracji, a potem całą resztę rzeczy, jak wyjście z domu, zejście po schodach, położenie się do łóżka, przebudzenie się, położenie się i zamknięcie oczu, nadejście senności. I też dopiero wtedy

wszystko się zaczyna.

- Ale przecież nie wszyscy przeżywają to w taki sposób - powiedziała Joyce.

- Nie, oczywiście w niektórych przypadkach bywa gorzej. I nie wspominam nawet o rzeczach takich jak ból. Ale dla większości z nas dzieje się to albo tak, jak powiedziałem, albo tak, jak było z moim ojcem. Przy odpowiedniej opiece i z piekielnie wielkim szczęściem może pan wytrzymać jeszcze dziesięć lat, albo pięć lat, albo dwa lata, albo sześć miesięcy, ale, rzecz jasna, z drugiej strony, a myślę, że doceni pan moje próby zachowania całkowitej obiektywności w tej sprawie, może pan nie wytrzymać. A więc w przyszłości, jeśli będzie jakaś przyszłość, każde urodziny będą mogły być pod wieloma względami ostatnimi, i ostatni będzie mógł być każdy wieczór w mieście, a po czterech z tych pięciu lat, albo po pięciu z sześciu miesięcy, tak samo będzie z większością rzeczy, włącznie z kładzeniem się do łóżka, budzeniem się i cała reszta. A więc, jakkolwiek ma to się stać, czy tak, jak z moim ojcem, czy tak, jak z innymi ludźmi - trudno będzie czuć, że wygraliśmy tę walkę, i sam nie wiem, który sposób jest gorszy, ale każdy z nich ma w sobie coś, co sprawia, że chcielibyśmy na moment popробować tego drugiego sposobu. A cała sprawa jest tak absorbująca, bo wiemy, że z każdym dniem wzrasta prawdopodobieństwo, iż to właśnie nazajutrz rano zacznie się jedno z tych dwóch przeżyć.

Nick poruszył się i mruknął coś. Lucy, spojrzawszy na mnie, aby upewnić się, czy na pewno uważam, że na razie nagadałem się już do syta, powiedziała:

- Strach przed śmiercią opiera się na odrzuceniu faktów, logiki i zdrowego rozsądku.

- Och, w takim razie wycofuję wszystko, co powiedziałem. Ale to niezupełnie strach. Nie wyłącznie. Jest w tym odrobina gniewu i nienawiści, i może oburzenia, i pogardy, i wstrętu, i chyba żalu, i rozpaczy.

- Czy wszystkie te uczucia nie mają w sobie czegoś egoistycznego? - Lucy powiedziała to niemal ze współczuciem.

- Zapewne - odparłem. - Ale ludzie zazwyczaj czują się nieswojo, kiedy uświadamiają sobie, że znajdują się na jednym z tych taśmociągów, o których opowiadałem. Jest też chyba naturalne, że czujemy się podobnie, może tylko w mniejszym stopniu, jeśli uświadomimy sobie, że wszyscy, od momentu narodzin, znajdujemy się na taśmociągach prowadzących do tamtych taśmociągów.

- Wszystko w porządku, Nick, próbuję mu tylko pomóc, naprawdę. Tak, to naturalne. Ale naturalne jest też mnóstwo innych niepożądanych rzeczy. Naturalny jest na przykład strach przed ciemnością. Ale możemy go przemóc za pomocą rozsądku. Tak samo jest ze śmiercią. Przede wszystkim, śmierć nie jest stanem.

- To właśnie mi się w niej nie podoba.

- Nie jest ona nawet wydarzeniem w życiu. Ten ból i strach, o których mówiłeś, mogą być niewątpliwie bardzo straszne, ale wszystko to odbywa się za życia.

- To właśnie nie podoba mi się w życiu. Powiedzmy, że między innymi to.

- To znaczy, nie będziesz przecież stać i całkowicie świadomie przyglądać się, jak umierasz. Coś takiego byłoby bardzo złe i przerażające. Ale to niemożliwe. Śmierci nie można doświadczyć.

- To, czego doświadczamy do jej chwili, jest dla mnie wystarczająco złe. Starożytni Asyryjczycy wierzyli w nieśmiertelność bez nieba i piekła, bez żadnej formy życia pozagrobowego. Według nich, dusza wiecznie pozostawała przy ciele i strzegła go. Zdaje mi się, że raczej nie bardzo było przed czym go strzec, ale w każdym razie pozostawała przy ciele. Niektórzy uznaliby tę myśl za potworną, gorszą od całkowitej zagłady, ale ja sam zgodziłbym się na to. Przynajmniej miałbym dla siebie miejsce.

- Ale też na samej egzystencji musiałbyś poprzestać. Jak spędziłbyś ten czas? Chyba rozumiesz, że miałbyś naprawdę mnóstwo czasu.

- Och, tak. Cóż, na rozmyślania. I tak dalej.

- Idę spać - stwierdziła Joyce. - Rano muszę zrobić pranie. Dobranoc, Nick. Dobranoc, Lucy. - Ucałowała ich oboje, po czym odruchowo powiedziała do mnie: - Nie siedź za długo.

Kiedy wychodziła, nałamię sobie whisky z wodą. Na twarzy Nicka uległość mieszała się ze znużeniem. Lucy zrobiła sobie chwilę przerwy, jak między dwoma punktami wykładu na seminarium. Odmierzywszy sobie dokładnie pół filiżanki kawy i dodając około 50 miligramów mleka, powiedziała:

- Hm, hm... Maurice, domyślam się, że nie uznajesz możliwości życia pozagrobowego.

- O Boże, nie. Nigdy nie wierzyłem w takie brednie, nawet kiedy byłem mały. Dla mnie zawsze polegało to tylko na zaśnięciu i zapomnieniu. Życie pozagrobowe to, oczywiście, bardzo egoistyczna koncepcja. I bardzo dziwaczna. Tylko szalenciec mógłby w to uwierzyć. Czemu pytasz?

- Och, myślałam właśnie o tym, że jednym z tradycyjnych argumentów na poparcie tezy o życiu pozagrobowym jest istnienie duchów, które zazwyczaj przypominają prawdziwych ludzi, takich jakimi znaliśmy ich za życia, i tak też się zachowują, zupełnie, jakby powrócili zza grobu.

- Ale wcześniej powiedziałeś, że duchów jako samodzielnych bytów nie ma i że widząc je, widzimy coś, czego naprawdę nie ma.

- Tak, i wcale nie zmieniłam zdania. Osobiście nie wierzę, że duchy istnieją w ten

sposób, ale można się ze mną o to spierać. I muszę przyznać, że niektóre duchy rzeczywiście sprawiają wrażenie, jakby na chwilę zabłąkały się do naszego świata z jakiegoś miejsca, do którego trafiły po fizycznej śmierci. Nie mówię tu o przypadkach domów nawiedzonych przez duchy, takich jak twój; mam na myśli raczej duchy, które pojawiają się w najzwyczajniejszych okolicznościach, czasem w biały dzień, i rozmawiają z ludźmi, często z tymi, których dobrze znały za życia. Jak na przykład ten lotnik, który pewnego popołudnia wszedł do pokoju swego przyjaciela, a przywitał się z nim w pięć minut po swojej śmierci w wypadku, a na wiele godzin przedtem, zanim przyjaciel dowiedział się o tym. Albo ta kobieta, która w sześć lat po swej śmierci zjawiała się na progu domu swej siostry, o godzinie, kiedy zazwyczaj ją odwiedzała, tylko że siostra w tym czasie przeprowadziła się, a nowy lokator rozpoznał niezyczącą kobietę ze zdjęcia, które pokazywała mu jej siostra. A nawet twój przyjaciel Underhill...

Jest w twojej opowieści o tym, co zdarzyło się dziś wieczorem, coś, co stawia go poza kategorią zwyczajnych duchów.

Doszedłem do wniosku, że Lucy jest zdolna do tego, aby spocząć w grobie, nigdy nie wyjawiając bez wypytywań, czym jest owo „coś”, a więc zacząłem ją wypytywać.

- A mianowicie? - powiedziałem, odnosząc to samo wrażenie, że biorę udział w spektaklu telewizyjnego Teatru Kameralnego, którego doznawałem znacznie częściej, a właściwie stale, kiedy miałem do czynienia z Dianą.

- Fakt, a przynajmniej twoje stwierdzenie, że Underhill rozpoznał cię. Oczywiście mógł wziąć cię za kogoś innego, ale jeśli rzeczywiście cię rozpoznał, to możemy spokojnie przyjąć, że w jakiś sposób istnieje on w dwudziestym wieku, umarłszy fizycznie w siedemnastym - istnieje na tyle, że jest w stanie wykonać co najmniej jedną czynność wymagającą posłużenia się inteligencją, pamięcią i tak dalej: rozpoznanie. Nie wiadomo, co jeszcze jest on w stanie zrobić. Przynajmniej nie wiemy tego w tej chwili. Ale, biorąc pod uwagę twoje poglądy na śmierć, uważam, że właśnie teraz powinieneś porozumieć się z rzekomym duchem Underhilla.

Nick zaczął obracać się na krześle.

- Och, Lu. Porozumieć się z duchem? Jak to możliwe?

- Już mówiłam, twój ojciec może spróbować dotknąć tej kobiety, którą, jak mu się wydawało, widział albo którą naprawdę widział - nigdy nie zaprzeczałam, że to rzeczywiście mogło się stać - albo zmusić ją do odezwania się do niego, jeśli znów ją zobaczy, i to samo odnosi się do Underhilla. Wygląda na to, że usłyszał on dziś wieczorem, jak ktoś zwraca się do niego po nazwisku. Osobiście nie sądzę, żeby to był Underhill, ale twój ojciec tak uważa.



Na jego miejscu spędzałabym jak najwięcej czasu siedząc w tej sali restauracyjnej, kiedy nikogo w niej nie ma, i czekając na kolejne pojawienie się Underhilla. Może następnym razem coś powie. Z twojego punktu widzenia to logiczne, prawda... Maurice?

- Lu, na miłość boską - powiedział Nick, zanim zdążyłem się odezwać. (A przyznałbym jej rację.) - Tata nie ma najmniejszego zamiaru siedzieć w środku nocy i czekać na jakiegoś cholernego ducha. Każdy, kto to robi, sam szuka guza. Mówię ci, babranie się w takich sprawach nikomu nie może wyjść na dobre. Przecież ci wszyscy miłośnicy mediów, seansów spirytystycznych i fenomenów psychicznych to same zgredy. Banda wariatów. I przestań tak się tym zajmować. Tata jest po prostu przygnębiony, nieco zdezorientowany i wciąż myśli o dziadku. Daj spokój, Lu.

- Dobrze już, dobrze. Ale nie powinieneś uważać, że wszyscy ulegają nastrojom dlatego tylko, że ty im ulegasz. Nick, jesteś cholernie inteligentny, ale w prawie wszystkich sprawach poza Lamartine'em przesłaniasz to, co myślisz, tym, co czujesz. Wolę traktować poważnie to, co mówi ojciec. Ale nie będę się już tym zajmować, obiecuję. Zresztą, teraz idę już spać. Dobranoc.

- Nie zwracaj na Lucy zbyt wiele uwagi - powiedział Nick, kiedy zostaliśmy sami. - W domu tęskni za ferworem akademickich dyskusji. Na ten temat nie wiem akurat za dużo, a żony naszych wykładowców nie potrafią wychwycić związku pomiędzy dwoma następującymi po sobie uwagami na jakikolwiek temat. Zresztą to wspaniała dziewczyna. Wiem, że nie rozumiesz, co ja w niej widzę, i ja chyba też tego nie rozumiem, ale kocham ją. Nieważne. Jak się naprawdę czujesz, tato?

Zawahałem się. Do tej pory nie pomyślałem nawet o tym, co teraz bardzo chciałem powiedzieć, tak samo, jak nie przygotowałem świadomie ani słowa mojej diatryby o śmierci, którą, jak poniewczasie sobie uświadomiłem, wygłosiłem w taki sposób, jakbym nauczył się jej na pamięć. Przestałem się wahać.

- Myślę, że powinienem być zrobić więcej dla dziadka. I nie chodzi tylko o to, co wszyscy czują, że mogliby się nim więcej zajmować i lepiej go traktować, i tak dalej. Mogłem pomóc mu przeżyć dłużej. Na przykład, może te jego spacerunki były zbyt wyczerpujące. Powinienem był pomyśleć o tym, porozmawiać z Jackiem Maybury'ym i tak dalej.

- Posłuchaj, przede wszystkim dziadek nie był twoim pacjentem. A Jack to dobry lekarz; wiedział, co będzie dla niego najlepsze. I miał mnóstwo energii; umarłby znacznie wcześniej, z przygnębienia, gdyby musiał cały czas siedzieć w domu. Nie martw się tym.

- Hm. Chciałbyś trochę whisky albo piwa? Nick pokręcił głową.

- Ale ty się napij.

Nalewając alkohol, powiedziałem:

- No i te schody są strasznie strome. Mogłem...

- Co mogłeś zrobić? Zainstalować windę? Chyba od wspinania się po schodach nie dostaje się wylewów, prawda? Raczej zawału.

- Nie wiem. - Znów się zawahałem. - Myślę też o twojej matce.

- O mamie? A co ona ma z tym wspólnego?

- Cóż... za to też czuję się w pewnym sensie odpowiedzialny.

- Och, tato. Odpowiedzialny za to może być tylko ten facet, który prowadził, i może trochę sama mama, bo przechodziła przez ulicę nie rozejrzawszy się należycie.

- Zawsze zastanawiałem się, czy nie rzuciła się pod samochód umyślnie.

- O Boże! Trzymając Amy za rękę? Nigdy nie naraziłaby Amy na najmniejsze niebezpieczeństwo. I dlaczego? Dlaczego miałyby się zabić?

- To oczywiste. Thompson ja zostawił. - Thompson to był mężczyzna, dla którego Margaret opuściła mnie i który, na cztery miesiące przed jej śmiercią, oświadczył jej iż jednak niema zamiaru zostawić żony i dzieci i zamieszkać razem z nią.

- O to niech już się martwi Thompson, o ile ktokolwiek w ogóle ma się o to martwić, w co wątpię.

- Powiniennem być nie pozwolić jej odejść.

- Och, bzdury. Jak? Była pełnoletnia i odpowiedzialna.

- Powiniennem być lepiej ją traktować.

- I tak traktowałeś ją bardzo dobrze, skoro przeżyła z tobą dwadzieścia dwa lata. Tato, to wszystko kupa bredni. Martwi cię nie to, że jesteś w jakiś tam sposób odpowiedzialny za jej śmierć, ale to, że ona w ogóle umarła. Tak samo jest z dziadkiem. Obie te sprawy przypominają ci o tym, że pewnego dnia i ty podążysz ich śladem. Wiem, że nie lubisz, kiedy cytuję Lucy, ale to po prostu egoizm. Przepraszam, tato.

- W porządku. Może masz rację. - Na pewno pierwsza połowa jego diagnozy była słuszna - spędziwszy tak wiele lat z kobietą, która teraz nie żyje, z którą rozmawiałem, odwiedzałem innych ludzi, jeździłem po świecie, jadłem, piłem i przede wszystkim (oczywiście) kochałem się, i która urodziła mi dzieci, nie mogę uciec od tej niezbyt silnej, ale zawsze obecnej rozpacz, i od niczym nie uzasadnionego uczucia przerażenia. Nawet teraz, trzy czy cztery razy w tygodniu budzę się, myśląc, że Margaret, wciąż jeszcze żyje.

- A jak tam Amy? - spytał Nick. - Wygląda...

Przestałem go słuchać, bo usłyszałem, a przynajmniej wydało mi się, że słyszę chrzęszczący dźwięk na dworze, na poziomie ziemi, w pobliżu drzwi frontowych. Zerwałem

się, podbiegłem do okna i wyjrzałem. Latarnie paliły się jeszcze, oświetlając ściany, grządki kwiatów, drogę i jej pobocza, tak bezbarwne i puste, jakby nikt nigdy się do nich nie zbliżył. Dźwięk ucichł.

- Co się stało, tato?

- Nic. Wydawało mi się, że słyszę kogoś przy frontowych drzwiach. Słyszałeś coś?

- Nie. Dobrze się czujesz? - Nick spojrzał na mnie bacznie.

- Oczywiście. - Denerwował mnie fakt, że to, co może usłyszałem i zidentyfikowałem, a może nie, rozległo się dokładnie na dźwięk imienia Amy. Nie mam pojęcia, dlaczego tak to sobie skojarzyłem. Spróbowałem zastanowić się. - Podobno... w okolicy grasuje włamywacz. Ale przerwałem ci.

- Czy coś zobaczyłeś?

- Nie. Mów dalej.

- Dobrze. Myślałem o tym, co Amy teraz sądzi o śmierci mamy.

- Wydaje mi się, że w jej wieku zapomina się bardzo wiele i bardzo szybko. Pewne sprawy można po prostu przerosnąć.

- Ale czy ona to przerosła? Co ona o tym mówi?

- Nie rozmawiamy o tym.

- To znaczy, w ogóle o tym nie wspomina? Przecież...

- Spróbuj spytać trzynastoletniego dzieciaka, co sądzi o tym, że jej matka straciła życie w wypadku na jej oczach.

- Nie, ty spróbuj. - Nick wpatrzył się we mnie. - Posłuchaj, tato, nie wiem czemu, ale nie możesz przestać rozmyślać o śmierci. Proszę bardzo, jeśli chcesz traktować to tylko jako specyficzne hobby. Ale nie możesz pozwolić na to, aby to hobby całkiem cię pochłonęło, abyś przestał zwracać uwagę na rzeczy naprawdę ważne. Musisz porozmawiać z Amy o tej sprawie. Pomogę ci, jeśli chcesz. Możemy wszyscy...

- Nie, Nick. Nie teraz. To znaczy, pozwól mi to najpierw przemyśleć.

- Oczywiście. Ale, jeśli pozwolisz, przypomnę ci jeszcze o tym. A nawet, jeśli nie pozwolisz.

- Pozwolę. Nick wstał.

- To ja już się będę związał. Chyba dziś nie na wiele ci się przydałem.

- Owszem, potrzebowałem cię. Dziękuję, że przyjechałeś i że zostajesz tu.

- Mogę tu trochę odpocząć. Obawiam się, że większość czasu spędzam każąc ci robić jedne rzeczy i zabraniając innych.

- Może tego właśnie mi trzeba.

- Tak, rzeczywiście. Dobranoc, tato. Pocałowaliśmy się i wyszedł. Wypiłem jeszcze trochę whisky.

Moja osobista agenda była niewiarygodnie zapchana najrozmaitszymi sprawami. Przez jakiś czas spacerowałem po pokoju i po kolei wpatrywałem się we wszystkie rzeźby. Z niczym mi się nie kojarzyły i stwierdziłem, iż nie mogę sobie wyobrazić, żebym kiedykolwiek coś w nich dostrzegł, czy to dzieła sztuki, czy też quasi-ludzkie istoty. Usłyszałem skrobanie w drzwi i wpuściłem Wiktora. Przemknął obok mnie, poganiany zapewne przez strzępki wspomnień o tym, jak niegdyś zaniepokoił go Nick przechodzący w zasięgu jego słuchu. Schyliłem się i zacząłem go głaskać; wyprężył grzbiet pod dotknięciem mojej dłoni, mruczając jak staroświecki i niezbyt oddalony motocykl. Kiedy usadowiłem się w wygodnym fotelu obok biblioteczki, wlaź mi na kolana, nie protestując, gdy użyłem jego grzbietu jako pulpitu do książki. Oparłem o niego oksfordzkie wydanie wierszy Matthew Arnolda. Usiłowałem czytać *Wybrzeże w Dover*, które zawsze uważałem za godną uwagi, choć nieco upiększoną, ogólną charakterystykę życia. Dziś jego stoicyzm wydał mi się zbyt łatwy, a owo

szczerze pole, w nocy,

Pośród zamętu pomieszanych kroków,

Gdzie ślepe armie ścierają się w mroku, \* [\*Przełożył Juliusz Żuławski]

mające stanowić ponoć ponury i realistyczny kontrast z romantycznymi marzeniami, sprawiało wrażenie całkiem ciekawego i wartego odwiedzenia obszaru. Spróbowałem zacząć lekturę od nowa, ale tym razem już po drugiej linijce zagubił mi się wątek wiersza. Wypiwszy jeszcze trochę whisky, odłożyłem książkę, zepchnąłem Wiktora i znów zacząłem spacerować po pokoju. Ojciec, Joyce, Underhill, Margaret, leśny stwór, Amy, Diana: powieściopisarz przedstawiłby ich wszystkich jako połączonych ze sobą, stanowiących części jednej łamigłówki, którą można jakoś rozwiązać przy użyciu jednego tylko klucza. Mówiąc metaforycznie. Jeden - tysiąc - dwa - tysiące - trzy - tysiące - cztery - tysiące - pięć - tysięcy - sześć... Jeśli nic, ale to absolutnie nic, nie stanie się do momentu, gdy dotrę do stu, albo lepiej do dwustu, a może dwustu pięćdziesięciu, to taka ładna, okrągła liczba - to moje małżeństwo z Joyce ułoży się szczęśliwie, a Amy pokocha nas oboje. Jak do pierwszej części tego planu pasował, czy raczej nie pasował, mój projekt orgii - dziewiętnaście - tysięcy - dwadzieścia - tysięcy - dwadzieścia jeden - tysięcy - nie miałem pojęcia i nie chciałem mieć, a o tym, jak ma wyglądać spełnienie drugiej połowy, też byłem nie najlepiej poinformowany. Nalałem sobie

jeszcze whisky - tysiący - dwadzieścia dziewięć - tysiący - trzydzieści...

...tysiący - osiemdziesiąt siedem - tysiący - osiemdziesiąt osiem - tysiący... Powoli, ale bez wysiłku, wchodziłem po schodach do mieszkania. W prawej ręce trzymałem pustą szklankę, której używałem już od dłuższego czasu; mały palec lewej przyciśnięty był do wnętrza dłoni, a cztery pozostałe były sztywno wyprostowane. Oznaczało to, że całkowita suma mojego odliczania bliska jest pięciuset tysiocom, co równa się ponad czterem minutom, albo, jeśli użyłem już wszystkich palców i teraz odliczam w drugą stronę, ku kciukowi, siedmiuset tysiocom, albo, oczywiście, milionowi pięciuset tysiocom (ponad dwadzieścia minut), albo milionowi siedmiuset tysiocom, albo też jeszcze większej liczbie. Przestałem odliczać. Szedłem spać, ale gdzie byłem przedtem?

Mój zegarek wskazywał za dziesięć drugą. Czasu mojego pobytu na dole nie potrafiłem, mimo wszystko, określić, wiedziałem tylko tyle, że był on nie krótszy od niecałej półgodziny i nie dłuższy od około dwóch godzin. W każdym razie najprawdopodobniej spędziłem ten czas w sali restauracyjnej. Wróciłem do niej, otworzyłem drzwi i zapaliłem światła. Pamiętam, że wielokrotnie podczas moich nocnych wędrówek po domu, zapewne nawet częściej, niż mi się zdawało, widziałem ją w takim stanie: z ciężkimi jedwabnymi zasłonami zaciągniętymi, z wysokimi krzesłami schludnie ustawionymi w dwójki, czwórki i szóstki, bez obrusów na większości stolików, poza tymi przy oknie, nakrytymi do śniadania, sala wyglądała na równie permanentnie pustą, jak teren przed budynkiem, który przedtem widziałem z okna jadalni na górze. Czułem jednak pewność, że oto oglądam ten widok po raz pierwszy tej nocy. W przypadkach takich jak mój uczucie pewności w podobnych sprawach nie oznacza bynajmniej pewności. Szybko obszedłem stoliki i przy użyciu owej samoszpiewowskiej metody, którą wypracowałem z biegiem lat, przebadłem je w poszukiwaniu śladów mego pobytu, w rodzaju przesuniętych sztućców albo rozłożonej serwetki, która posłużyła mi za podkładkę pod szklankę - nigdy nie będę (nigdy dotychczas nie byłem) na tyle pijany, aby stawiać szklankę na wypolerowanym drewnie. Wszystko było we wzorowym porządku, co dowodziło tego, że nie wchodziłem do tej sali albo że drobiazgowo zatarłem ślady mej obecności, i niczego poza tym, czy byłem tu już wcześniej? Prawdopodobnie tak, choć prawdopodobieństwo tego nie wzrosło od chwili, gdy pomyślałem o tym na schodach. Czy coś tu się stało? Tak; czułem pewność, niemalże byłem pewien, iż coś się stało. Co takiego? Coś... niezwykłego, coś nie tylko interesującego w samym sobie, ale i otwierającego nowe możliwości. Czy kiedykolwiek dowiem się, co to było?

### III. Mały ptaszek

Już nazajutrz rano poznałem odpowiedź. Pierwsze pół godziny nowego dnia zasługiwało na natychmiastowe zapomnienie. Spałem dość dobrze przez pięć i pół godziny, bez snów: nigdy nic mi się nie śni, już od czasów dzieciństwa, i już prawie nie pamiętam, na czym polegają senne marzenia. Ale gdy się zbudziłem, moje serce biło tak nieregularnie, jakby zapomniało, co do niego należy, i traktowało każde uderzenie jako nowy problem, rozpatrywany z uwzględnieniem swych indywidualnych cech. Ból w plecach nie tracąc czasu przyłączył się do niego. Leżąc tak obok Joyce, która jak zwykle nie wydawała żadnych dźwięków, a poruszała się jedynie oddychając, pomyślałem o tym, że w ciągu kilku godzin przed zaśnięciem ani serce, ani plecy nie dawały o sobie znać, i że Jack Maybury nieraz zalecał mi, abym ułożył sobie czas tak, by w moim otoczeniu działo się mnóstwo rzeczy, i potem sprawdził, czy będą mnie dręczyć jakieś fizyczne dolegliwości. Cóż, stało się według jego życzenia. Za to teraz, leżąc rozbudzony w półmroku, z pewnością zamknięty byłem sam na sam ze sobą w najmniejszym z możliwych pudełek.

Zająłem się nudną rutyną wstawania, tymi dziesiątkami czynności, które pozornie mają w sobie nie więcej znaczenia niż religijny rytuał odprawiany przez kogoś, kto zapomniał jego treści. Gołąc się w łazience, odkryłem nowego pryszczaka z boku podbródka. Od czasu do czasu wciąż jeszcze nawiedzają mnie owe niemiłe przypomnienia faktu, że utrata przyjemnych cech młodości - jakiegokolwiek by one nie były - nie zapewnia bynajmniej utraty cech paskudnych. Ten konkretny okaz, w stanie tak kwitnącym, jakby przebywał tam już od wielu dni, sprytnie zagnieździł się na tyle głęboko, bym nie mógł odciąć jego czubka żyłką, a oczywiście wszelkie próby wyciśnięcia go groziły rozjątrzeniem około jednej dziesiątej powierzchni skóry twarzy.

- Instrukcje dla pryszczaka - powiedziałem do siebie, skrobiąc górną wargę. - Jeden. Pojawiać się jak najwolniej. Wyjątek: jeśli pierwsza manifestacja może nastąpić po godzinie osiemnastej, odwrócić procedurę. Wyraźny pryszczak spostrzeżony po raz pierwszy rano po przyjęciach itd. stanowi cenny środek unicestwiający retrospektywnie subtelne poczynania uwodzicielskie żywiciela, źródło wesołych anegdot itd. Dwa. Wybrać miejsce, albo okolicę, gdzie wyciskanie jest bolesne, np. wokół oka, na policzku obok nosa, albo tam, gdzie miękkość skóry uniemożliwia skuteczne wyciskanie, np. między ustami a podbródkiem, z boku szyi (w tym przypadku na obszarze ocieranym przez kołnierzyk). Trzy. Pojawiać się w kombinacji z istniejącymi wypryskami, w ich pobliżu. Jeśli takowych nie ma, wybrać jako strefę działania okolicę popękanych żyłek, pieprzyka, znamienia, w ogóle, do diabła, czegokolwiek - teraz mówiłem już na głos, choć niezbyt

głośno - co pomoże sprawić wrażenie, że z tego przyczółka niebawem rozprzestrzeni się jakaś poważna choroba skóry, która pokryje każdy skrawek widocznej cery aż do włosów, i do tego koniecznie wybrać dzień, kiedy biedak ma się spotkać ze swoją dziewczyną - dokończyłem już całkiem głośno, a tymczasem jakiś drobny, niezależny głos w mojej głowie zapytał mnie, czy wiem, że mam taką strasznie śmieszna k r o p k ę na podbródku.

Sytuacja niezbyt poprawiła się w kuchni, gdzie na stojąco wypilem kawę, zjadłem grzanekę i wysłuchałem szefa kuchni, który tłumaczył mi i pokazywał, jak niechlujnie Ramon wysprzątał ją wczoraj. Kazałem Davidowi zająć się tym i wszystkim innym w ciągu najbliższych sześciu czy ośmiu godzin, i uciekłem, niezbyt daleko wprawdzie, bo do kantorka. Stamtąd zadzwoniłem do Cambridge, do Johna Duerinckxa-Williamsa. Do mojego obecnego zadania, a w gruncie rzeczy do każdej sprawy, jaka miałbym tam załatwiać, tylko joga mogłem wybrać spośród kilkunastu wykładowców uniwersytetu, których znałem jako gości mego zajazdu; nikogo z ludzi, których poznałem w moich studenckich czasach w połowie lat trzydziestych, nie zapytałbym nawet o godzinę, nie mówiąc już o proszeniu ich o pomoc w jakichś dziwacznych kwerendach. Mimo wszelkich wysiłków odzwiernego z Kolegium św. Mateusza, zdołałem wreszcie skontaktować się z Duerincksem-Williamsem, który umówił się ze mną na jedenasta. Właśnie miałem iść poszukać Joyce i powiedzieć jej o moich planach na ten dzień, kiedy wzrok mój spoczął na wielkim, tanim bloku, w którym i ja, i ona, i David zapisywaliśmy sobie notatki i wiadomości. Kartki po lewej stronie założone były do tyłu za okładkę; na pierwszej z wierzchu kartce po prawej stronie David nabazgrał coś na temat mięsa, a pod tym ja, z zadziwiającą szczegółowością, umieściłem informację, niemalże zyciorys, podyktowany mi przez pewnego londyńskiego handlarza dziełami sztuki, który w końcu odwołał rezerwację i gwałtownie odwiesił słuchawkę, kiedy dowiedział się, że w pokojach nie ma telewizorów. Ale to było w zeszłym tygodniu, dziesięć dni temu. Potem zacząłem czytać coś, czego, jak mi się wydawało w pierwszej chwili, jeszcze nigdy nie widziałem, ale, jak sobie niebawem uzmysłowiłem, co musiałem znać, gdyż sam to zapisałem, choć nie wiem, o której to było godzinie i jak bardzo byłem wtedy pijany. Wyglądało to tak:

#Akcent jak zach. Anglia, trochę irlandzki. Głos dziwny, sztuczny. Coś nie tak z ruchami, jakbym widział przez szkło? powietrze nie przemieszcza się. Nie mogę dotknąć. Nie widzę, jak ręka przechodzi przez niego, jakby ręka wciąż ~~przed~~ między nim a mną, choć wyciągam rękę a on jest tylko o stopę ode mnie. Nie mogę spytać Czy „dowcipny”? = pos[iadaj]ący inteligencję. Nie mówi gdzie. *Dowód*. Za głową, rozmiary

ok. 7 1/2 cm na 3, srebrny, rozpostarte ramiona, bez lewej dłoni, uśmiechnięty. ~~Cheiał~~

W przypadkach, które określiłbym mianem powierzchownej amnezji alkoholowej, całkiem łatwo można przypomnieć sobie o tym, o czym się chwilowo zapomniało. Głębsza amnezja całkowicie wymazuje pamięć. Tak właśnie było ze mną: gotów byłem uwierzyć, że ostatniej nocy zabawiał mnie rozmową duch Thomasa Underhilla, ale nigdy nie dowiem się, jak ona przebiegła. Może następnym razem lepiej się spiszę; jakoś nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że będzie jeszcze następny raz. W takim przypadku będę musiał wyjaśnić pewne wątpliwości: na przykład, czego ma dowieść ów „dowód” pośmiertnego życia Underhilla, i czym właściwie jest. Myśl, że nosił on „za głową” jakąś gigantyczną srebrną broszę, była niewiarygodnie dziwaczna; zauważyłem, że tak jak większość ludzi przesyłających wiadomości od swych nocnych do dziennych wcieleń, uznałem jakiś ważny punkt za zbyt oczywisty i zbyt trudny do zapamiętania, aby trudyć się zapisywaniem. Przy następnym spotkaniu będę też musiał sprawdzić, czy moja relacja o usiłowaniach dotknięcia tego, co widziałem i słyszałem, stanowiła błyskotliwą próbę opisanie nieopisywalnego, czy też była bezpośrednim wynikiem pijackiej niepewności co do względnych odległości. Pozostałe wątpliwości mogłem natychmiast rozwiązać: notowałem na zapisanej już stronie bloku po to, aby ktoś inny nie zwrócił uwagi na moje słowa, a mimo to zostawiłem blok otwarty w tym miejscu po to, by później zwrócić na nie własną swoją uwagę; rekonstrukcja ta była niemal aż za wiarygodna, aby zgadzać się z prawdą.

Pobiegłem na górę, gdzie na podeście schodów natknąłem się na Joyce. Z początku próbowała nie odzywać się do mnie, zapewne chcąc w ten sposób okazać, jak bardzo pragnie, żebym z nią porozmawiał, ale po chwili zrezygnowała z tego.

- Co się stało? - spytała, przyglądając mi się.
- Co się miało stać? Nie rozumiem.
- Cały jesteś podniecony. Jakby podładowany czymś.

Miała rację. Od momentu odnalezienia własnej notatki wspinałem się po spirali dumy i niepokoju, do czego nie byłem przyzwyczajony. Chyba równie niecodzienna była dla mnie perspektywa rozpoczęcia czegoś, czego skutków nie mogłem przewidzieć. Nie mogłem nawet przypomnieć sobie, kiedy ostatnio czułem napięcie, tak jak teraz, mając ku temu powód - z pewnością powód niezbyt przekonujący i niezbyt wyraźny, ale mający w sobie coś odpowiadającego memu nastrojowi.

Postanowiłem do niczego się nie przyznawać.

- Naprawdę? Muszę powiedzieć, że nie zauważyłem niczego szczególnego. Sadzę, że



moje samopoczucie waha się między normalnie paskudnym a cholernie paskudnym.

- Och, dobrze już. Po co jedziesz do Cambridge?
- Chcę odszukać pewne dokumenty dotyczące domu, mówiłem ci już.
- I to ma ci zająć cały dzień?
- Mówiłem, że niekoniecznie. To zależy od tego, jak szybko je znajdę.
- Ale mam nadzieję, że, wiesz, nie umówiłeś się tam z nikim.
- Owszem, umówiłem się z dawnym promotorem Nicka, ale chyba nie o to ci chodzi.
- Hm. A co Nick ma robić przez ten czas?
- Znajdzie sobie jakieś zajęcie. Przywiózł ze sobą trochę uniwersyteckich papierów. Albo

może zajmie się Amy.

- Mógłbyś zabrać ich oboje ze sobą do Cambridge. Tam byłoby dla nich więcej...
- Musiałbym na nich czekać, a mówiłem ci, że być może wrócę szybko. Zresztą, jadę sam.
- Och, dobrze już. Wiesz, że Lucy wyjeżdża dziś przed południem?
- Wróci jutro na pogrzeb. Ale pożegnaj ją ode mnie, jeśli chcesz.
- Czy mam zająć się wypłatami, znaczkami i tak dalej?
- Zrobiłabyś to? Ja już muszę uciekać.

Szybko przełknąłem w spiżarni raczej niewielką porcję alkoholu i już po chwili pędziłem volkswagenem po drodze A595. Było naprawdę gorąco, ale parność wreszcie znikła z powietrza i nie tłumiała już promieni słońca. Przejeżdżające pojazdy błyskały i lśniły, jakby ich metalowe powierzchnie zostały wypolerowane, a farba - namaszczona oliwą. Wskakiwały naprzeciw mnie i mijały mnie, wjeżdżały i wyjeżdżały z krzyżówek przede mną, zjeżdżały na środek drogi, nabierając prędkości, aby mnie wyprzedzić, jak aktorzy, świadomi tego, że scenografia korzystnie uwypukla zalety ich gry. Nawet w głębokim cieniu przydrożnych drzew pojedyncze gałązki, pęczki liści i skrawki ziemi odbijały światło z intensywnością i jednocześnie z głębią koloru, co dotychczas widywałem tylko w Alpach Nadmorskich. W oddali wciąż pojawiały się i znikwały refrakcyjne miraży, złudne pasma nieruchomej wody przecinające drogę. Za Royston, gdy znalazłem się pośród samochodów zjeżdżających z dróg A10 i A505, zrobiło się tłoczniej, ale i tak moja przeciętna prędkość nie spadała poniżej siedemdziesiątki. Za szybami przesunęły się peryferie Cambridge, ze znajomym nagromadzeniem przydrożnych drzew i krzaków, sugerującym raczej zbliżanie się do lasu, a nie do miasta. Potem zieleń zniknęła i pojawiła się bagnista równina samego miasta, pustawego nawet o poranku w czasie roku akademickiego, z charakterystycznymi budynkami: Leys School, szpitalem Addenbrookes, Fitzwilliam Street (gdzie wynajmowałem

pokój w roku 1933, kiedy zdawałem egzaminy na stypendium), Peterhouse, Pembroke, i wreszcie mniej więcej równoległym do Św. Katarzyny na rogu Trumpington Street i Silver Street, długim, nadgryzionym prostokątem Kolegium św. Mateusza, tudoriańskiej budowli o płaskim frontonie, całkiem niezłe odrestaurowanej pod koniec osiemnastego wieku.

Miejsce na zaparkowanie samochodu znalazłem dopiero sto metrów od głównej bramy. Na zewnętrznych murach bieleły się nagryzmołone kredą lub wapnem hasła: ŻĄDAMY KOMUNALIZACJI TERENÓW KOLEGIUM, STRAJK OKUPACYJNY NUDYSTÓW GIRTON\* [\* *Girtou* żeńskie kolegium w Cambridge] 14.30 SOBOTA, EGZAMINY TO TOTALITARYZM. Najpierw jeden młodzieniec, noszący bokobrody i rozchełstaną kwiecistą koszulę, potem drugi, o długich włosach przypominających pakuły, przechodząc przyjrżeli mi się starannie, niemal zatrzymując się, aby tym lepiej się upewnić, czy nie przejawiam zewnętrznych oznak faszyzmu, ucisku poprzez wolność słowa, biernej przemocy rasowej i tym podobnych. Przeżyłem jakoś to badanie, wkroczyłem na przedni dziedziniec (który wydał mi się reakcyjnie czysty) i przeszedłem przezeń, zagłębiłem się w niski korytarz i po schodach dotarłem do kwadratowego, wyłożonego boazeria pomieszczenia, połączenia gabinetu z salonikiem, o oknach wychodzących na łagodne zbocze profesorskiego ogrodu.

Duerinckx-Williams, chudy i zasuszony, przygarbiony i ostentacyjnie krótkowzroczny, choć był ode mnie młodszy o dobre dziesięć lat, wstał i z powagą uśmiechnął się do mnie. Dotychczas spotkaliśmy się zaledwie kilkanaście razy, zawsze w jakimś związku z Nickiem.

- Salut, vieux - entrez donc. Comment ça va?

- Oh, pas trop mal. Et vous? Vous avez bonne mine.

- Faut pas se plaindre.\* [\* *Salut. vieux...* (franc.) - Witam pana, przyjacielu - niechże; pan wejdzie. Jak się pan miewa? - Och, niezłe. A pan? Dobrze pan wygląda. - Nie narzekam...] - Spowaźniał jeszcze bardziej. - Nick opowiedział mi o pana stracie. Pozwoli pan, że wyrażę moje współczucie?

- Dziękuję. Wie pan, on miał już prawie osiemdziesiąt lat i od jakiegoś czasu nie czuł się zbyt dobrze. To nie zaskoczyło nas tak bardzo.

- Naprawdę? O ile pamiętam - zabrzmiało to tak, jakby jego pamięć sięgała do czasów założenia kolegium, z dokładnością do stulecia - nigdy nie można takich rzeczy przewidzieć z góry. Ale cieszy mnie to, że nie jest pan przygnębiony ponad miarę. A teraz, czym mogę pana poczęstować? Sherry? Piwo? Porto? Herbata? Whisky? Bordo?

Z wrodzoną uprzejmością i inteligencją udawał, jak zwykle, że nie zna się na zwyczajach picia alkoholu, i pozwalał mi bez zakłopotania wybrać to, na co miałem ochotę. Poprosiłem o odrobinę whisky. Nalewając mi i nadal udając nieznajomość konwenansów, bo w szklance,

którą mi wręczył, było ponad 70 gramów płynu, wygłosił kilka pochwał pod adresem Nicka. Potem, gdy zasiedliśmy po dwóch stronach cudownego późno-georgiańskiego kominka, spytał, w czym mógłby mi pomóc. Opowiedziałem mu, że interesuje mnie historia mojego domu, a zwłaszcza Underhill, że w pewnej książce zauważyłem wzmiankę o jego dzienniku i że mam nadzieję, iż on, Duerinckx-Williams, zadzwoni do bibliotekarza Kolegium Wszystkich Świętych i zapewni go o mojej dobrej wierze.

- Hm. Czy obejrzenie dziennika tego człowieka to dla pana bardzo pilna sprawa?

- Wcale nie - skłamałem. - Po prostu rzadko zdarza mi się wygospodarować sobie wolny dzień, tak jak dzisiaj, i chciałem z tego skorzystać. Oczywiście, jeśli ma to być...

- Nie, nie, chętnie uczynię, co tylko będę mógł. Chodzi tylko o to, że bibliotekarza może akurat w tej chwili nie być. U Wszystkich Świętych przez większość czasu raczej nikogo nie ma. Ale zaraz to sprawdzę. Przepraszam na moment.

Po krótkiej rozmowie telefonicznej powrócił do mnie.

- Mamy szczęście, Maurice. On nie tylko tam jest, ale nawet nie jest niczym zajęty. Czy może jeszcze odrobinę... tego? - spytał, teraz z kolei udając, że zapomniał, co piję.

- Eee... nie, dziękuję.

- W takim razie możemy już ruszać. Nie, nie, słowo panu daję, że to żaden kłopot. Najwyżej trzy minuty drogi. Jak pan sam wie.

W cztery minuty później przeszliśmy przez bardzo sędziwe rzeźbione drewniane odrzwia i wkroczyliśmy do biblioteki Kolegium Wszystkich Świętych, wysokiego, wąskiego pomieszczenia o kształcie wielkiej litery L, z ładnymi wiktoriańskimi witrażami w narożnych oknach. Panował tu charakterystyczny zapach kurzu i atramentu. Bibliotekarz wyszedł nam na spotkanie z miną jednocześnie wyniosłą i pełną szacunku, jak u sprzedawcy w luksusowym sklepie. Nastąpiło przedstawianie i wyjaśnianie.

- Underhill - powiedział bibliotekarz, który nazywał się Ware. - Underhill. Tak. Profesor kolegium w latach pięćdziesiątych XVII wieku. Tak. - Potem, z wielką emfazą, powiedział: - Nigdy o takim nie słyszałem.

- Macie tu ogromną kolekcję rękopisów, nieprawdaż? - spytał Duerinckx-Williams.

- O, tak, o g r o m n ą - powiedział Ware, którego ta pozbawiona związku uwaga nieco zakłopotła.

- A więc osobiste dokumenty profesora kolegium, które ktoś już tu znalazł i przeglądał na początku zeszłego stulecia, o ile dobrze rozumiem...?

Ware nieco ustąpił pola.

- To możliwe. Mamy tu katalog rękopisów, datujący się od lat czterdziestych XVIII

wieku, kiedy to biblioteki zaczęły interesować się manuskryptami i w ogóle starymi rzeczami. Wygląda na to, że byliśmy pionierami w tej dziedzinie. Proszę, to właściwie fotokopia katalogu. Wspaniały wynalazek. Underhill. Underwood, Aubrey. Kilka wierszy okolicznościowych oraz fragment *Filokteta*, poematu heroicznego w manierze pana Drydena. Coś okropnego. Ale nie tego pan szuka, prawda? Nie. Przede wszystkim, nazwisko się nie zgadza. Nie mamy żadnego Underhilla. Szkoda. Przykro mi.

- Czy nie można by tego znaleźć w jakimś innym zbiorze? - zapytałem.

- Nie, jeśli mamy opierać się na podanej przez pana dacie.

- Ale mój autor widział to około roku 1810. Duerinckx-Williams zerknął na drobne, regularne literki.

- Czy w pewnych okolicznościach, na przykład w razie zaginięcia lub oderwania się pierwszej strony lub stron, dziennik nie mógłby zostać skatalogowany pod jakimś ogólnym nagłówkiem, odnoszącym się do pism anonimowych?

- Och, nie wiem - powiedział Ware, znów chwilowo zakłopotany. To możliwe. Zobaczmy. Tak, rzeczywiście, pod anonimowymi. Anonimowy traktat odsłaniający grzechy papistów, a głównie ich Mariolatryczne praktyki, przez szlachcica, nigdy nie drukowany. Fascynujące, ale chyba nie o to panu chodzi. Anonimowa garść kazań, modlitw i myśli pobożnych, przez świętej pamięci proboszcza parafii Św. Stefana w Little Eversden. Nie. Anonimowe, o sprawach rozmaitych, przez człowieka uczonego. Niezbyt wiele to wyjaśnia, prawda? Ale to mogłyby chyba pana zainteresować. Anonimowy...

Już nic ciekawego nie znaleźliśmy. Ware spojrzał na mnie z wyrazem posępnego wyczekiwania.

- Czy mógłbym obejrzeć te sprawy rozmaite? - spytałem.

- Wszystkie te pozycje przechowujemy w Sali Hobsona - powiedział z naciskiem Ware, nie zdradzając niczym, czy mam teraz wydać okrzyk czysto zwierzęcego przerażenia w obliczu tej nowiny, czy też wybuchnąć śmiechem, bo moje poszukiwania zostały w ten komiczny, ale ostateczny sposób pokrzyżowane. Spojrzałem na Duerinckxa-Williamsa.

- Która, o ile mi wiadomo, nie jest dostępna dla osób nie będących wykładowcami uniwersytetu i nie posiadających pisemnego zezwolenia dziekana - powiedział - choć może w przypadku pana Allingtona, który posiada dyplom magisterski mojego kolegium i za którego chętnie zaręczę, moglibyśmy uchylić ten zakaz.

- Oczywiście - powiedział, tym razem z niecierpliwością, Ware, trzymając już w dłoni klucz. Powracając do pozy sprzedawcy, dodał: - Pozwoli pan ze mną?

Jak się okazało, Sala Hobsona zajmowała całe piętro wieży w przeciwnym rogu

dziecińca, miała małe okienka w trzech ścianach, a wchodziło się do niej po krętych kamiennych schodkach. Było w niej chłodno: miałem wrażenie, jakbym już od tygodni me był w tak chłodnym miejscu. Większość dostępnych ścian zajmowały głębokie dębowe półki typu edwardiańskiego, a umeblowania dopełniały dwa stoły i krzesła z tego samego okresu. Na półkach stały rzędy szarych płóciennych okładek, zawierających zapewne rękopisy. Ware zaczął badać ich zewnętrzne górne narożniki, jakby przeglądał zbiór płyt gramofonowych. Nie mogłem na niego patrzeć; stałem i usiłowałem przeczytać oprawioną ćwiartkę stronicy jakiejś książki, wiszącą na ścianie pośród innych, ale nie zdołałem pojąć ani słowa.

- Proszę - powiedział Ware. - Jest nawet strona tytułowa. Thomas Underhill, *Divinitatis Doctor, olim Sodalis Collegii Omnium Sanctorum, Universitatis Cantabrigiensis*.\* [\* *Divinitatis Doctor...* (łac.) - doktor teologii, były profesor Kolegium Wszystkich Świętych Uniwersytetu w Cambridge.]

Końcową część zdania musiał wyrecytować z pamięci, gdyż odwróciłem się i odebrałem mu książkę. Zawierała ona całość lub część notatnika ósemkowego formatu, wydartego z właściwej oprawy - widziałem ślady kleju i nici - pokrytego gdzieś brązowymi plamkami, ale poza tym znakomicie zachowanego.

- Dziwna to anonimowość, kiedy nazwisko autora wypisane jest wielkimi literami na pierwszej stronie - rzekł Duerinckx-Williams.

- Dziękuję - powiedziałem. Rzadko zdarzało mi się pragnąć czegoś tak mocno, jak teraz tego, żeby ci dwaj poszli już sobie i dali mi w spokoju przeczytać to, co trzymałem w dłoniach.

Duerinckx-Williams natychmiast to wyczuł.

- Zostawimy teraz pana samego. Gdyby skończył pan około pół do drugiej, z przyjemnością zaproszę pana na obiad do Mateusza. Jedzenie nie jest u nas specjalnie wyszukane, ale smaczne.

- I może wychodząc zechciałby pan zamknąć drzwi i odnieść mi klucz do biblioteki - dodał Ware, wręczając mi go.

- Tak - powiedziałem. Zdążyłem już rozłożyć notatnik na jednym ze stołów i zapalić lampę. - Dziękuję.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której oni zapewne wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a może, choć nic mnie to nie obchodziło, odegrali skomplikowaną pantomimę bezsilnej furii, i nareszcie usłyszałem szczęknięcie żelaznego zamka.

Underhill miał wyraźny charakter pisma i nie używał żadnego prywatnego systemu stenografii: ortografia niezbyt odbiegała od współczesnej i nie nastroczała mi większych

trudności. Zaczął, pod datą 17 czerwca 1685 (zmarł w roku 1691), od przechwalania się przed samym sobą, jaki jest uczony, i wymieniania, z krótkimi streszczeniami, książek, które przeczytał. Widocznie posiadał sporą prywatną bibliotekę. O większości wymienionych dzieł i autorów nie słyszałem, choć rozpoznałem wzmianki o neoplatonickich filozofach, którzy byli jego rówieśnikami, a może nawet znajomymi w Cambridge: o *Systemie intelektualnym* Cudwortha, *Dialogach duchowych* More'a\* [\* Ralph Cudworth (1617 - 88) i Henry More (1614 - 87) to najznamienitsi przedstawiciele neoplatoników, grupy mistycznych filozofów skupionych wokół Uniwersytetu w Cambridge. Wspomniane dzieła ukazały się odpowiednio w latach 1678 i 1668, a pełny tytuł pierwszego z nich brzmi: *Prawdziwy system intelektualny wszechświata.*] i kilku innych. Przypomniałem sobie, że słyszałem kiedyś, iż More należał albo sympatyzował z kręgiem praktykującym magię, którego członkiem był też pewien raczej ponury holenderski baron. Jak on się nazywał? Nieważne - to może być ciekawy trop dla naukowca, ale nie jestem naukowcem i nie z naukowych pobudek zainteresowałem się Underhillem.

Czytałem dalej, znajdując wciąż to samo, przemieszane z mistycznymi spekulacjami, albo niezrozumiałymi, albo banalnymi, i zaczynałem się nudzić. Czy to ma być wszystko? Wreszcie dotarłem do zapisu pod datą 8 września:

#Mój sługa Gurney, wedle polecenia, powiadomił mię iż Dziewczynka Wdowy Tyler przybyła do drzwi, aby sprzedać Owoce i Warzywa. Kiedy to uczyniła, zapytałem ją, Czyby zemną niewypiła kubka Czekolady w Bawialni, bo pogoda tak okrutna? B. ślicznie się zgodziła, i gwarzyliśmy tam przez pół godziny. Opowiedziałem iey o Cudach które zdziałać mogę, i iako nagradzam tych co mnie zadowalała. Wszystkiego wysłuchała, i głowę dam że we wszystko uwierzyła. Wkońcu, pytam ją, zali pragnie Męża gładkiego i Zdrowia, Bogactwa i Losu Szczęsnego przez całe życie, niech domnie przyńdzie następney nocy o dziesiąte y godzinie, ale potajemnie, i niech nikomu niemówi pod groźbą utraty wszystkich tych Dobrodziejstw, bo ieśli piśnie choć Słowo to dowiem się otem niemieszkaiać, przez ma Sztukę. Ale, rzecze, Boi się Ciemności Nocy. Naco odrzekłem, Że musi dźrzyć w dłoni ten Krucyfix (daiąc go iey, Zabawkę bez wartości), a cieszyć się będzie naypewniejszą Protekcją, tako Pana naszego J. Chr. w Niebiesiech, iako moią na Ziemi. Spytała, Czy rzeknę dla niey mocne Zakłęcie? Moie naymocniejsze, moia Droga (z uśmiechem). Tedy (rzecze) zaiste przyńdę.

Wzrostu średniého, dobréy Postury, pełnéy Piersi. Płci nie rumianéy, iako u Wieyskiého Ludu, a bladoróżanéy, Zębów białyeh, Dłoni drobnéy, iako u Damy. Lat

czternastu. Ręczę, iż sam Król Salomon Dziewki gładszény niemiął.

Po tej rozmowie Underhill widocznie powrócił do lektury ze zwykłą pilnością: owego popołudnia było to łacińskie dzieło o anemomancji, czyli wrózeniu na podstawie obserwacji siły, kierunku i zmienności wiatru, pióra niejakiemu Alanusa Candidusa; po obiedzie, biografia jeszcze jednego nie znanego mi człowieka, pióra innego nieznanego. Poczujęm, że ten brak podniecenia nie wróży niczego dobrego córce wdowy Tyler. Z obawą i fascynacją przeczytałem zapis Underhilla z następnego dnia.

#Po iéy nayspunktualniéyszém przybyciu, dałem mému Gościowi Kordyału, z Wina z Bourdeaux i Winiaku złożoného, z pewnymi Dodatkami, wedle Preskrypcyey Jacobusa Magusa w iego De Inductione Luxuriae.\* [\* De *Inductione Luxuriae* (łac.) - O wzbudzaniu rozkoszy.] Na gorące Węgle rzuciłem sztuczną Sukcessyą Kadzidel, Proszków et caet. z mego zapasu, tworząc tako naysmilsze i naysubieźniejsze Wonie i także dziwne i wielobarwne Dymy. Gdy iuż wszystko to dostatecznie na nią zadziałało, kazałem iéy uwierzyć iż słyszy słodką Muzykę z Głosów wielu, Arye miłosne i swawolne piéiących. Poczém, wyczarowałem iż pojawiły się Postaci, naysampierw przyjemne, iako, Pasterze i Pasterki, Nymphy, Gallanci, Hulacy, Sodomicy z Paziemi, Maskeradyerzy, Heroie, Królowe Starożytne, niektóre cielesnie ze sobą spółkujące. Potem zażądałem aby Suknie zdyęła.

Ależ, Panie, (rzecze) każesz mi Grzech popełnić. Nie, moja Droga, (rzekę) wszak nie iest grzeszném nagrodzić widokiem twych Wdzięków, tych co pracowali aby cię zabawić, i którzy nad tem nawet teraz pracują. Spóyrz, (wskazując na Greckiego Młodziana i Dziewicę w konkurach) co ci dwoie wtey chwili robią, i po to ieno by ci Radość sprawić. Czy po to ieno? (pyta ona, przebiegle). Przyznać musisz, iż po części (rzekę). A więc, (rzecze) iakże mniéy *liberalną* być mogę (koncept który mię zachwycał). J natychmiast rozebrała się do nagiey Skóry. O quae deliciae!

Teraz ukazałem iéy Stwory iuż nie tak kuszące, iako, Hippogryffy, Małpy, Turkowie, Centaurowie, Harpie, Chimaery, Karibany, Kaci, Robaki, wszystkie ze sobą walczące i nawzajem się mordujące i pożerające. Wypełniłem iéy uszy krzykami dzikich Bestyi, i Grzmotami, i Jękami Potępionych. Krzyczała bezustanku, i zaklinała mię iżbym przestał, i odpędził te Zyawy. Krzycz do woli, (rzekę) nikt cię nie usłysz, Sługi odesłałem, a to nie są Zyawy, spóyrz iako kłębią się wokół ciebie i gdybym im nie wzbraniał to by się w strzępy rozerwały (nie mówiąc iey że są to ieno Przywidzenia i że

mogą ją przerazić jedynie lecz nic więcej). Kiedy iak osądziłem, dotarła już do Dna Przerazenia, na Podłodze ją posiedłem, i wkrótce potem odpędziłem z méy Prezencyéy, rzucając za nią iéy nędzne Suknie, i ostrzegając iżby ani słowa nikomu nie rzekła otem co zaszło, bo inaczej Dyabły moje do grobu i poza nim gonić ją będą, i że powróci domnie kiedy tylko tégo zażądam, i że iest moją.

Wypiłem szklenicę cienkiego Piwa aby pragnienie ugasić, i udałem się do mey Łoźnice, i otwarłem Johanna á Ponte o Jadzie Ropuch i Węży, ale znalazłem materya fantastyczną ponad wiarę, i źle wyłożoną, i wielce strudzony, (choć spokojnego ducha) na Spoczynek się udałem.

Już nie wydawało mi się, że w Sali Hobsona jest tak chłodno. Wkrótce będę musiał się napić - jakim byłem durniem, żeby nie zabrać ze sobą butelki - ale najpierw chciałem uporządkować moje myśli, albo przynajmniej wyrecytować je sobie. A więc nie uporządkowane: nie wiedziałem, czy Underhill naprawdę wyczarował zjawy, hałasy i całą resztę, ani nawet, jak mam to rozumieć, ale wiedziałem, że i on, i dziewczynka w to wierzyli, a dla niej było to przeżycie dostatecznie przerażające, aby na zawsze zamknąć jej usta, bo nigdy nie słyszałem o tym, by ktoś dowiedział się o jego seksualnych wyczynach. Nie mogłem przypomnieć sobie daty śmierci pani Underhilla, ale wydawało mi się, że nastąpiła ona już po roku 1685, co oznaczało, że zapewne przez cały ten czas mieszkała ona w domu, choć nigdzie, włącznie z zapisem, który właśnie przeczytałem, nie wymieniono jej imienia. Widocznie wiedziała, że lepiej nie zwracać uwagi na krzyki dziewczynki. Teraz zrozumiałem, iż sumienie naukowca nie pozwoliło Josephowi Thorntonowi zataić istnienia i miejsca przechowywania dziennika Underhilla, ale jako moralista i po prostu człowiek nie mógł on nie ostrzec czytelników przed jego lekturą, i nie ułatwić im odnalezienia go. Zapewne podobne motywy, pragnienie zachowania dokumentu połączone z pragnieniem ukrycia go przed ludzkim wzrokiem, kierowały anonimowym bibliotekarzem, który skatalogował dziennik na siedemdziesiąt lat przed czasami Thorntona. I ja chciałem pomóc jakoś córce wdowy Tyler, ale od jej śmierci minęło już co najmniej dwieście pięćdziesiąt lat.

W dziesięć minut później wyszedłem z biblioteki i wróciłem, zając kanapkę z szynką, która pokryłem namiastką musztardy z tubki, popijałem tę kombinację whisky z wodą sodową z butelki i kontynuowałem lekturę dziennika Underhilla. Dotarłszy do zapisów z końca 1685 roku zauważyłem, że ich charakter się zmienia. Streszczenia przeczytanych książek stały się krótsze, niektóre dzieła kwitowane były jedynie notatką, że są, lub nie są, przydatne dla jakiegoś tajemniczego „zamysłu”. Początkowo wydawało mi się, iż zamysł ten



wiąże się z małą Tylerówną, o której Underhill równie lakonicznie wspomniał, że „powracała do [jego] Obyćć” mniej więcej co tydzień, a także z inną dziewczynką, nazwiskiem Ditchfield (można go było znienawidzić za samo tylko ignorowanie ich imion), dwunastoletnią tym razem, którą zwabił w swoje szpony w pierwszym tygodniu grudnia, niewątpliwie używając tej samej metody, choć nad tym akurat nie rozwodził się zbytnio. W tym czasie Underhill widocznie bardziej interesował się owym dalekosiężnym zamysłem czy raczej, jak wywnioskowałem z zapisów ze stycznia 1686, zamysłami. Zirykowało mnie to, że właśnie teraz, kiedy przydałyby mi się pełne informacje o książkach, które czytał, zaczął wymieniać jedynie ich autorów i tytuły, często w skróconej formie. Tak na przykład, z notatki „Geo<sup>s</sup>. Yerul.: O duchach et caet.” mogłem domyślić się tylko tyle, że przynajmniej zainteresowania Underhilla nie zmieniły się.

Wreszcie, pod datą 29 kwietnia 1686 znalazłem następujący zapis:

#Muszę odrzucić doczesne Rozkosze i wszelkie takie Zaięcia (do czasu). Ulepszyłem teraz mą Methodę, dzięki czemu mogę przestać myśleć o tych co mię kłopotcza. Mieysce iest odpowiedniem (id est, b. zarośniętem, straszliwym, o mnóstwie Zieloności i z Drewna dostatkiem.) To co iuż teraz posiędłem, należytemi słowy wypowiedziane, niechybnie zapewni mi taką Moc, iakiey nigdy ieszcze w tem Królestwie niewidziane, ani nawet w iego Gockim lubo Saxońskim wieku, ale ieno w samych początkach Narodu naszego, przed nastaniem Władzy Pana Naszego J.Chr., kiedy lud czcil ieno Drzewa i Krzewy, (w głupiey swey Jgnorancyi, czyli w Mądrości? Mem. rozważyć to ciekawie, i zczasem Osąd wygłosić.) Dziękuię losowi który owo Narzędzie mi dostarczył, i Talentowi który dał mi iego prawdziwy Użytek poznać.

O moim drugim i większym, a nie większym bo **NIESKOŃCZENIE WIELKIM** zamyśle, tyle ieno teraz rzeknę, iże, *Ten kto zamiary me zna* też wiedzieć będzie, i niechybnie, W którym trwałem Repozytoryum *ukryłem* to co w zamyśle tym mu pomoże i, z czasem pozna Sekret który uczyni go *Panem nad Sobą*, a kto iest panem nad sobą iest panem nade wszystkim (vide Car<sup>s</sup>. Yoldemar Prov., Verum Ingenium. \*) [\* *Prov/erbia/...* (łac.) - Myśli, wielce dowcipne.]

Te słowa zajmowały niemal całą kartę po prawej stronie. Dalej już nic nie było; ostatnie stronie notatnika, dwadzieścia czy trzydzieści, były puste. Nalałem sobie jeszcze whisky i zamyśliłem się.

Zdążyłem już dojść do wniosku, że Thornton nie przeżył tego, czego ja doświadczyłem w

zagajniku niedaleko mojego domu, a więc nie zdołał odszyfrować wzmianki o drewnie na ostatniej stronie dziennika. Widocznie nie zastanawiał się nad pierwszym zamysłem Underhilla, uznając go za zbyt mglisty, aby wymieniać go w swej książce, może nawet za chępliwe pustosłowie lub za urojenie. Co zaś do drugiego zamysłu, to Thornton nie dostąpił też zaszczytu rozmowy z duchem Underhilla, który mnie przypadł w udziale, a więc nie mógł podejrzewać, że zamysł ten wiąże się z jakąś formą życia pozagrobowego. Nawet jeśli Thornton domyślał się, o jakim to schowku mowa jest w ostatnim akapicie, to na pewno był człowiekiem zbyt pobożnym, jak można wywnioskować przeczytawszy jego książkę, aby mógł brać pod uwagę niepokojenie szczątków zmarłego, choćby tak „niesławnej postaci”, jak Thomas Underhill. Mnie nie ograniczały żadne podobne zahamowania; miałem zamiar otworzyć grób i trumnę, i przekonać się, jakie „książki i papiery” (wspomniane przez Thorntona), i co jeszcze można tam znaleźć.

Siedząc tak na twardym bibliotecznym krześle, z dziennikiem rozłożonym przede mną, poczułem dumę i niepokój, zupełnie jak rano przed wyjazdem z domu - nawet silniejsze. Teraz rozumiem, że na miejscu byłaby odrobina ostrożności, ale wówczas sama myśl o ostrożności napawała mnie niesmakiem. Do momentu pojawienia się Diany w moim życiu przez całe lata nie robiłem niczego, co pociągałoby za sobą nieostrożność przekraczającą granice trywialności, niczego na taką skalę. Ów rzekomy sekret, mający dać mi panowanie nad sobą, może nawet mieć w sobie coś - przynajmniej coś interesującego. Właśnie mnie, ze wszystkich ludzi, przydałby się taki sekret. Nie zapomniałem, oczywiście, jak Underhill wypełnił obietnice złożone małej Tylerównie, a zapewne i małej Ditchfieldównie. Zresztą postaci tych dwóch dziewczynek tkwiły gdzieś pośród moich motywów kontynuowania badania tej sprawy, choć wtedy sam nie wiedziałem, na którym miejscu i jakie było ich znaczenie.

Ale, skoro o Dianie mowa... Było pięć minut po pół do trzeciej; miałem akurat dość czasu, żeby przepisać ostatnią stronicę dziennika Underhilla, odłożyć go na półkę i zamknąć drzwi, odnieść klucz Ware'owi do biblioteki, zostawić kartkę z podziękowaniami dla Duerinckxa-Williamsa u odźwiernego od św. Mateusza, pojechać do Royston, rozpętać tam wściekłą awanturę z drobnym, przywiędłym młodym człowiekiem, który dostarczał mi alkoholu, i wymóc na nim, aby już nigdy więcej nie usiłował sprzedać mi towaru pochodzącego sprzed podwyżki podatku od luksusu po podwyższonych cenach, pojechać do Fareham na umówiony róg i tam, o pół do czwartej, spotkać się z Dianą.

Tak właśnie zrobiłem. Pytania Diany obejmowały niektóre spośród dziedzin, którymi zajmowaliśmy się już poprzedniego popołudnia, i wreszcie doprowadziły ja do ogólnego

tematu tego, czym, moim zdaniem przynajmniej, mężczyźni tak bardzo różnią się od kobiet, na który już łatwiej było mi podjąć dyskusję. Potem, zanim jeszcze dotarliśmy do zagłębienia na wzgórzu, zaczęła w zawrotnym tempie rozbierać się. Wszystko odbyło się inaczej niż ostatnio. Gdy ona była już naga, a ja szamotałem się nadal ze spodniami, położyła się na plecach, wpatrzyła we mnie i zaczęła energicznie poruszać się na ziemi. Ledwo położyłem się obok niej, natychmiast bardzo wyraźnie dała mi do zrozumienia, że tym razem nie będzie wymagać tego co podręczniki nazywają pieszczotami wstępnymi; szczerze mówiąc, aż do chwili, gdy główne stadium całej sprawy nabrało żywiołowego rozmachu, nie miałem nawet okazji pocałować jej. Wydawało mi się, że to główne stadium trwa już całe godziny: Diana przejawiała niewiarygodne zapasy energii. Nie zaprzętałem sobie głowy rozmyślaniami, czy jej zachowanie jest naturalne, czy symulowane, i dobrze zrobiłem. Zresztą zawsze trudno jest stwierdzić to ponad wszelką wątpliwość: orgazm to tylko odruch, ale nie można nazwać tak żadnego z czynników towarzyszących orgazmowi (nie mówiąc już o tym, do czego możemy być zdolni podczas innych stadiów tej czynności). Nie zastanawiałem się też nad tym, czy Diana rzeczywiście osiąga ten punkt z częstotliwością, którą sugeruje jej zachowanie, i czy w ogóle do niego dociera. Nie tym martwię się przy takich okazjach, i też dobrze robię. Cała tajemniczość, emocjonalna skrytość i rezerwa kobiet, cały uczuciowy bagaż, z którym się nie rozstają i który każą dźwigać mężczyznom - te i niezliczone inne, konkretniejsze przejawy wywołane są bynajmniej nie ową drobną okolicznością, że kobiety zachodzą w ciążę, rodzą i wychowują dzieci, ale faktem, że nie zaznają one erekcji ani ejakulacji. (A skoro już o tym mówimy, to właśnie fakt, że mężczyźni zaznają ich, pozbawia rolę biernego homoseksualisty wszelkiej autentycznej głębi i wiarygodności.)

Wszystkie dobre kochanki wiedzą o tym, że ejakulacja krańcowo zmienia nastrój i tok myślenia. Gdy tak leżałem obok Diany, najpierw przyszło mi do głowy, że oto demonstruje ona swą nieobliczalność: wczoraj pełna była wyłącznie bierności, dziś tylko pozytywnego działania. Po chwili, może bardziej litościwie, może nie, stwierdziłem, iż wczoraj była zbyt podniecona, aby nie zachowywać się tak, jak naprawdę chciała, zaś dzisiejsza ekwilibrystyka miała na celu wprowadzenie mnie w podziw wobec jej seksualnej sprawności: można by to nazwać przejściem od narcyzmu mimowolnego do narcyzmu z premedytacją. No i co z tego? Oba jej wcielenia podobały mi się.

Powiedziałem jej, mniej więcej, jak bardzo jest nieobliczalna, i przyjęła to całkiem nieźle. Gotów już byłem dostarczyć jej większych ilości tego samego materiału, kiedy powiedziała:

- Słuchaj, jeśli chodzi o ten twój pomysł, żebyśmy wszyscy poszli do łóżka, ty i ja i

Joyce.

- Tak?

- Myślałam o tym.

- To dobrze.

- Maurice.

- Tak?

- Maurice, co ty właściwie będziesz z tego miał? To znaczy, rozumiem, co ja będę z tego miała, a przynajmniej wydaje mi się, że rozumiem, ale na czym polega twoja rola? Nie, Maurice, nie zachowuj się obrzydliwie i straszliwie. Wiesz, o co mi chodzi.

- Tak, chyba tak. Cóż, skoro wiem, ile radości może dać pójście do łóżka zjedną piękną dziewczyną, to sądzę, że pójście do łóżka z dwiema powinno dać dwa razy tyle radości, o ile nie więcej. Znacznie więcej niż dwa razy tyle. W każdym razie, warto spróbować.

- Hm. Chciałbyś też patrzeć, jak my to robimy, prawda?

- Raczej tak. Jakoś nigdy nie mogłem dostrzec niczego złego w chęci oglądania robiących to ludzi, pod warunkiem, że nie ograniczam się do oglądania, a oczywiście nie będę się do tego ograniczał. I przynajmniej jeśli o mnie chodzi, pod warunkiem, że żadna z oglądanych osób nie jest facetem, a ten warunek też będzie wypełniony.

- Ro...zumiem. Czy chciałbyś, żebym, hm, też była miła dla Joyce, jeśli Joyce będzie miła dla mnie?

- Możecie robić, na co tylko macie ochotę.

- Tak, ale czy chciałbyś tego?

- No, tak.

- Och. Maurice... Maurice, czy po części nie pociąga cię urok zakazanego owocu?

- Tak, chyba masz rację. Na miłość boską, to chyba wystarczający powód.

- Nie złość się na mnie, ale muszę ci powiedzieć, że to bardzo sztubackie.

- Ach, więc dlatego tak mnie to kusi.

- Cóż, trójeczka ma przynajmniej tę zaletę, że nie przypadłaby do gustu Jackowi - powiedziała nagle, tak nagle, że skończyła zdanie w czasie, który normalnie wystarczyłby jej zaledwie na wypowiedzenie pierwszego słowa.

Otworzyłem oczy, kierowany instynktem, który kazał mi przygotować się w ten sposób na to, co miało nastąpić, choć widziałem jedynie rozmazany, zbyt bliski policzek, część nosa i podbródka.

- Rzeczywiście - powiedziałem.

- Wiem, że wszyscy lekarze pieprzą się ze swymi pacjentkami, ale on mógłby mieć choć

tyle przyzwoitości, żeby nie obnosić się z tym - ciągnęła dalej, na razie przestrzegając swojej nowej zasady mówienia z normalną ludzką prędkością. Potem powróciła do poprzedniego tempa. - Ale - to - je - szcze - nic w porównaniu z moimi prawdziwymi zarzutami wobec niego.

Zapadło milczenie. Pewnego dnia, kiedy znów zrobi mi coś podobnego, zakopię ją po szyję w mrowisku albo udam, że śpię, ale to jeszcze nie dzisiaj.

- Jakimi zarzutami?

- Nienawidzę go. Nie mogę go znieść.

- Nie możesz? - Mój głos wyrażał chyba zaskoczenie nieco większe, niż czułem naprawdę. Dianie tak rzadko zdarzało się wywołać we mnie jakieś pełnokrwiste uczucie (poza pożądaniem i irytacją, w najsilniejszej możliwej koncentracji), że chyba nabrałem przy niej nawyku przesadnej mimiki.

- O...czywiście, że nie mogę. Na - pewno o tym wiesz. On nie przejmuje się mną, bo on w ogóle nigdy niczym się nie przejmuje, ale ja przejmuję się nim, i to jak.

- Co ci się w nim nie podoba?

- Och, wszystko. Już od lat próbuję zdecydować się na opuszczenie go. Ale, Maurice, czy nie uważasz, że to bardzo dziwne?

- ...Że co jest dziwne?

- Cóż. To, że znasz Jacka i mnie już od trzech lat z górą, i nigdy nie zauważyłeś tego absolutnie oczywistego i prostego faktu, że ja go nie znoszę. To znaczy, naprawdę o tym nie wiedziałeś? Nie żartujesz sobie ze mnie?

- Nie.

- Na pewno?

- Tak, na pewno.

- Maurice. - Odwróciła głowę i zobaczyłem gigantyczne oko, patrzące wprost w moje. - Ależ to najniezwyklejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. Zawsze uważałam cię za jednego z najbardziej wrażliwych i spostrzegawczych ludzi na świecie, a nigdy nie zauważyłeś nawet, że nie mogę znieść własnego męża, a podobno straszliwie się mną interesujesz.

Mógłbym przysiąc, że nigdy nie zauważyłem ani nie usłyszałem niczego, co sugerowałoby, że Diana pozostaje z Jackiem w innych niż - co najmniej - znośnych stosunkach, ale nie mogłem zdecydować się, czy to wszystko ma na celu usprawiedliwienie jej postępowania ze mną, czy też, po prostu, a było to bardziej prawdopodobne, ma to być jeszcze jedno taktyczne posunięcie w jej kampanii uświadomienia mi, że jestem mniej

wyrafinowany duchowo niż niektórzy ludzie w okolicy - niż na przykład ona. Jednakże, zanim zdołałem sklecić jakieś prowizoryczne wyznanie emocjonalnej niższości, odsunęła się nieco ode mnie, jakby chcąc, abyśmy mogli dobrze spojrzeć sobie w oczy, lecz przy tym w skomplikowany sposób poruszając całym ciałem. Jednocześnie zobaczyłem, jak jej podbródek opada, a oczy zastygają w tym samym zbaraniałym wyrazie, jakiego nabrały wczoraj po południu. Napinając grzbiet powiedziała, bez myślników:

- Dobrze, zróbmy to. Kiedy tylko chcesz. Zrobię, czego tylko zapragniesz.

Byłem tak podniecony, że wszystko skończyło się już po kilku chwilach, ale nie poznałem jeszcze kobiety, która nie ceniłaby sobie męskiego podniecenia, a w ciągu tych kilku chwil zdołałem skomplikować całkiem atrakcyjne potpourri wszystkiego, co do tej pory zaszło między nami. Zresztą, mówiąc tak, poważnie wulgaryzuję sprawę. Nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek mógł całkowicie zapomnieć ten moment, dopóki tylko będę w ogóle w stanie coś pamiętać. A jeśli bodziec, który to wywołał, był nieco przyziemny, i to co najmniej na dwa sposoby, to niech sobie będzie przyziemny. Innymi słowy - pocałujcie mnie w dupę. Każdy, kto miałby ochotę twierdzić, iż jakkolwiek akt seksualny normalnego rodzaju, a może i każdego rodzaju, może nie sprawić radości, jest potworem, na wielką lub na małą skalę.

W drodze powrotnej Diana zachowywała dziwny spokój. Zastanawiałem się, czy nie jest to może wstęp do objawienia się nowego aspektu jej interesującej osobowości w postaci stwierdzenia, że zmieniła zdanie w sprawie naszego projektu orgii, ale nie mogłem zastanawiać się nad tym zbyt intensywnie ani zbyt długo, bo myślałem właśnie o tym, jakby najlepiej zaproponować jej coś jeszcze, coś na swój sposób równie nieprzyzwoitego. Wreszcie powiedziałem:

- Diano, chciałbym prosić cię o coś jeszcze.

- Co takiego, ty i ja, i David Palmer?

- Nie, coś zupełnie innego. Chyba dowiedziałem się o miejscu, w którym może być zakopany skarb. Czy pomogłabyś mi go szukać?

- Maurice, to straszliwie podniecające. Co to za skarb? Jak się o nim dowiedziałeś?

- Natknąłem się na pewne stare papiery odnoszące się do domu, ale w nich napisano tylko, gdzie to jest, ale nie, co to takiego. Oczywiście, może tego tam już nie być.

- Rozumiem. Gdzie to jest?

- Z tego, co zrozumiałem, eee, na tym małym cmentarzu przy drodze, tuż obok „Zielonego Człowieka”.

- W grobie? W czyjejś trumnie?

- Tak, tak tam było napisane.
- Czy chcesz, żebyśmy rozkopali grób i otworzyli czyjąś trumnę? - Szybko pojmowała.
- Tak. Widzisz, to bardzo stary grób. Będą w nim tylko kości. No i ten skarb.
- Maurice Allington, czy ty zupełnie, całkowicie zwariowałeś?
- Nie sądzę. Dlaczego pytasz?
- Kpisz sobie ze mnie. Chcesz rozkopać grób.

- Słowo ci daję, że mówię poważnie. Chciałbym znaleźć ten skarb. Jak powiedziałem, może go tam w ogóle nie być albo może być tam coś całkiem bez wartości, ale nigdy nie wiadomo. Proszę cię o pomoc, bo ktoś musi trzymać latarkę i w ogóle mi pomóc, a ty jesteś jedyną osobą, którą znam i której taka propozycja nie wprawi w święte oburzenie.

Przełknęła to całkiem gładko, ale i tak musiała dodać na koniec swoje trzy grosze:

- Ale to nieprawda, że chcesz, żebym ci pomogła. Chodzi ci o towarzystwo, prawda? Boisz się zrobić to sam.

Skinąłem głową z udawaną skruchą. Tym razem też nie miała racji: po prostu, jeśli na cmentarzu miałyby się wydarzyć coś niezwykłego, chciałbym, aby pod ręką był ktoś jeszcze, kto mógłby to zobaczyć. Ale byłem szczerzy, gdy powiedziałem, że Diana jest jedyną osobą, którą mogę o to poprosić. Był to rzeczowy argument na jej korzyść.

- Czy musimy robić to w nocy?

- Cóż, raczej tak, nie sądzisz? Przecież przez cały dzień ludzie jeżdżą po drodze, a pracowici kmiecie uprawiają rolę. To potrwa nie dłużej niż pół godziny.

- A czy aby nie ciąży nad tym jakaś klątwa?

- O Boże, nie, nic podobnego. Facet po prostu potrzebował bezpiecznego miejsca, żeby przechować parę rzeczy.

- No, dobrze. Pójdę z tobą. Wygląda na to, że możemy mieć niezłą rozrywkę.

- W każdym razie będzie to coś niecodziennego. Może zrobimy to już tej nocy? Nie ma sensu zwlekać. Będziesz mogła wyrwać się z domu?

- Oczywiście. Robię to, na co mam ochotę.

Byliśmy już na rogu. Umówiliśmy się na pół do pierwszej w nocy, w miejscu bliższym jej domu. Wracając do zajazdu zatrzymałem się przy cmentarzu i uważnie obejrzałem grób Underhilla. Nie spodziewałem się, abym w nocy miał mieć jakieś szczególne trudności: nie było żadnej płyty nagrobkowej do podniesienia, a ziemia, dźgnięta palcem, wydała mi się pulchna, jak wszędzie w tej okolicy. Nie wiem, jaki nastrój mógł tu panować po ciemku, ale o godzinie piątej w letnie popołudnie miejsce to było zwyczajne i solidne, kojarzące się nie ze starością i rozkładem, a jedynie z pospolitym zapuszczeniem; prawie cały jego obszar (poza

kątem, w którym pochowany był Underhill) był gęsto zarośnięty, a ziemie zaśmiecały papierki od lodów, puszki po piwie i szczątki nagrobków, te ostatnie w znacznie mniejszej ilości.

Pojechałem pod „Zielonego Człowieka”, poszedłem na górę i napełniłem sobie szklanę, którą chciałem szybko wypić przed kąpielą i przebraniem się. Usiadłem w pozbawionym charakteru, lecz wygodnym fotelu obok kominka, naprzeciwko okna we frontowej ścianie. Było ono zasłonięte, ale i tak mnóstwo światła wpadało przez drugie okno, po mojej lewej stronie, przy którym stała francuska dziewczyna. W pokoju Amy po drugiej stronie korytarza jej gramofon produkował miksturę grzmotów, trzasków i ryków. Gdy jej słuchałem, a raczej gdy znosiłem jej dźwięk, hałas raptownie ucichł. Sącząc whisky, półświadomie czekałem, aż zacznie się następna płyta. Zapanowała teraz niezwykła cisza; prawdę mówiąc, całkowita cisza. A było to nie tylko dziwne, ale wprost niemożliwe. W żadnym zajeździe cisza nie może panować dłużej niż przez parę sekund, wyjąwszy cztery czy pięć godzin pomiędzy zaśnięciem ostatniego gościa a początkiem krzątania pierwszych pracowników. Podeszedłem do drzwi i otworzyłem je; nie mogłem usłyszeć żadnych, absolutnie żadnych dźwięków. Kiedy znów spojrzałem na pokój, stwierdziłem, że wygląda on w jakiś sposób inaczej, przynajmniej inaczej, niż wyglądał pięć minut temu, gdy do niego wszedłem. Było w nim ciemniej. Ale jak to możliwe? Tak jak przedtem, jaskrawe światło słońca wpadało przez boczne okno. Aha: to drugie okno było ciemniejsze. Pomiędzy zasłonami i na ich brzegach w ogóle nie było widać światła. To też było niemożliwe. Czując na razie jedynie ogromną ciekawość, pośpiesznie podeszedłem do zasłon i rozsunąłem je.

Na zewnątrz była noc, absolutnie ciemna, jak wydało mi się w pierwszym momencie, jakbym otworzył oczy tysiące sążni pod wodą, na dnie morza. Po chwili spostrzegłem, że naprawdę wcale nie było aż tak ciemno: nisko na niebie świecił księżyc w pełni i prawie nie było chmur. Krajobraz za oknem wyglądał niemal tak, jak co noc, brakowało tylko iglastego lasu na samym horyzoncie. Nieco bliżej małe uprawne poletka zastąpiły znajome pastwiska. A na pierwszym planie, tuż pode mną, zniknął żywopłot rosnący wzdłuż szosy, zniknęły - oczywiście - słupy telegraficzne, i sama szosa skurczyła się do rozmiarów polnej drogi. Mimo że nic się nie poruszało, był to żywy obraz, nic w rodzaju nieruchomej fotografii.

Spojrzałem znów na jadalnię, w której nic się nie zmieniło. Pięcioro moich wyrzeźbionych ludzi jak zawsze wpatrywało się w przestrzeń, choć wydało mi się, że po raz pierwszy dostrzegłem w ich niewzruszoności coś lekko złośliwego. Podeszedłem do bocznego okna, za którym roztaczał się normalny dzienny widok. Gdy nań patrzyłem, od strony wioski ukazał się jasnyniebieski sportowy samochód, TR5 sądząc z wyglądu, i przejechał, ostro



przyśpieszając, ale w kompletnej ciszy, po drodze ku zajazdowi. Oczywiście, we frontowym oknie nie zobaczyłem go.

Stałem i myślałem. Najrozsądniej, rzecz jasna, uczyniłbym, biegnąc po Amy i przyprawdzając ją tutaj w nadziei, iż udowodnię sobie i wszystkim innym, że nie mam przywidzeń, a raczej, że to, co widzę, naprawdę istnieje, że, przynajmniej, nie oszalałem. Ale nie mogłem narazić mojego dziecka na przerażenie, czy to spowodowane ujrzeniem tego, co ja oglądałem, czy też stwierdzeniem, że widzi ona coś innego niż ja. A brakło mi też pewności, że jeśli wyjdę na korytarz i do jej pokoju, to znajdę ją w nim, że w ogóle znajdę tam cokolwiek znajomego.

W tym momencie niezdecydowania usłyszałem dochodzące z dołu głosy, męski i kobiecy, a potem w przedniej części domu trzasnęły drzwi na dwór, ale nie moje frontowe drzwi. Kobieta, którą już dwukrotnie widziałem na podeście schodów, pojawiła się za oknem, niosąc małą latarnię i kierując się ku wiosce - ledwie dostrzegłem twarz, ale jej ogólna sylwetka i chód nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Z parteru znów dobiegł mnie, bardzo słabo, głos mężczyzny, tym razem o odmiennej intonacji, z dziwną monotonią, którą potrafiłem zidentyfikować, albo, gdybym mógł chwilę się zastanowić, dla której mógłbym znaleźć coś bardzo podobnego. Tak, ksiądz, kapłan, intonujący część nabożeństwa, z którą najlepiej jest uporać się jak najprędzej.

Kobieta już niemal znikła mi z oczu: ledwie dostrzegałem chwiejne światełko jej latarni. W tym momencie zauważyłem ruch z drugiej strony mego pola widzenia, z kierunku, między innymi, tego, co w tej chwili nazwę tylko lasem. Wysoka, niezwykle barczysta sylwetka kulejąc niezgrabnie szła po drodze, z nieubłaganą energią maszyny tupiąc masywnymi nogami, które widocznie były nierównej długości, i w niedokładnie zsynchronizowanym rytmie wymachując długimi ramionami. Gdyby był to człowiek, ważyłby co najmniej sto sześćdziesiąt kilogramów, ale to nie był człowiek: istota ta składała się z kawałów drewna, niektórych pokrytych gęstą karbowaną korą, innych z cienką lśniącą skórą, z naręczy gałązek i pnączy i ze sprasowanych porcji zielonych, suchych i gnijących liści. Gdy zbliżała się do mnie, mozolnie przyśpieszając tempa, zobaczyłem, że na jej lewym udzie, od mojej strony, usadowiła się płaska huba, której skrawki odpadają przy każdym kroku, i usłyszałem skrzypiący i szeleszczący odgłos jej marszu. Znalazłszy się dokładnie na mojej wysokości, zwróciła ku mnie swą niezgrabną, sękatą głowę, a ja zamknąłem oczy, nie chcąc widzieć jej twarzy, jak za pierwszym razem, w hipnagogicznej wizji z przedwczorajszej nocy. Jednocześnie z dołu rozległ się krzyk przestachu czy też odrazy; wiedziałem, że w tej chwili (relatywnie mówiąc) Underhill wygląda przez okno sali restauracyjnej, która teraz (z mojego

punktu widzenia) była zamknięta i pusta.

Kiedy znów otworzyłem oczy, stwór zaczynał oddalać się ode mnie groteskowym, chybotliwym truchtem. Czekałem i myślałem o tym, co będzie, jeśli to przedstawienie trwać będzie bez końca, a ja pozostanę zawieszony w czasie gdzieś pomiędzy epoką Underhilla a moją. Gdybym tylko zdołał przedostać się do obrazu, który nadal widziałem przez boczne okno, może wtedy powróciłby dźwięk i wszystko skończyłoby się dobrze. Ale jak tam dotrzeć? Kiedy przed chwilą otworzyłem drzwi, to raczej nasłuchiwałem, nie rozglądałem się, ale teraz nie wątpię, że ten pokój jest jedyną częścią domu, która nie została cofnięta do stanu sprzed niemal trzech stuleci. Wyglądało na to, że jedyna możliwa droga ucieczki prowadzi przez boczne okno i po ścianie. Już zaczynałem martwić się, że ta wersja rzeczywistości może okazać się wyłącznie wzrokową halucynacją, kiedy usłyszałem krzyk, niezbyt bliski, może o jakieś dwieście metrów, ale bardzo wyraźny w całkowitej ciszy, i bardzo głośny, któremu towarzyszył inny odgłos, równie głośny: zawodzenie albo nierówne wycie, jakby coś, co często słyszałem, ale co nie pasowało do tych okoliczności, jakby szum silnego wiatru pośród drzew. Zatkąłem uszy palcami i nadal patrzyłem na wyludniony teraz nocny krajobraz przed sobą. Jak długo jeszcze wytrzymam ten widok?

Wtedy, nieco na lewo od środka obrazu, nieoczekiwanie pojawiło się światło lub płomień, niemal oślepiająco jaskrawe, żółto-zielonej barwy. Po kilku chwilach rozblęskło drugie, na niebie, bardzo duże, jak tarcza słońca, ale o poszarpanym kształcie i głęboko niebieskim kolorze. Po dłuższej pauzie, niemal jednocześnie zapłonęły dwa następne, jeszcze jedno żółtawo-zielone w pobliżu pierwszego i większe błękitne na drugiej stronie nieba. Niemal przez sam środek pierwszego z nich, mającego kształt grubej kolumny o nierównych brzegach, biegła cienka, ciemna pionowa kreska. Rozpoznałem ją, w pierwszej chwili nie mogąc jej nazwać, a potem zobaczyłem, że jest to fragment słupa telegraficznego. W krótkich, nieregularnych odstępach czasu pojawiały się kolejne światła, jak rozbryzgi roztopionego metalu padające na ciemną kliszę fotograficzną. Trzy z nich zlały się ze sobą, ukazując mi kilka metrów skąpanej w słońcu szutrowej drogi. Wyjąłem palce z uszu. Szybciej, niż uzasadniałoby to fizyczne zbliżanie się pojazdu, na zewnątrz rozległ się i nabrał głośności dźwięk samochodu. Usłyszałem męskie głosy i hałas otwieranych i zamykanych frontowych drzwi - moich frontowych drzwi. Kiedy pozostało już tylko kilka odizolowanych od siebie plam ciemności, za moimi plecami otworzyły się drzwi do pokoju.

Odwróciłem się gwałtownie. Wiktor galopem popędził do moich stóp i położył się na boku. Za nim była Amy. Podbiegłem do niej i objąłem ją ramionami.

- Co się dzieje, tato?

- Nic. Wszystko w porządku. Tylko zrobiło mi się trochę smutno.
  - Och. Czy słyszałeś ten krzyk?
  - Co takiego?
  - Krzyk. To chyba był ktoś na dworze. Daleko stad, ale brzmiało to jakoś blisko. Nie słyszałeś tego?
  - Tak, słyszałem. - Tak trudno było mi zachować spokojny wygląd i głos, że prawie nie mogłem mówić. - Ale... czy nie słuchałaś swoich...?
  - Akurat skończyła mi się płyta i było bardzo cicho.
  - Czy może - za oknem było ciemno?
  - Ciemno? Nie. Jak może być ciemno za oknem?
  - Jak myślisz, kto to krzyczał?
  - Mówiłeś, że ty też to słyszałeś.
  - Tak - powiedziałem, podnosząc i opróżniając szklankę z whisky - ale ciekawi mnie, co ty o tym myślisz.
  - Och. Cóż... to była kobieta. Miała bardzo przestraszony głos.
  - Och, chyba to nie tak było, kochanie. Już raczej jakaś dziewczyna z wioski chciała sobie pofiglować.
  - Nie tak to dla mnie brzmiało.
  - Czy słyszałaś jeszcze jakieś dźwięki?
  - Nie. Ooch, tak. Coś, jakby... takie przyzywające wycie albo jakby ktoś śpiewał, bez słów, tylko śpiewał i śpiewał. I cały czas wyżej i niżej. Ty też to słyszałeś, prawda?
  - Och, tak. Ktoś się po prostu wygłupiał.
- Amy milczała przez moment, po czym powiedziała:
- Może chciałbyś obejrzeć ze mną Listę Przebojów? Zaczyna się o piątej czterdzieści.
  - Dziękuję, Amy, ale chyba nie.
  - Ostatnio mówiłeś, że ci się podobała.
  - Naprawdę? Tak, ale dziś wieczorem będę miał dużo pracy. Muszę przebrać się i jak najszybciej zejść na dół.
  - Dobrze, tato.
  - Jeszcze zajrzę do ciebie.
  - Dobrze.

Wyszła nastrojona raczej ugodowo. Tym razem wolałbym wybuch złości. Nie zdołałem uspokoić Amy, jedynie zaintrygowałem ją, i to w dość niepokojący sposób: wiedziała, że nie powiedziałem jej prawdy. Ale jak mogłem powiedzieć jej, że nie musi martwić się tym, co

słyszała, bo dotarło to do niej z roku tysiąc sześćset osiemdziesiątego któregoś?

Mimo to, i mimo że to, co oglądałem, i sposób, w jaki to widziałem, wstrząsnęły mną na wskroś, czułem też sporą ulgę. Niewielu ludzi posiada zasoby uporczywości, aby samo tylko wewnętrzne przekonanie pozwoliło im w obliczu pozornie dobitnych dowodów na rzecz przeciwnej opinii zachować pewność, że nie wariują. Chcąc to uczcić, między innymi, wypilem zawartość dwóch szklanek po brzegi wypełnionych whisky z wodą; trwało to dwie minuty i nie sprawiło mi żadnej trudności. Potem poszedłem się wykąpać.

Leżąc bezwładnie w gorącej wodzie, poczułem się niemal dobrze. Rzeczywiście, po porannych dolegliwościach serce i plecy nie dawały już o sobie znać. Jack Maybury z pewnością chętnie wygłosiłby komentarz na ten temat, choć raczej nie wypadało mi wyznać mu, jakie to zajęcia przez większą część dnia nie pozwalały mi na egoistyczne rozmyślenia. Czułem się trzeźwy, a raczej, zważywszy, że już od kilkunastu lat uznawałem uczucie całkowitej trzeźwości za niepożądane, niemal trzeźwy. Czułem się prawie całkowicie dobrze. Zielony człowiek. „Zielony Człowiek”. Dziesiątki, może setki angielskich gospod i zajazdów noszą tę nazwę na cześć, jak kiedyś wyczytałem, albo Zielonego Jasia, tradycyjnej postaci sobótkowych korowodów, albo po prostu leśniczego, ubranego na zielono. Czy to możliwe, że nazwa mojego domu, która nie zmieniła się od chwili zbudowania go w końcu czternastego wieku, pochodzi z innego źródła, że już wtedy istniał niesamowity sługa Underhilla? Jeśli rzeczywiście tak było, to ochrzcenie zajazdu imieniem tego stworza stanowiło dość swoisty chwyt reklamowy. Ale to ciekawe przypuszczenie.

Czułem coraz większe odrętwienie. Spojrzawszy niewidzącym wzrokiem na miejsce, gdzie sufit łączył się ze ścianą, zobaczyłem mały, szkarłatno-zielony obiekt poruszający się powoli od lewej strony ku prawej. Najpierw od niechcenia, a po chwili z całym skupieniem, na jakie było mnie stać, spróbowałem go zidentyfikować. Jakaś mucha albo ćma. Ale na pewno w Anglii nie ma ani much, ani ciem tak ubarwionych. A stworzenie to nie poruszało się ani tak jak mucha, szybkimi, raptownymi skokami, przy których skrzydła i nogi zmieniają się w niewyraźną, okrągłą ciemną plamę, ani też niepewnymi, trzepoczącymi ruchami ćmy. Jego skrzydła - jego dwa skrzydła - były powietrze w łatwo dostrzegalnym, powolnym rytmie, a nogi - też dwie - trudniejsze już do zauważenia, były podkurczone pod ciało; widziałem też szyję i głowę. To był ptak. Ptak wielkości muchy albo małej ćmy.

Rozpryskując wodę, zerwałem się na nogi i przyjrzałem się stworzeniu z bliska. Nadal widziałem ptaka: dostrzegłem połyskliwość jego upierzenia i - wyteńczywszy wzrok - poszczególne pazurki na łapach, i usłyszałem cichutkie łopotanie skrzydeł. Wyciągnąłem rękę, chcąc go schwytać, i zniknął na moment, a potem znów się pojawił, wylatując z grzbietu

mojej zaciśniętej dłoni. Złapałem ręcznik, zwinąłem go w kłębek i z zamkniętymi oczyma, krzychałem weń przez jakieś dwie minuty. Kiedy znów otworzyłem oczy, ptaszka już nie było. Przez następne dwie czy trzy minuty jęczałem jeszcze i łkałem w ręcznik, a potem jak najszybciej wytarłem się nim, licząc po cichu, i pobiegłem do sypialni. Jeśli zdążę się ubrać, zanim doliczę do czterystu pięćdziesięciu tysięcy, to już nigdy więcej, albo przynajmniej przez jakiś czas, nie zobaczę tego ptaszka. Zamykałem oczy, kiedy tylko się dało, i zdołałem zawiązać muszkę nie otwierając ich ani razu, ale musiałem przejrzeć się w lustrze, żeby uczesać włosy, i zauważyłem małego owada krążącego bezdźwięcznie wokół mojej głowy. Choć byłem absolutnie pewien, że to tylko mucha - poczułem, że muszę rzucić się na łóżko i przez chwilę pokrzyzczyć i połkać w poduszkę, nie przerywając odliczania. Ze względu na tę przerwę podwyższyłem ostateczną liczbę o sto tysięcy, co było uczciwe, bo nie przewidziałem tego, ustalając pierwszą liczbę, a nie mogło to trwać dłużej niż półtorej minuty. Założyłem smoking i wyszedłem z sypialni, odliczywszy czterysta dwadzieścia siedem tysięcy; mogłem więc mieć nadzieję, że przez jakiś czas nie zobaczę ptaszka.

Bez kłopotu dotarłem do podestu schodów zamykając jedno oko i spoglądając przez wąską szparę między powiekami drugiego. Tutaj wpadłem na Magdalenę i kazałem jej znaleźć Nicka albo, gdyby go nie było, Davida. Potem wróciłem do jadalni, raczej po omacku, usiadłem, unikając fotela naprzeciw frontowego okna, i zacisnąłem powieki. Po niecałej minucie usłyszałem pośpieszne kroki i otworzyłem oczy; zaprzestałem odliczania, które do tej pory kontynuowałem, nie czując ku temu żadnego konkretnego powodu. Oddychałem już w normalnym tempie.

Wbiegł Nick z Jackiem Maybury'yrn. Obaj byli zaaferowani; Nick na swój sposób, Jack na sposób lekarski, ale bez odrobiny surowości. Podeszedł do mnie i przyjrzał mi się uważnie.

- Co się stało, Maurice?

- Zobaczyłem coś.

- Znowu duchy? - Zerknął na Nicka, a potem zwrócił znów wzrok na mnie. - Słyszałem o twoich kontaktach ze światem duchów.

- Skąd się tu wziąłeś, Jack?

- Wracałem do siebie i wpadłem tu na drinka. Okazuje się, że w samą porę. Nick, zechciałbyś zadzwonić do Diany i powiedzieć jej, że trochę się spóźnię? - Podał mu numer i Nick wyszedł. - A więc, Maurice, słucham - mówił dalej, z rzadką u niego delikatnością.

Opowiedziałem mu to, co musiałem, o zielonym człowieku, o krzykach kobiety i o tym, że Amy powiedziała, iż też je słyszała. Nie wspominałem o owym drugim dźwięku, który oboje słyszeliśmy.

- A więc uważasz, że Amy słyszała to, co ty, albo przynajmniej część tego, co ty? Rozumiem. Kiedy to było? Rozumiem. Ale to nie wszystko, prawda?

- Tak. Zobaczyłem ptaka latającego po łazience. Był bardzo mały. - W tym momencie znów zacząłem szlochać. - Ale latał jak wielki ptak. Powoli uderzał skrzydłami. Zniknął po chwili. Tuż przedtem wypłem dość sporo, z ulgi, że Amy też słyszała te krzyki, to znaczy, że w ogóle ktoś oprócz mnie je słyszał. Chyba jest tu jakiś związek.

- Cóż, być może, choć zazwyczaj nie dzieje się to tak szybko. W normalnych przypadkach alkohol musi kumulować się powoli.

- To było chyba...

- Rzeczywiście, nieco przypomina to *delirium tremens*, z którym jednak raczej nie kojarzy mi się twój drewniany ludzik. Maurice, czy miewałeś już kiedy podobne sny?

- To nie był sen, mówiłem ci już. Nic mi się nigdy nie śni.

- Ale może po prostu zdrzemnąłeś się w fotelu? Na pewno...

- Nie, widziałem to wszystko.

- W porządku. - Zaczął mierzyć mi tętno.

- Po co to robisz?

- Chyba bez potrzeby. Pocisz się nadal?

- Dzisiaj nie.

- A jak tam dreszcze?

- W normie.

- Dobrze. Posłuchaj, cokolwiek mógłbyś zobaczyć w ten sposób, nie może ci to wyrządzić żadnej krzywdy. Rozumiem, że takie rzeczy mogą przerazić, ale zapamiętaj sobie, że nie zrobią ci nic poza tym. *Delirium tremens* to nie jest jeszcze katastrofa, to tylko sygnał ostrzegawczy, i możemy sobie z tym poradzić. Zazwyczaj jego przyczyną jest napięcie emocjonalne, plus oczywiście alkohol i wydaje mi się, że w tym wypadku bodziec stanowiła śmierć twojego ojca. Chyba te twoje duchy były czymś w rodzaju preludium do afery w łazience, a twoje przekonanie, że otaczają cię ponurzy, wrodzy osobnicy, nie jest niczym wyjątkowym w takich okolicznościach. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak, to znaczy rozumiem, co chcesz powiedzieć.

- Dobrze. Potrzebujesz kilku dni odpoczynku. David to bardzo kompetentny młodzieniec, a Joyce...

- Jack, nie dam się zamknąć w domu wariatów.

- Na miłość Boską, to nie jest dom wariatów. To prywatna klinika, która zajmuje się najrozmaitszymi przypadkami, z bardzo miłą...

- Nic z tego. Muszę tu dopilnować mnóstwa rzeczy. Na przykład jutro jest pogrzeb ojca. Może później. Musisz mi pomóc w tej sprawie. Powiedz, co... - Usłyszałem zbliżające się kroki i pośpiesznie dorzuciłem: - Nic nikomu nie mów i zapisz mi jakieś pigułki. Są na to pigułki, prawda?

Wszedł Nick.

- Może niezbyt dobre, ale są. Dobrze. Ale nie podoba mi się twój upór. - Jack odwrócił się do Nicka. - Wszystko w porządku?

- Tak. Przepraszam, ale nie mogłem się dodzwonić.

- Tak, wiem. Cóż, werdykt w sprawie twojego ojca brzmi, że trochę za często zagląda on do kieliszka. A więc będzie musiał ograniczyć się, pod nadzorem lekarza.

- Co to za „ograniczyć się”? - powiedziałem. - Przez najbliższe pięćdziesiąt lat nie będę mógł nawet spojrzeć na wódkę.

- Nie, Maurice. W ten sposób tylko, hmm, narobisz sobie kłopotów. Masz na początek ograniczyć normalną ilość o połowę, o nie więcej niż połowę. I spróbuj nie przejmować się niczym. Niech David zajmie się twoimi sprawami. I porozmawiaj o tym z Nickiem i Joyce. To moja lekarska recepta. Cóż, chyba jednak nie spóźnię się aż tak bardzo do domu. Nick, gdybyś zechciał zajrzeć do mnie za jakieś pół godziny, to postaram się przygotować coś dla twojego ojca. Maurice, możesz do mnie dzwonić o każdej porze. To minie po kilku dniach, jeśli tylko zastosujesz się do moich zaleceń. Na razie do widzenia.

Odprowadzę cię, Jack powiedział Nick.

- Och, nie trzeba... Dobrze. Dziękuję.

Ledwo wyszli, zamknąłem oczy. Tylko na wszelki wypadek: już zaczynałem czuć się lepiej, a przynajmniej nie tak źle. Poza przypadkami bezpośredniego śmiertelnego niebezpieczeństwa, życie nie może ograniczać się do tylko jednej rzeczy. Bez względu na ptaka, miałem zamiar pojechać w nocy po Dianę i znaleźć to, co Underhill kazał pochować ze sobą w grobie. Prawdopodobnie będzie to przerażające przeżycie, ale tym lepiej. Bojąc się tego, co może stać się na cmentarzu, nie będę już mógł się bać, że zobaczę ptaka.

Nick wrócił do pokoju i przystawił fotel dla siebie obok mojego.

- Nick, to nie były przypadkowe odwiedziny, prawda?

- Nie. Poprosiłem go, żeby zajrzał. Rzeczywiście, w samą porę.

- O czym rozmawiałeś z nim teraz?

- Spytałem go, czy jego zdaniem tracisz zmysły. Powiedział, że pewne symptomy mogłyby na to wskazywać, ale że w sumie wątpi w to.

- Cóż, trzeba przyznać, że to pokrzepiające.

- Co się stało, tato? To znaczy, co się naprawdę stało?

- Nic. Za dużo piję. Sam słyszałeś. Jack ma bardzo purytański stosunek do alkoholu. Próbuje w ten sposób...

- Gówno prawda. Z całym brakiem szacunku oraz z mnóstwem szacunku - to wszystko gówna prawda. Postanowiłeś, że nie powiesz mi. I myślisz sobie, jaki jesteś wspaniały. Bohaterski i wrażliwy Maurice Allington nie puszcza pary z ust na temat tego, co ciąży na jego bohaterskiej i wrażliwej duszy. Ale to nie tak. Po prostu jesteś zbyt leniwy, arogancki i obojętny na wszystko (tak ci się wydaje), aby zadawać sobie trud zauważenia ludzi takich jak twój syn i twoja żona, i uznania ich za godnych wtajemniczenia w cholerny wielki sekret tego, jak się czujesz i co myślisz o świecie, i w ogóle jaki jesteś. Przepraszam, tato, wiem, że nie czas teraz na to, ale samodzielność na nic się nie przydaje, chyba że w sprawach nieważnych albo wtedy, kiedy trzeba być samodzielnym, bo akurat w pobliżu nie ma nikogo innego, ale przecież nie z takim przypadkiem masz do czynienia - to źle, że właśnie ty nie chcesz polegać na innych, zwłaszcza na ludziach, którzy polegają na tobie. Widzę, że czujesz się obrzydliwie, ale jeśli stanie się coś naprawdę paskudnego, coś, czemu można by było zapobiec, gdybyś tylko od razu powiedział o tym, co się może stać, na przykład mnie albo Joyce. to będziesz mógł winię o to tylko siebie samego, a raczej ja też będę czuł się winny, bo nie wypytywałem cię o to z dostatecznym uporem. Na razie dam ci spokój, ale kiedy tylko poczujesz się lepiej, to znów zacznę cię wypytywać. Przepraszam, tato. Nie myśl o tym na razie. - Podał mi dłoń i uściśnąłem ją, - Powiedz tylko, jak chciałbyś spędzić ten wieczór, a ja zorganizuję wszystko dla ciebie.

Niewyraźnie bąknąłem coś, że chciałbym, żeby wszystko było jak zawsze i może pooglądałbym trochę telewizję. Nie podając żadnych powodów ku temu, Nick oświadczył, że przeniesie telewizor (nasz rodzinny, nie własność Amy) z saloniku, w którym spędzał on dziewięćdziesiąt procent swego czasu, i podłączy go do gniazdka w jadalni. Tak też uczynił i niebawem pojechał do Jacka po pigułki dla mnie, zostawiając mnie przed ekranem, oglądającego, w sposób godzien Amy, program o planach przebudowy osiedli mieszkaniowych w (chyba) Salford.

Ledwo Nick wyszedł, wyjąłem z szafki z narzędziami w składziku młotek, dłuto i coś w rodzaju stalowego łomu, zabrałem dwie latarki z szuflady w kantorku, wyszedłem na dwór, do szopy, gdzie bardzo leniwy i niemiły starzec (jedyna osoba, jaką udało mi się znaleźć), któremu płaciłem za wykonywanie obowiązków ogrodnika, spędzał czas na picu herbaty i zapewne onanizmie, znalazłem tam łopatę, po której nie było znać, aby ostatnio ktoś jej używał, i zapakowałem wszystkie te narzędzia do bagażnika volkswagena. Czynności te



podniosły mnie nieco na duchu, a także wydatnie pomogły mi zepchnąć pod powierzchnię świadomości wszelkie pytania o to, co ja właściwie, do diabła, robię. Chyba właśnie w tym momencie ostatecznie postanowiłem kontynuować sprawę Underhilla aż do końca, co znaczy, że potem, aż do chwili, gdy było już na to za późno, ani razu nie pomyślałem o tym, żeby wycofać się z niej.

Rzecz jasna, umysł mój zaprzętały także poszukiwania najlepszego sposobu zapoznania Joyce z projektem orgii zdecydowany byłem możliwie niezwłocznie namówić ją na to, a jednocześnie nie miałem najmniejszego pojęcia, jak zacząć i co powiedzieć potem. W normalnych okolicznościach wprowadzenie się (lub przynajmniej pozorowanie) w stan głębokiego upojenia alkoholowego byłoby najbardziej oczywistym gambitem otwarcia, ale dziś nie mogłem pozwolić sobie na autentyczne pijaństwo, zaś udawanie nie zwiódłoby Joyce, która zbyt dobrze mnie znała, z tej strony przynajmniej, a ani jedno, ani drugie nie wywołałoby właściwego wrażenia, choć sam nie wiedziałem, jakie to właściwe wrażenie powinno być. O tym wszystkim rozmyślałem, gdy w towarzystwie Davida dokonywałem pobieżnego obchodu baru, kuchni i sali restauracyjnej, ale żadne rozwiązanie nie przychodziło mi do głowy. Nie martwiło mnie to. może dlatego, że przedtem zdążyłem otworzyć paczuszkę od Jacka i połknąć dwa lekko zabarwione przezroczyste cylindry, zawierające jakiś grubo mielony brązowy proszek i przypominające nieco klepsydry dla lalek. Będę musiał zaufać natchnieniu chwili, czyli, innymi słowy, opuścić głowę i zaatakować z rozpędu.

Odpowiedni moment nadszedł tuż przed dziewiątą, kiedy, po symbolicznej pogawędce z Amy w jej pokoju, natknąłem się w jadalni na Joyce i Nicka. Ledwie zdążyłem zmieszać sobie whisky z wodą - w proporcji jeden do dziesięciu - i wręczyć Joyce kieliszek Tio Pepe, a już Nick powiedział, popatrując ku mnie, że chciałby zejść na chwilę do baru i że wróci do nas na kolację.

Joyce spytała mnie, jak się czuję, i wkrótce zaspokoilem jej ciekawość, która zresztą nie była bardzo paląca. Potem powiedziałem:

- Kiedy wracałem z Cambridge po południu, wpadłem na Dianę.
- Wpadłeś na nią?
- Akurat kiedy przejeżdżałem, wychodziła z poczty, a więc zatrzymałem się i podwiozłem ją. Miała jakieś zakupy.
- I?
- Cóż. to było dość dziwne. Czy powiedziałaabyś, że ona w ogóle się upija? To znaczy, nie na taką skalę jak ja, ale w ogóle?

- Nie.

- Nie, ja też tak myślałem, ale dziś wyglądała na trochę zalaną. Takie przynajmniej sprawiała wrażenie. W każdym razie, zaczęła gadać o tym, że uważa cię za niesłychanie atrakcyjną kobietę, że masz cudowną cerę, zachwycającą figurę i tak dalej, i tyle o tym mówiła, że w końcu zaczęło mi świtać, że to nie są zwyczajne komplementy, że chodzi jej o coś konkretnego. No i po jakimś czasie doszła do sedna sprawy.

- Słucham.

- Zaczęła opowiadać, jak nudne jest życie w Fareham dla ludzi takich jak ona, ty i ja, z czym oczywiście się zgodziłem, i że powinniśmy je jakoś urozmaicić, wymyślić coś podniecającego. Na przykład, co? Cóż, może byśmy tak zabawili się nieco we troje? - Joyce milczała, a więc mówiłem dalej: - Chodziło jej o pójście w trójkę do łóżka. Z początku myślałem, że żartuje, ale nie. Powiedziałem, że nie wiem, czy zdołam samemu zadowolić dwie panie, a ona powiedziała, żebym się tym nie martwił, bo to nie będzie konieczne.

- Jak to?

- Cóż, chyba myślała o tym, na pewno myślała o tym, że w przerwach ty i ona będziecie mogli być miłe dla siebie. Program byłby bardzo urozmaicony.

- Rozumiem. I co jej powiedziałaś?

- Powiedziałem, że to rzeczywiście może być ciekawe, ale że nie mogę jej odpowiedzieć, zanim nie porozmawiam o tym z tobą. Och, powiedziała jeszcze coś. Mamy nie przejmować się Jackiem, bo okazuje się, że ona go nie znosi.

Joyce spojrzała na mnie po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia rozmowy.

- Diana nie znosi Jacka?

- Tak powiedziała.

- To znaczy, musiała ci o tym powiedzieć? - W tym momencie to ja milczałem. - Diana nienawidziła Jacka już za pierwszym razem, kiedy ich poznaliśmy, i od tej pory nadal nie może go znieść. Dziwne, że tego nie zauważyłeś.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Myślałam, że to tak oczywiste, że nie warto o tym mówić.

- Tak się nie robi. Gdyby chodziło o coś innego, to kiedyś musiałabyś o tym wspomnieć, choćby mimochodem. Dlaczego tak długo to tałaś?

- Cudowna sztuka dedukcji - powiedziała Joyce, a w głosie jej brzmiał autentyczny powściągnany podziw, choć w tej chwili przynajmniej wolałem nie ulegać pozorom. - Nie mówiłam o tym, bo czekałam, aż sam to zauważysz, zresztą na próżno. Obie te rzeczy są typowe, to znaczy nie zauważyłeś niczego, a natychmiast poznałeś, że umyślnie o tym nie

mówiłam. Taki właśnie jesteś. Niby przez cały czas obserwujesz świat, i często robisz to całkiem nieźle, a jednak nie pojmujesz go. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak i może masz rację - powiedziałem, próbując nie okazywać zniecierpliwienia. - Ale wróćmy do pomysłu Diany. Ona chyba wyobraża sobie...

- Chodzi jej o to, że, na przykład, ty, eee, zająłbyś się nią, a potem ona i ja przez chwilę zajmowałybyśmy się sobą, póki ty nie byłbyś znów gotów, a potem ty zająłbyś się mną od tyłu, zrozum mnie dobrze, wiesz, po prostu od tyłu, a ona, że tak powiem, zainteresowałaby się mną od przodu, a potem ona i ja znów zajęłybyśmy się sobą, aż ty mógłbyś znowu zrobić to samo, tylko na odwrót, albo też ty i ja moglibyśmy podzielić się nią i zajmować się jej różnymi częściami, a potem ty i ona zajęlibyście się różnymi częściami mnie, i tak dalej. Czy o to chodzi?

- Mniej więcej tak. - Słuchając Joyce, miałem wrażenie, iż rozmawiam z czeladnikiem murarskim, który streszcza mi akcję *Romea i Julii*. Jednocześnie silnie zaciskałem zęby, usiłując powstrzymać się od śmiechu. - Oczywiście znajdziemy mnóstwo...

- Zgoda.

- Co?

- Zróbmy to.

- Jesteś pewna?

- Tak. Co w tym złego? Załatw to z Dianą i opowiedz mi o wszystkim. A teraz muszę poszukać Magdaleny. Szef kuchni przygotował na dziś *gazpacho*,\* [\* *gazpacho* - rodzaj hiszpańskiego chłodnika z pomidorów, siekanych ozorków, papryki, cebuli itp.] a na potem kotlety z jagnięcia a la Reform. Powinny być znakomite.

Usiadłem, z Wiktorem zwiniętym w luźny kłębek na moich kolanach, i bez przekonania próbowałem oglądać w *Piątkowym Teatrze Telewizji* jedną z owych sztuk dla dwóch aktorów, które i tak wydają się zniweczone przez nadmierne rozmiary obsady. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że Joyce w pewnym sensie nie stawiała czoła sytuacji: przed rozmową z nią pragnąłem tylko tego, by od razu zgodziła się na projektowaną orgię, a teraz żałowałem, że nie stawiała obiekcji, które mógłbym przełamać argumentami lub pochlebstwami. Był w tym materiał na dyskusję z samym sobą o seksie i władzy, ale usunąłem go gdzieś na dno mózgu. Być może właśnie ta - całkowicie nieoczekiwana - reakcja Joyce mąciła moje uczucie tryumfu w związku ze zmianą projektu orgii w perspektywę orgii, a może była to wina pigułek Jacka. Jeśli to rzeczywiście one zadziałały w ten sposób, to szykował mi się jeszcze jeden kłopot.

Kolacja przeszła bez ważniejszych wydarzeń; równie nieciekawa była pokolacyjna

telewizja, której kulminacja, czy raczej zakończeniem, była dyskusja o Bogu, przedstawiająca Boga jako osobę stosunkowo bliską, z którą trzeba się liczyć, jakby strefa Bożych wpływów miała w ciągu najbliższych tysiącleci sięgnąć obszarów oddalonych jedynie o kilka lat świetlnych od Układu Słonecznego, albo jakby ślady Bożej działalności znaleziono w wykopaliskach z nie tak w końcu odległego okresu dewońskiego. Jeszcze przed jej końcem Joyce poszła spać. Nick przez chwilę siedział jeszcze nad jakimś romanistycznym czasopismem, po czym powiedział mi, że mogę go zbudzić, kiedy tylko poczuje potrzebę towarzystwa, i też wyszedł.

Była dokładnie północ. Przełknąłem jeszcze dwie pigułki, popijając je wodnistym roztworem, do którego musiałem się teraz przyzwyczajać, i wyszedłem z mieszkania, zabierając po drodze lekki prochowiec. Założyłem go i zapiąłem aż po podbródek - jako kamuflaż, a nie ochronę przed zimnem - po czym zbiegłem po schodach i bocznymi drzwiami wyszedłem z domu. Sprzed zajazdu wciąż jeszcze odjeżdżały samochody, pośród których kręcili się wychodzący goście: czekając w cieniu na chwilę spokoju, pogratulowałem sobie przenikliwości, dzięki której wyruszyłem tak wcześnie. Wreszcie jakiś mężczyzna usadowił na wpół bezwładną dziewczynę w samochodzie, na którego posiadanie był, moim zdaniem, zbyt młody, i odjechał, pozostawiając bezludny parking. Przekradłem się do volkswagena i nie zauważony ruszyłem, czując lekkomyślność mego postępowania w sensie bardziej dosłownym, niż mógłbym sobie wyobrazić, gdybym kiedykolwiek zastanawiał się nad tym: wydawało mi się, że w część mego mózgu, którą zazwyczaj zajmowały myśli, wtargnął jakiś gaz o niskim ciężarze właściwym, ale poza tym nie stwarzający niebezpieczeństwa - raczej hel niż wodór.

Chcąc zapełnić czymś pozostałe minuty, kilkakrotnie objechałem wioskę. Była wyludniona i niemal całkowicie pogrążona w ciemności. Diana czekała na umówionym miejscu, wpuściłem ją do samochodu i ruszyłem dalej, z pośpieszną sprawnością telewizyjnego przestępcy przygotowującego napad lub zabójstwo. Widocznie i jej przyszło do głowy to skojarzenie, bo przez następne kilka minut wypytywała mnie o żądę przygód i o to, czy pociąga ona raczej mężczyzn niż kobiety, i czy nie dowodzi to, że mężczyźni są w głębi duszy strasznie chłopiacy, na różne... sposoby. Chyba przytaknąłem jej.

Dotarliśmy do cmentarza. Zjechałem z drogi i zaparkowałem samochód w głębokim cieniu dwóch wiązów; na niebie lśnił cienki, ale jaskrawy sierp księżyca. Diana stała z rękami w kieszeniach wielkiego swetra, w którym wyglądała trochę jak nauczycielka, i czekała, aż wyjmę narzędzia z bagażnika.

- Nie boisz się, Maurice?

- Nie, nie w tej chwili. Czemu?

- Przecież powiedziałaś, iż wiesz, że będziesz się bać, i właśnie dlatego tak nalegasz, żebym z tobą poszła.

- Och, tak. Myślałem raczej o chwili, kiedy już na dobre zabierzemy się do dzieła. Mogłabyś to ponieść? Staraj się nie kierować światła latarki na drogę.

Ruszyliśmy przez gęstą trawę, nieruchomiejąc na jakieś ćwierć minuty, kiedy światła samochodu, niewątpliwie pełnego pijanych gości wracających spod „Zielonego Człowieka”, przesunęły się ku nam i po nas, a przynajmniej obok nas. Zardzewiałe żelazne wrota cementarza były uchylone. Weszliśmy, patrząc, jak w świetle trzymanej przez Dianę latarki kawałki zieleni, na ziemi lub na wysokości naszych głów, rozbłyskują, jak miniaturowe, przygaszone fajerwerki. Jedno po drugim potykaliśmy się o drobne przeszkody.

- Uważaj - powiedziałem. - Tutaj, przy murze. Trochę bardziej na lewo. Tak, to tutaj.

- A więc, jesteśmy na miejscu... Maurice, czy nie masz, tego strasznego uczucia, że mamy zrobić coś niedozwolonego? Och, wiem, że w dzisiejszych czasach chrześcijaństwo straciło już prawie całkiem sens. ale jest, chyba jakaś ogólna zasada żeby nie niepokoić miejsc ostatniego spoczynku i tak dalej, wiesz, zabobony, prymitywny strach i cała reszta. Czy naprawdę myślisz, że warto to zrobić?

- Zobaczymy. Nie ruszaj latarka. Teraz nastąpi etap wyjątkowo nudny.

Nie spodziewałem się, że będzie to aż tak nużące. Nawet sucha, piaszczysta ziemia bardzo - powoli ustępuje pod łopatą, i minęła co najmniej godzina, zanim, ociekając potem i słaniając się na nogach, odsłoniłem większą część wieka podłużnej dębowej skrzyni, której szukałem. Przez ten czas Diana zachowywała się całkiem poważnie: dużym nakładem siły i czasu wcisnęła latarkę w pęknięcie muru, nie wszczynając żadnych dyskusji, pośpiesznie zakrywała latarkę, kiedy na drodze rozlegał się dźwięk nadjeżdżającego samochodu, a raz zasnęła, na jakieś dziesięć czy piętnaście minut. Nie spała już, kiedy skończyłem kopać, i świeciła mi latarka - zapasową, bo bateria pierwszej już się wyczerpała - kiedy zabrałem się do młotka i dłuta. To drugie owinąłem kawałkiem szmaty, ale i tak w nocnej ciszy narobiłem sporo hałasu. Jednakże dotychczas żadne dźwięki nie przerwały ciszy; od najbliższych domów, pograżonych w ciemności, dzieliło nas co najmniej sto pięćdziesiąt metrów, a kilkunastu stuknięć i skrzypienia podważanego wieka po prostu nie mogłem uniknąć.

Kiedy otworzyłem trumnę, poczułem zapach suchej ziemi i czegoś, co mogę opisać tylko jako silna woń czystej pościeli; nic w najmniejszym stopniu nieprzyjemnego. Odebrałem latarkę Diane, która pochyliliła się, gdy ją przesuwalem promieniem wzdłuż wnętrza trumny. Underhill był całkowicie i dokładnie zawinięty w płótno, które było raczej zapadnięte w

okolicy brzucha i poniżej niego, i napięte przez ostre kości kolan i stóp. W pierwszej chwili dostrzegłem tylko całun, a potem zauważyłem błysk matowego metalu w górnej części trumny, koło głowy. Moje palce zacisnęły się na czymś, co podniosłem i oświetliłem latarką. Trzymałem w dłoni chropawa ołowianą szkatułkę, prostokątna, wielkości mniej więcej pudełka z pięćdziesięcioma papierosami, może nieco wyższa. Wieczko zostało niewprawnie zlutowane z metalem samej szkatułki, w rezultacie czego powstał poręczny wodoszczelny pojemnik. Potrząsnąłem nim i usłyszałem stłumione grzechotanie. Pomyślałem, że wiem, co grzechoc/e i co tłumi ten dźwięk.

- Czy to wszystko? - zapytała Diana.

Jeszcze raz oświetliłem promieniem latarki wnętrze trumny.

- Wszystko, czego się spodziewałem. Jeśli chcesz, to mogę go odwinąć, ale nie...

- Nie. Nie trzeba. Załóż wieko z powrotem.

Zajęło mi to sporo czasu, tak jak i zakopanie dziury i przywrócenie, w przybliżeniu, pierwotnego stanu grobu. Oczywiście, jeszcze przez wiele lat widać będzie ślady naszej wizyty, ale jakoś nie mogłem wyobrazić sobie konstabla z Fareham, puciołowatego młodzieńca, który spędzał większość czasu na wyścigach w Newmarket, a resztę na rozmowach na ten i pochodne tematy, prowadzącego śledztwo w sprawie podejrzenia o ograbienie mogiły jakiegoś starego piernika z dawnych czasów.

- No, to już koniec - powiedziałem.

- Czy nie otworzysz tego czegoś, co znalazłeś? Zastanowiłem się. Zakopując grób i wyrównując ziemię, myślałem niemal wyłącznie o perspektywie otwarcia szkatułki, ale wyobrażałem sobie, że robię to w całkowitej samotności. Z drugiej strony, po niemal dwóch godzinach wszechstronnej pomocy i milczenia, Diana miała prawo do jakiejś nagrody, a przynajmniej oczekiwała jej. To uczciwe. A jednak, jeśli moje przypuszczenia co do natury grzechoczącego przedmiotu były słuszne... Ale rozdrażniać Dianę w takim momencie...

Odszukałem młotek i dłuto.

- Tak. Oczywiście.

Po kilku minutach udało mi się przeciąć część zlutowanego metalu i podważyć miękki ołów wieczka. Przewróciłem szkatułkę do góry dnem i jakiś mały przedmiot wypadł z niej na moja dłoń. Był niezwykle zimny, znacznie zimniejszy od ołowiu pojemnika, że niemal upuściłem go na ziemię. Diana zapaliła latarkę. Zobaczyłem dokładnie to, co opisałem: srebrny posążek wysoki na siedem i pół centymetra, szeroki na połowę tego odcinka, mierząc od jednej wyciągniętej dłoni do miejsca, gdzie niegdyś znajdowała się druga, z dziwacznym uśmiechem na twarzy. Nie znam się na srebrze, ale pomyślałem, że przedmiot ten liczy

sobie znacznie więcej niż trzysta lat.

- Co za brzydactwo - powiedziała Diana. - Co to takiego? Czy myślisz, że to coś warte? To tylko srebro, prawda?

Nie słuchałem jej. Oto miałem w dłoni dowód Underhilla.

Gdybym tylko pomyślał o tym, żeby przed wyruszeniem na nocną wyprawę pokazać to, co znalazłem, rano w moim bloku w kantorku Nickowi albo komukolwiek innemu, miałbym teraz czym pochwalić się przed światem - ale nie byłby to dowód, może przypadek postrzegania ponadzmysłowego, może po prostu ciekawy zbieg okoliczności, interesująca historyjka, kuriozum. Był to dowód tylko dla mnie, a nawet ja nie wiedziałem, czego naprawdę dowodzi. Przynajmniej na razie; poczułem jednak jakąś nie znaną mi dotychczas nadzieję.

- Maurice? Czy to jakiś amulet? Jak myślisz, co to jest?

- Nie wiem. Muszę się dowiedzieć. Poczekaj jeszcze chwilę. Jak się spodziewałem, w szkatułce dostrzegłem kartki papieru. Wyciągnąłem je i rozłożyłem. I one wydały mi się bardzo zimne, nie wiedziałem i nie obchodziło mnie, czy z prawdziwego zimna, czy od wilgoci. Charakter pisma i pierwsze słowa wystarczyły, ale jeszcze przez moment odrucnowo czytałem dalej:

#AVE, O MI AMICE SAPIENTISSIME \* [\* Ave... łac.) Witaj, przyjacielu uczony wielce] Jako widzisz. dobrze mię poiąłeś. Uznay się za najszcześliwszého z ludzi bo niebawem prawdziwy Sekret Żywota odsłonięty ci będzie. Ale zważay ciekawie nato co nastąpi, a posiędziesz co iest trwalszém od Bogactwa, bardziey zawiści godnem niżli Korona...

- Co tam jest napisane? Coś o tym amulecie?

- Nie widzę nic takiego. To głównie po łacinie. Chyba jakieś prawnicze papiery. Spróbuję przejrzeć to kiedyś.

Cóż, co do papierów też się nie omyliłem, choć nie było w tym niczego nadprzyrodzonego. Złożyłem kartki, wsunąłem je wraz ze srebrnym posążkiem z powrotem do szkatułki, którą umieściłem w bocznej kieszeni smokinga potem zacząłem zbierać narzędzia.

- Czy to już wszystko? Nie było to zbyt ciekawe, prawda?

- Och, przecież coś znaleźliśmy. To całkiem niezłe.

- Nie nazwałabym tego skarbem.

- Nie wiadomo, to może być coś warte. Znajdę jakiegoś eksperta w Cambridge.

- I co mu powiesz, że gdzie to znalazłeś?

- Coś tam wymyślę.

Kiedy wychodziliśmy przez wrota cementarza, powiew wiatru, nieoczekiwany w tak pogodną noc, poruszył gałęziami i liśćmi nad naszymi głowami. Widocznie spocilem się bardziej, niż myślałem, bo wzdrygnąłem się z zimna. W tym samym momencie światło latarki w ręku Diany gwałtownie przygasło. Do volkswagena dotarliśmy niemal wyłącznie przy świetle księżyca. Przy pustej drodze „Zielony Człowiek” pogrążony był w całkowitej ciemności, a ciszę mącił tylko dźwięk naszych kroków, aż do chwili, gdy otworzyłem bagażnik samochodu i schowałem do niego narzędzia. Ruchoma, oddychająca sylwetka Diany, lekko oświetlona na skroni, ramieniu i łokciu zwróciła się ku mnie.

- Co powiedziałeś Joyce o twojej wyprawie? - spytała z odrobiną oskarżycielskiego tonu jej męża.

- Jeśli nawet się zbudzi, co nigdy się jej nie zdarza, to pomyśli, że siedzę i czytam, albo piję, albo myślę. Ale wiesz, zapytałem ją, co sądzi o planie naszego zapoznawczego spotkania, i od razu się zgodziła. Kiedy tylko będzie nam pasować.

Diana zareagowała na to, ale przez chwilę nie potrafiłem stwierdzić, jak. Wreszcie podeszła do mnie, przytuliła się i zaczęła rytmicznie ocierać się o mnie.

- Maurice.

- Tak?

- Maurice. czy nie sądzisz, że mogę być straszliwie zбочzona i nic o tym nie wiedzieć?

- Och, wątpię. W każdym razie, jesteś nie gorsza ode mnie.

- Bo... kiedy tylko powiedziałeś to o Joyce i nas, nagle poczułam się jak straszna rozpustnica. To znaczy od razu, nie tylko w związku z tym spotkaniem. Czy to znaczy, że jestem absolutnie paskudna i zdeprawowana? Nie wiem, czy nie ma to związku z tym, co my...

Miałem już wymówić się na głos zmęczeniem, a w duchu winić pigułki Jacka, kiedy uświadomiłem sobie, że nie będzie to wcale potrzebne. Diana zaczynała zachowywać się jak osoba interesująca na coraz bardziej interesujący sposób. Po jakichś piętnastu sekundach klęczeliśmy twarzą w twarz w zacienionym bezpiecznie miejscu.

- Ale nie możemy...

- Nie, zdejmujemy tylko...

- Zgoda, tak, dobrze.

Po następnych piętnastu sekundach już oddawaliśmy się grzechowi. Prawie w ogóle nie



wyczuwałem obecności drugiej osoby: postrzegałem tylko mnóstwo wełny i innych materiałów, skrawek policzka, sapanie, ruch, ciężar, i to, co robiłem. Nawet to przez jakiś czas było odrealnione przez brak innych doznań. Nagle wszystko stało się bardzo bliskie, niemal przerosło moje możliwości. Ciało Diany uniosło się i nabrało ogromnych rozmiarów, a po chwili znów opadło i stało się wiotkie i bezsilne.

Trzeba było się śpieszyć. Chciałem właśnie wstać, kiedy moje serce zadrżało przeciągle, a Diana krzyknęła - i nie był to godzien damy pisk, ale wydany całym gardłem wrzask przerażenia.

- Ktoś nas ogląda. Patrz, tam, w...

Jak najszybciej wyswobodziłem się i odwróciłem, klęcząc na jednym kolanie. Księżyc nie świecił już tak jaskrawo, ale i tak nie mógłbym przeoczyć żadnej postaci, żadnego poruszenia. Nie zobaczyłem nic.

- To coś... On stał na środku drogi i patrzył na mnie. Och, Boże. Był ohydny. Gapił się na mnie.

Zdołała unieść się i usiąść. Uklęknąłem obok niej i objąłem ją ramieniem.

- Nikogo już nie ma - powiedziałem. - Wszystko jest w porządku.

- Było w nim coś strasznego. Miał jakiś niesamowity kształt. Jakby nie miał normalnych rąk i nóg. Widziałam go tylko przez moment, ale był jakiś zdeformowany. Ale nie tak zwyczajnie zdeformowany, tak jak ludzie. Miał taki przerażający kształt. W jednych miejscach był za gruby, a w innych za cienki.

- Z czego był zrobiony?

- Zrobiony? - spytała, znów przestraszona. - Jak to?

- Przepraszam... Jak był ubrany?

- Ubrany? Nie zauważyłam. Był tam tylko przez chwilę.

- Jakiego był koloru?

- W tym świetle nie można odróżnić kolorów.

Miała rację, ale to nieważne: właściwie nie musiałem nawet pytać. Okazało się, że Diana przydała się w mojej wyprawie; choć niezupełnie tak, jak się spodziewałem, bo tego, co widziała, nie zobaczyła wciąż ze mną. Pomyślałem o czymś jeszcze.

- Czy on się poruszał, czy coś robił.

- Nie. Mówiłam ci. Stał tam tylko, a po chwili już go nie było.

- To znaczy zniknął?

- Cóż... Nie widziałam, zęby odchodził.

- Musiał zrobić to cholernie szybko, skoro stał na środku drogi, kiedy krzyknęłaś, a nie

było go, kiedy ja spojrzałem.

- Tak... Widocznie tak. Kto to mógł być?

Próbowałem myśleć logicznie, a przynajmniej zachować resztkę rozsądku. Duch zielonego człowieka, jak to duchy, jak duch Underhilla, pojawił się momentalnie i momentalnie zniknął, zapewne powołany do chwilowego istnienia przez naszą krzątanicę przy grobie jego pana, być może przez dotyknięcie lub zabranie srebrnego posążka, który w takim razie musiałby jakoś być z nim związany, choć na pewno nie stanowił jego podobizny. Tak czy tak, mimo że mogłem wybaczyć sobie moje zaniepokojenie, nie widziałem ku niemu żadnego powodu. Wszystkie moje instynkty potwierdzały werdykt Lucy, że zwykły duch nie może nikomu wyrządzić krzywdy i że (tak, jak w przypadku zjaw, którymi Underhill straszył małą Tylerównę) najwyżej może on przerazić. A strach jakiegokolwiek rodzaju, oby tylko nie był wywołany przez szkarłatno-zielonego ptaszka wielkości muchy... Nie, z takim strachem mogłem się uporać albo mogłem od niego uciec; nie może on być tak przerażający, jak podręczny demon o nieograniczonych zdolnościach adaptacyjnych, żyjący i działający w moim umyśle. Przypomniałem sobie, gdzie jestem.

- Przepraszam. Kto to był? Jakiś wiejski chłopak wracający z pijaństwa. Mamy tutaj różnych olbrzymów i pokraki. W każdym bądź razie na pewno cię nie rozpoznał, a więc nie masz się czym martwić. Jest... rany boskie, jest już prawie trzecia. Odwiozę cię do domu.

Tak, jak wcześniej Amy, Diana okazała konwencjonalne oznaki zgody, dając mi jednocześnie do zrozumienia, że zaoferowane przeze mnie wyjaśnienia bynajmniej jej nie zadowalają. W drodze powrotnej zachowywała niemal całkowite milczenie. Zjechałem z drogi, zaparkowałem samochód i odprowadziłem ją w stronę domu.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, że byłaś ze mną.

- Och... drobiazg.

- A co do tego spotkania z Joyce - czy mogę do ciebie zadzwonić? Jaki dzień by ci odpowiadał?

- Wszystko jedno.

- Zróbmy to jak najszybciej. Może jutro?

- Ale przecież jutro jest pogrzeb twojego ojca.

- Tak, ale do obiadu będzie już po wszystkim.

- Maurice... - Zrezygnowała z tandetnego pseudo-psychologicznego pytania, na które już się przygotowywałem. - To coś... przed chwila. To, co widziałam, to nie był duch, prawda?

- Maurice.. - Zrezygnowała z tandetnego pseudopsycho

Na to pytanie byłem przygotowany mniej więcej w połowie.

- Tak, myślałem o czymś podobnym. Chyba, cóż, mógł to być duch, o ile w ogóle takie rzeczy istnieją. Choć to raczej dziwne miejsce na spotkanie z duchem, nie sadzisz? Na środku wiejskiej drogi. Nie wiem, po prostu nie wiem.

- A więc... kiedy mówiłeś, że to musiał być jakiś wiejski chłopak, próbowałeś tylko uspokoić mnie prawda?

- Tak. Oczywiście.

- Albo uspokoić siebie samego?

- Też.

- Maurice... jedna z rzeczy, które mi się w tobie podobają, to ta, że jesteś absolutnie szczerzy. - Pocałowała mnie w policzek. - A teraz zmykaj. Zadzwoń do mnie w sprawie Joyce. kiedy tylko zechcesz.

Pobiegła ożywiona i najprawdopodobniej podwójnie nadęta dumą, bo nie tylko zmusiła mnie do wyznania, że musiałem uspokajać samego siebie, ale jeszcze - z czego, o dziwo, nie zwierzyła mi się - po raz kolejny okazała swą wyższość, widząc ducha, którego ja nie zobaczyłem. Czy myśli, że naprawdę widziała ducha? Co pomyśli, kiedy, i jeśli, Jack powie jej, iż ja też twierdę, że widuję duchy? Nieważne; byłem teraz naprawdę zmęczony, tak zmęczony, że zataczałem się jak pijany (co tym razem było niemożliwe), kiedy wychodziłem z garażu i wchodziłem do domu.

Połknąłem jeszcze dwie pigułki, które popiłem obficie rozwodnioną whisky, i położyłem się prosto do łóżka, zamknąwszy szkatułkę w kantorku. Musiałem się wyspać, czeka! mnie przecież pogrzeb i orgia, i niewątpliwie coś jeszcze.

#### IV. Młody człowiek

- Przecież śmierć stanowi integralną część życia. Wyrażamy na nią zgodę poprzez sam akt narodzin. Musi pan przyznać, panie Allmington, że chyba jednak traktujemy ten koniec drogi w sposób diabelnie zbyt poważny.

- Ale czy nie chodzi panu o to, że powinniśmy uważać ją za wrota do innego trybu istnienia i część Bożego zamysłu i tak dalej?

- Wielki Boże, nie. Wcale nie o to mi chodzi. Wcale nie o to.

W głosie wielebnego Toma Rodneya Sonnenschema, proboszcza parafii sw. Jakuba w Fareriam, brzmiało autentyczne zgorszenie. Nie wyglądał jednak na zgorszonego, gdyż posiadał jedną z owych gładkich, chłopięcych twarzy, typowych dla osobników w średnim wieku, które nawet w momentach wylewności lub przejęcia (o ile ich właściciele w ogóle takowe przeżywają) nie są w stanie wyrazić niczego ponad łagodne rozdrażnienie. W kościele i przy grobie wydawało mi się, że okazuje on oburzenie wobec znanej bezbożności obecnych osób, albo, może, że fizycznie cierpi; teraz, w barze, „Zielonego Człowieka”, widziałem coraz wyraźniej, że był on po prostu znudzony. Byłem zdziwiony, i to niemile, spotkaniem z duchownym, który, jak się okazało, z doktrynalnego punktu widzenia stał jeszcze bardziej na lewo ode mnie, zatwardziałego niedowiarka; ale niewątpliwie wkrótce przeniesie się on do jakiejś bardziej stymulującej duchowo parafii w Londynie, a w każdym razie nie miałem zamiaru oglądać go po zakończeniu dzisiejszej uroczystości.

- W c a l e nie o to? - zapytałem.

- Widzi pan, ta cała sprawa z nieśmiertelnością wyzionęła już niemal ducha. Spójrzmy na rzecz historycznie. Nieśmiertelność to tylko przejściowa faza. W zasadzie wymyślili ją wiktoriańscy, zwłaszcza wcześnie wiktoriańscy, jako odmianę kompleksu winy. Stworzyli zło rewolucji przemysłowej, przeczuwali, jak straszliwie krwiożerczym potworem stanie się kapitalizm, a jedyną ucieczką od tego piekła na ziemi, jaką potrafili wymyślić, było nowe życie z dala od dymu, smrodu i płaczu głodnych dzieci. Natomiast dzisiaj, oczywiście, kiedy ludzie zaczynają pojmować, że kapitalizm to pomysł poroniony, że z całego tego cholerstwa po prostu nic nie wyjdzie, i kiedy możemy zabrać się do przebudowy społeczeństwa i do nadania każdemu człowiekowi prawa do sensownego i organicznego życia tu, na ziemi, cóż, możemy odstawić nieśmiertelność z powrotem do lamusa, wraz z, och, bokobrodami w kształcie kotletów, panem Gladstone'em, Armią Zbawienia i ewolucją.

- Ewolucją?

- Oczywiście - stwierdził proboszcz, jednocześnie uśmiechając się intensywnie,

intensywnie marszcząc czoło, wydymając nozdrza i mrugając szybko; zapewne każdy z tych gestów miał stanowić indywidualne pożegnanie poszczególnych rupieci z lamusa.

- No, tak... Ale niezupełnie rozumiem, dlaczego ci pana wiktorianie z takim zapałem głosili ideę życia pozagrobowego, skoro zżerały ich wyrzuty sumienia wobec tego, co robili w tym życiu. Mogli spodziewać się, że wylądują raczej w piekle niż w jakimkolwiek...

- Och, ależ, mój drogi, o to właśnie chodzi, niech pan zrozumie. Oni mieli bzika na punkcie piekła - miało wyglądać całkiem tak, jak ich prywatne szkoły, w których doświadczali jedynych naprawdę silnych doznań emocjonalnych, na jakie było ich stać. Bicie i chłosta, fagasostwo, zimne kąpiele, wioślarstwo i pływanie, i przerażający, wszechmocny starzec, który wciąż mówił im, że są straszliwymi gówniarzami i że się masturbują. Zapewniam pana, że nic nie mogłoby sprawić im większej rozkoszy. Chyba nie uważa pan za przypadek tego, iż był to wiek rozkwitu masochizmu, głównie w Anglii, ale bynajmniej nie tylko tutaj?

- Nie - powiedziałem. - Wiek masochizmu nie mógł być przypadkiem.

- Cóż, raczej nie, prawda? Cała ta historia opiera się na podstawach kapitalistycznej psyche, na umiłowaniu bólu i kary, i w ogóle cierpienia, na wszystkich protestanckich wartościach. Gdybym chciał zrobić wrażenie człowieka inteligentnego, nie narażając się przy tym na oskarżenia o nadmierną powierzchowność, powiedziałbym, że ideę nieśmiertelności wymyślił doktor Arnold \* [\* Thomas Arnold (1795-1842) angielski pedagog; kierowana przez niego szkoła w Rugby stała się wzorem dla systemu brytyjskich szkół prywatnych.] z Rugby - trochę to nie fair, bo kochany był z niego staruszek, ale wystarczy.

- Czyżby? Ale przecież Biblia też wiele o tym mówi. I w średniowieczu często zajmowano się bólem i karą. A czy Kościół katolicki nie traktował zawsze osobistej nieśmiertelności bardzo poważnie?

- Pozwoli pan, że zajmę się każdym z tych punktów po kolei. Stary Testament, który ogólnie uważa się za mniej kompromisową i mniej sentymentalną część Biblii, prawie wcale o tym nie wspomina. Szczerze mówiąc, Jezus z Ewangelii potrafił czasami być miękkim liberałem, jeśli nie ratował się akurat ucieczką w raczej łzawe semickie metafory. Jeśli chodzi o średniowiecze, to ich diabły i rozpalone cęgi i tak dalej stanowiły jedynie niewydarzone przeniesienie tego, co chcieli zgotować swoim wrogom na ziemi. A Kościół katolicki, cóż... Obiecani-cacanki, wszyscy chyba o tym wiemy. To znaczy, nie sądzi pan chyba, że to zbieg okoliczności, że nieodmiennie udzielają oni poparcia wstecznym i reakcyjnym, o ile nie wprost występny reżymom, tak jak w Hiszpanii, w Portugalii, w Irlandii, w...

- Tak, rozumiem pana. Cóż, nie wiem, co o tym myśleć. Ale na pewno przedstawił pan sprawę w niezwykle interesujący sposób, pastorze.

- Zalecałbym panu, panie Allington, żeby przemyślał pan to sobie kiedyś, w jakiejś dogodniejszej chwili. Sam wiem z doświadczenia, jakie to nieprzyjemne, kiedy nasze niekwestionowane przekonania rozpatrywane są w ich historycznym kontekście.

- A co by pan powiedział, gdybym panu oświadczył, że jestem w posiadaniu dowodów świadczących, iż pewna osoba przeżyła na swoisty sposób własną śmierć?

- Powiedziałbym, że jest pan... - Na gładkiej twarzy wielebnego Toma stały wyraz rozdrażnienia ustąpił miejsca czemuś w rodzaju czujności; w ciągu minionych kilku dni widywałem podobne miny na większości znanych mi twarzy. - Hmm, mówi pan o duchach i tak dalej, prawda?

- Tak. Konkretnie o duchu, który przekazał mi informację, dokładną informację o czymś, o czym nie mógłbym się dowiedzieć z żadnego innego źródła.

- Hm. Rozumiem. Cóż, w pierwszej chwili, bez namysłu, powiedziałbym, że jest to sprawa raczej dla pańskiego lekarza, a nie dla kogoś na moim stanowisku. Eee, gdzie jest Jack? Nie widzę go...

- Pojechał do pacjenta. To znaczy muszę być wariatem, żeby w to wierzyć?

- Hm, nie. Ale mówimy o, powiedzmy, nienormalnych stanach świadomości, prawda, z definicji?

- Ponieważ z definicji ludzie nie przeżywają śmierci. Oczywiście.

- Przepraszam, ale czy mógłbym dostać jeszcze coś do picia? Nie mogę się zalać, bo jadę jeszcze na wspaniale ogrodowe barbecue do Newnham \*, [\* Newnham kolegium w Cambridge] ale, jeśli pan pozwoli, chciałbym wypić jeszcze szklaneczkę.

- Co pan pije?

- Bacardi i pernod. - Powiedział to takim tonem, jakby chciał dodać „ty g ł u p t a s i e”.

- Z czym?

- Słucham?

- Z sokiem pomidorowym czy z coca-cola, czy...

- Wielki Boże, nie. Tylko z lodem.

Przekazałem zamówienie Fredowi, który na chwilę przymknął oczy, zanim przystąpił do jego realizacji. Miał dziś dzień zasłużonego wypoczynku - zajazd był zamknięty aż do wieczora, a grono gości ograniczało się do Diany, Davida, trzech czy czterech sąsiadów i mojej rodziny oraz proboszcza, który w tej chwili wpatrywał się w szklanekę i zakręcił nią wściekle, zanim zaryzykował łyk.

- Smakuje panu?

- Oczywiście. Przed chwilą wspomniał pan o Bożym zamyśle - powiedział, okazując dobrą pamięć, której wolałbym mu nie przypisywać. - To ciekawe, na swój sposób. Powiem panu, że więcej jest fantastycznego chęćstwa na temat Bożego zamysłu, co znaczy, że ludzie pozwalają swej podświadomości ujawnić się w sposób społecznie akceptowany, niż w jakimkolwiek innym aspekcie wiary, poza, oczywiście, męczeństwem, które jednak zawiera bardziej jaskrawy pierwiastek seksualny. Boży zamysł. Hmm. Nie większe mam kompetencje niż ktokolwiek inny, aby powiedzieć panu, na czym on polega i czy w ogóle coś takiego istnieje, a mnóstwo młodych ludzi w łonie obecnego Kościoła stawia w tym miejscu cholernie wielki znak zapytania. Niewątpliwie idea zaangażowanego Boga podzieli los nieśmiertelności duszy, po upływie jakichś dwudziestu czy może dwudziestu pięciu lat niezbędnych na zaadaptowanie się świadomość do nowych warunków. A teraz, jeśli pan pozwoli, pogawędzę przez chwilę z tymi dwiema kapitalnymi laleczkami. Dziękuję za wspaniałość...

- Pójdę z panem.

Przez przypadek (zapewne) Joyce i Diana ubrały się na pogrzeb niemal identycznie: w czarne kostiumy z delikatnej wełny, białe bluzki zdobione haftem angielskim, czarne siatkowe pończochy i czarne słomkowe kapelusze. Dzięki temu bardziej niż kiedykolwiek wyglądały jak siostry, nawet jak bliźniaczki. W czasie, gdy proboszcz na mój użytek, a zapewne i na swój, dokonywał demontażu chrześcijaństwa, przyglądałem im się, jak siedzą i rozmawiają na ławie w niszy okiennej, i zastanawiałem się, czy któraś z nich wspomniała o zbliżającej się orgii. Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że zapomniałem wyznać Dianie, iż powiedziałem Joyce, że to Diana pierwsza wpadła na ten pomysł, ale ledwie zacząłem zbliżać się do nich, z proboszczem gburowato wlokącym się u mego boku, a już dostrzegłem, że wszystko idzie dobrze, aż za dobrze: dotykały się ramionami i kolanami, obie były lekko zarumienione, i każda, na swój własny sposób, zerknęła na mnie porozumiewawczo - Joyce śmiało i z powagą, a Diana z odrobiną udawanego zgorszenia i wstydu.

- Pan Sonnenschem opowiadał mi o Bożym zamyśle - powiedziałem.

Jedno biodro i przeciwstawne ramię proboszcza zadrżało przelotnie. Z dezaprobatą powiedział:

- No cóż, wiedzą panie, z racji obowiązków zawodowych muszę od czasu do czasu odpowiadać na takie pytania.

- Na czym polega Boży zamysł? - zapytała Joyce z ową całkiem rozsądną i całkiem przyjazną intonacją zaciekawienia, w której nauczyłem się rozpoznawać sygnał ostrzegawczy.

- Cóż, myślę, że mogę zacząć odpowiedź na to pytanie od stwierdzenia, na czym on nie polega. Na przykład nie chodzi o to, abyśmy nie mogli sypiać po nocach i obgryzali paznokcie z powodu stanu naszych dusz lub sprawy zmartwychwstania ciała, obcowania świętych, grzechu i pokuty, albo wykonywania naszych obowiązków na owej pozycji społecznej, na której zechciał...

Spodziewałem się już wyczerpującej listy rzeczy, na których nie polega Boży zamysł; ale Joyce przerwała mu.

- Ale na czym polega Jego zamysł?

- Powiedziałyby, muszę powiedzieć, że... Bóg chce - te dwa słowa znalazły się w cudzysłowie szyderstwa - abyśmy walczyli z niesprawiedliwością i uciskiem na całym świecie, czy to w Grecji, czy w Rodezji, czy w Ameryce, czy w Ulsterze, czy w Mozambiku - i - w - Angoli, czy w Hiszpanii, czy...

- Ależ to wszystko polityka. A gdzie jest religia?

- Dla mnie to jest... religia, w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu. Oczywiście, mogę być w wielkim błędzie. Nie ja mam mówić ludziom, co powinni myśleć i...

- Przecież jest pan proboszczem - powiedziała Joyce, nadal z rozsądkiem. - Płacą panu za to, żeby mówił pan ludziom, co mają myśleć.

- Przepraszam, ale moim zdaniem to dość przestarzały...

- Panie Sonnenschein - wtrąciła Diana, dzieląc to słowo na sylaby w tak gwałtowny sposób, że zabrzmiało nieco jak jakieś trójczłonowe chińskie nazwisko.

Proboszcz odczekał stosowną chwilę, zanim odrzekł:

- Tak, pani Maybury?

- Panie Sonnenschein... Czy obraziłby się pan na mnie, gdybym zadała panu dość irnpertynenckie pytanie?

- Nie. Nie, oczywiście, że nie, W końcu...

- Po co-właś-ci-wie - ktoś taki jak pan nią być proboszczem, skoro sam pan mówi, że nie obchodzą pana rzeczy takie jak obowiązek, ludzkie dusze i grzechy? Czy właśnie proboszczowie nie powinni się o to troszczyć?

- Cóż, rzeczywiście, w tradycyjnym...

- To znaczy oczywiście zgadzam się z panem co do Grecji i tych innych krajów, to absolutnie straszliwe, ale o tym przecież wszyscy już wiedzą. Bardzo proszę, niech pan się nie gniewa, ale wielu spośród nas powiedziałyby, że to nie pan, nie ktoś na pana stanowisku, powinien wygadywać takie rzeczy, jak, wie pan...

- Jak jeden z tych facetów w telewizji, wygłaszających odczyty o problemach dnia



dzisiejszego, wolności i demokracji - powiedziała Joyce, jeszcze bardziej przytomnie niż przedtem.

- Widzi pan, nie do tego pana potrzebujemy. Panie Sonnenschein...

- ...Tak, pani Maybury?

- Panie Sonnenschein, czy nie sądzi pan, że w czasach, kiedy wszyscy są tak wspaniale, wie pan, postępowi i na wszystko mają odpowiedź i tak dalej, to może pan właśnie powinien trochę pozzrędzić i postraszyć ogniem piekielnym, grzechem i potępieniem, i w ogóle dać się wszystkim we znaki, a nie, wie pan...?

- A nie mieć wszystko gdzieś, tak jak wszyscy inni - dorzuciła Joyce. Dopła sherry, zerkając na mnie ponad brzeżkiem szklanki.

- Ale przecież prawdę trzeba głosić w zgodzie z własnym sumieniem, w przeciwnym wypadku...

- Och, naprawdę pan tak sądzi? Nie uważa pan, że jest to właśnie jedna z najryzykowniejszych rzeczy na świecie?

- Zresztą pana sumienie może się mylić - dokończyła Joyce.

- Tak. Cóż. Rzeczywiście. Muszę porozmawiać z majorem - powiedział sługa Boży, tak prędko i stanowczo, i na tak krótko przed opuszczeniem nas, iż odniosłem wrażenie, że „rozmowa z majorem” (choć wśród gości znajdował się pewien emerytowany major) to prywatny eufemizm rodziny Sonnenscheinów oznaczający wydalanie.

Odwróciłem się do dziewcząt. Nigdy jeszcze nie widziałem, aby zachowywały się tak jednomyślnie.

- No, wspaniale go spławiłyście, chyłę czoło. Sam chciałbym móc tak mu nagadać. Mogę przynieść wam coś do picia?

Gdy mówiłem, wymieniały krótkie porozumiewawcze spojrzenia, po czym bez ciepła popatrzyły na mnie. Diana z rozwartymi szeroko oczyma pochyliła się ku mnie.

- Maurice, dlaczego przyprowadziłeś tu tego paskudnego wyskrobka w koloratce?

- Wcale go nie przyprowadziłem; uparł się, że chce z wami popoflirtować, i myślałem, że narobi mniej kłopotów, jeśli będę go...

- Czy nie mogłeś go powstrzymać? - spytała Joyce.

- Chyba mogłem, tak, ale nie sądziłem, że to aż tak ważne.

- Ależ, Maurice, widziałeś przecież, że rozmawiamy.

- Przepraszam. A skoro o rozmowie mowa...

- To znaczy o tym, żebyśmy poszły z tobą do łóżka - powiedziała Joyce, nie ścisząc specjalnie głosu, i mówiąc takim tonem, jakbyśmy przeszli do tematu niezbyt podniecającego

i dostatecznie znanego.

- Pssst... Tak. A więc, co...?

- Pasowałyby nam godzina czwarta, dzisiaj po południu - powiedziała Diana.

- Wspaniale. Możemy...

- Gdzie? - zapytała Joyce.

- Myślałem o pokoju numer osiem w oficynie. Aż do poniedziałku będzie wolny. Szeptę słówko Davidowi, a on dopilnuje, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

- Co mu powiesz?

- Coś tam wymyślę.

I szepnąłem słówko Davidowi, tak jak już kilkakrotnie przedtem, kiedy podejmowałem u siebie damy, choć nie prosząc go, jak przedtem, o przygotowanie w pokoju butelki szampana, wiaderka z lodem i kieliszków, nie tyle z oszczędności, a dlatego, że nie zdobyłem się na to, by zażądać trzech kieliszków. Rozmawiałem z nim tuż po ponurym obiedzie w sali restauracyjnej na dole. Obecny był na nim proboszcz, który odzyskał już w pełni animusz po ciągach, jakie sprawiły mu dziewczęta, i tryskał radością do tego stopnia, że przy kawie zaczął beczelnie flirtować z Nickiem (o czym Nick powiedział mi potem), a odjechał ostatni, stosownie zalany, uwożąc w żołądku trzy kieliszki mojego Taylora 1955. W duchu przekląłem jego ogrodowe barbecue w Newnham. Kiedy wreszcie zniknął, poszedłem do kantorka, zamknąłem się w nim na klucz, wyłączyłem telefon i spróbowałem pomyśleć o moim ojcu.

Próbowałem raczej bez skutku, może dlatego, że tak trudno było znaleźć związek między myślami o jego pogrzebie a myślami o nim samym, może dlatego, że wciąż pamiętałem o tym, co miało się stać o czwartej (choć nie uświadamiałem sobie tego), może dlatego, że tak wiele czasu mija, zanim zaczniemy traktować ludzi, którzy jeszcze niedawno żyli, jako naprawdę zmarłych, a może była to wina pigułek Jacka. W moim mózgu krążyły zimne, pozbawione znaczenia frazesy: zmarł bez cierpień, dał mi życie, był w podeszłym wieku, zmarł ze spokojnym sumieniem, poświęcił mi swe życie, wiedział, że jego syn i wnuk żyją dostatnio, na pewno spodziewał się tego (jakby to mogło stanowić jakąś pociechę), i odszedł do lepszego świata, umarł ciałem, ale nie duchem - do tego trudno mi było coś dodać, nawet trudno mi było znaleźć prawdę w tych zdaniach, gdy przypomniałem sobie, w jakich czasach przyszło mi żyć. Wyglądało na to, że z jakiegoś bezsensownego, okrutnego powodu idiota-proboszcz miał jednak rację. A przecież wierzyłem w to, co powiedziałem mu o dowodach przeżycia w sprawie Uriderhilla. Więc to inny przypadek, odległy, dotyczący kogoś, kto już przestał być człowiekiem, po kim pozostało tylko nazwisko, słowa i kości i, być może - nie, z

pewnością - duch. Nieśmiertelność wydawała się pojęciem zbyt egzotycznym i zbyt niedokładnym, aby można było odnieść je do kogoś, kogo tak długo znałem w ziemskiej postaci. Być może zdołam, że tak powiem, zająć się tym problemem od drugiej strony - być może uda mi się postrzec Underhilla jako bardziej rzeczywistego, jako prawdziwą osobę, naprawdę obecną, choć oddaloną, obecną w ten sam sposób, co mój ojciec.

Otworzyłem zamek w szufladzie biurka i spod stosu rachunków bankowych i zrealizowanych czeków wyciągnąłem szkatułkę z posążkiem i rękopisem. Wczoraj w nocy byłem zbyt zmęczony, aby je oglądać, a dziś nie miałem jeszcze ani czasu, ani ochoty na to. Teraz gorliwie przystąpiłem do ich zbadania podszedłem z posążkiem do okna i obróciłem go w jaskrawym świetle słońca. Poza okolicami szyi i krocza nie był on zbyt skorodowany, ale inne jego części wyglądały na gładko wytarte. I korpus, i kończyny miały kształt mniej więcej walcowaty, talia, łokcie i kolana były ledwo zaznaczone, a jedyna zachowana dłoń, choć nieproporcjonalnie duża, pozbawiona była kostek i stawów palców. Na podobny sposób głowa prawie wcale nie zwężała się ku podbródkowi, szczyt czaszki był niemal płaski, a rysy twarzy przedstawione zostały jedynie symbolicznie; tylko usta, ułożone w szerokim, prostym uśmiechu, który odsłaniał kilkanaście zębów mniej więcej jednakowej wielkości, zostały oddane dość dokładnie. Czułem pewność, że przedmiot ten nie pochodzi z żadnego zakątka zachodniej Europy, a przekonany byłem, że i Wschód nie wchodzi w rachubę. Być może Afryka, lecz moim zdaniem było to wielce nieprawdopodobne, choćby ze względu na okres życia Underhilla. Nowy Świat, kultury prekolumbijskie - tak: widziałem dokładnie ten sam wyraz radosnego, zachłannego okrucieństwa na twarzach azteckich rzeźb. Taki przedmiot miałby mnóstwo czasu, bo aż półtora stulecia, aby dotrzeć z podbitego Meksyku do Anglii czasów Underhilla, choć może trudno wyobrazić sobie prawdopodobną jego trasę; myśl o przechwyconym hiszpańskim statku z zagrabionymi skarbami nasuwała się natychmiast, i była całkiem wiarygodna. Ale skądkolwiek i jakkolwiek drogą przybył on do Fareham, posążek stanowił niewątpliwie najbrzydliwsze dzieło ludzkich rąk, jakie dane mi było oglądać, co uświadomiłem sobie, ledwie mu się przyjrzałem. Był też nieprzyjemny w dotyku, prawie równie zimny czy wilgotny, jak przed dwunastoma godzinami, kiedy po raz pierwszy wziąłem go do ręki; nie ogrzał go teraz nawet kilkuminutowy kontakt z moimi palcami, co z pewnością spowodowane było jakimś skażeniem metalu. Krótko mówiąc, był to właśnie taki przedmiot, jaki Underhill mógłby wybrać, zapewne ze zbioru podobnych obrazów ludzkiej ohydy, i kazać pochować ze sobą na dowód swego przeżycia.

Odłożyłem posążek na biurko i wziąłem do ręki dziennik; natychmiast poznałem, że spisany jest na takim samym papierze co notatnik, który oglądałem w Sali Hobsona u

Wszystkich Świętych: być może kartki te niegdyś spoczywały w tej samej oprawie. Litery wyblakły aż do spranego brązowego koloru, ale nadal były czytelne. Był to cienki plik papierów, liczący najwyżej czternaście lub piętnaście stron, a pierwsze dwanaście z nich zawierało jedynie irytująco mętne zalecenia skierowane do znalazcy rękopisu; rzeczy w rodzaju:

#Bądź cierpliwym: zczasem wszystko wręczoném ci będzie. Podday się méy woli, a uyrzysz wielkie Cuda. Bądź gotów; wstrzymay się od wszelkich mocnych Trunków i Kordyałów [do tego przynajmniej zacząłem się już stosować, w miarę możliwości], tyle ieno Wina i cienkiego Piwa pijąc ile zdrowiu przysłużyć się może. Pomniy, że choć Philosophia w sobie miłą iest, to Oblicze iéy niekiedy dziwném i srogim się zdaie...

I tak dalej. Jedyne zapis, który w jakiś sposób wyróżniał się spośród tych rzeczy i był zanotowany z zachowaniem szerszego marginesu, jakby miał specjalnie się odznaczać, jakby może stanowił wiadomość Underhilla dla samego siebie (znam się dobrze na tym rodzaju komunikatów), a nie przesłanie dla mnie, brzmiał, jak następuje:

Nazwa, wioska Fareham. Confer \* [\* Confer (łac.) porównaj] przystań Fareham w Southamptonshire. Nic o niéy niewiém. Quasi, far Home, scilicet \* [\* Scilicet (łac.) to znaczy] odległe domostwo, lubo, fair Home, piękne domostwo. Lubo, z Saxońskiego i Gockiego, feor, scilicet strach. Tako, feorhame, quasi, Mieysce Strachu.

Bez względu na słuszność Underhillowej etymologii, wydało mi się, że ma to sens, podobnie jak moje spekulacje na temat pochodzenia nazwy zajazdu. Ale takie teoryjki należą do niezwykle rozległej i oddalonej dziedziny; nie myśląc już o nich, bez większej nadziei kontynuowałem lekturę dziennika. Na ostatniej stronie znalazłem kilka linijek, nabazgranych krzywymi literami, w których z trudem rozpoznałem charakter pisma Underhilla.

#Moia godzina bliższą iest niżli myślałem. Odpraw niemieszkaiać tve Sługi; odeślij z domu wszystkich poza twa własna Rodziną. Sam zdomu niewychodź; z nikim się niewiduy i pozostaway w twéy komnacie, abym mógł cię tam samého znaleźć gdy do ciebie przyńdę. Noś zsobą naszego małego Srebrnego Przyiaciela **O KAŻDÉY PORZE** - alibo wszystko na marne póydzie. Teraz, żegnay, póki nie powrócę.

Do tylko jednej z tych instrukcji mogłem zastosować się bez trudu, ale widocznie była ona najważniejsza. Bez wahania, bez namysłu, ze wstrętem, podniosłem posążek i umieściłem go w lewej kieszeni marynarki, którą brzydtko wydał. Gotowe; co teraz? Przygotowując papiery do odłożenia do szuflady, przewróciłem ostatni z nich na drugą stronę i umieściłem na pozostałych, zauważając przy tym, że jest na nim parę zapisanych linijek. Stanowcze, niespieszne pismo, jak na wcześniejszych stronicach, układało się w wyrazy:

#Będę na cię czekał w méy Bawialni o godzinie dwunastéy, w nocy po twém odkryciu następującéy. Bądź sam.

Wpatrzyłem się w tę wiadomość, wstałem i zacząłem drzeć; nie z powodu jej treści, ale ze względu na wygląd atramentu, który był ciemnoniebieski lub czarny, wcale nie wyblakły, jakby dzisiaj dopiero naniesiono go na papier. Ale jak to możliwe?

Poczułem silny, ale (znów) niewytłumaczalny niepokój. Muszę natychmiast znaleźć Lucy. Słyszałem, jak mówiła, że spędzi popołudnie... jak? Gdzie? Tak - czytając i opalając się w ogrodzie. Złapałem papier, wybiegłem z kantorka i poprzez hol i frontowe drzwi dotarłem do południowo-wschodniego rogu budynku. Lucy, a obok niej Nick, siedzieli na ogrodowych krzesłach na środku trawnika. Niezdarnie ślizgając się na gęstej, suchej trawie, i czując, jak srebrny posążek obija się o moje udo, podbiegłem do niej.

- Lucy, spójrz na to. Atrament.
- Co takiego?
- Spójrz na kolor atramentu. Nowy, świeży. Prawda?
- Nie widzę...
- Nie, nie, po drugiej stronie, tutaj. To świeży atrament, prawda?

Zawahała się i wreszcie powiedziała:

- Dla mnie nie wygląda na świeży - i oddała mi papier.

Miała, oczywiście, rację. Pismo po obu stronach było brązowe i wyblakłe. Widocznie pośpiech nic nie mógł mi pomóc. To on sprawił, że zblakło, a raczej, że przed chwilą wyglądało na niewyblakłe. Zauważyłem, że Lucy ma na sobie granatowa plażową sukienkę z opuszczonymi ramiączkami, na kolanach trzyma książkę w jaskrawej okładce, i wygląda na lekko oślepioną słońcem. Nick odebrał mi papier, zerknął nań i zaczął czytać. Ubrany był tylko w kąpielówki i sandały.

- Nie, rzeczywiście - powiedziałem - masz rację. Nie wiem, dlaczego wydało mi się... To chyba sprawa oświetlenia. W kantorku jest dość ciemno. Światło. Trzeba zapalać lampę.

- Co to takiego, tato? - zapytał Nick.
- Cóż, to... chyba fragment jakiegoś listu. Znalazłem to.
- Gdzie?
- Och, robiłem porządki w starej szafie i to było schowane pod rupieciami.
- A więc skąd mógł się tu wziąć świeży atrament?
- Nie wiem. Wydawało mi się tylko, że jest świeży.
- A co to znaczy, ten srebrny przyjaciel i to odkrycie?
- Nie wiem. Nie mam pojęcia.
- A więc, o co chodzi? Byłeś taki podniecony...
- Nieważne.

Znajomy samochód podjeżdżał przed główne wejście do zajazdu, zielony mini-cooper Maybury'ych. Przez chwilę myślałem, że to Jack chce mnie pokarać swą wizytą, z nowymi pigułkami i niepotrzebnymi radami; potem dostrzegłem za kierownicą Dianę i przypomniałem sobie.

- Nie przejmuj się tym, Nick - powiedziałem, zabierając mu papier. - Przepraszam, że was zdenerwowałem. Ale to nic ważnego.

Wróciłem do domu, pośpiesznie złożyłem papiery, niemal je przy tym rozsypując, i zamknąłem je na klucz w szufladzie. Gdy opuszczałem kantorek, Diana właśnie wkraczała przez frontowe drzwi, a Joyce schodziła do holu. Obie przebrały się po obiedzie - Diana w beżową koszulę i zielone spodnie. Joyce w krótką czerwoną sukienkę z jakiegoś lekko połyskliwego materiału - i obie były wymalowane i obwieszane kolczykami i naszyjnikami, jakby wybierały się na przyjęcie. Kiedy z precyzją, której żadne uprzednie przygotowania nie mogłyby zwiększyć, spotkaliśmy się na środku parkietu, żadna z dziewcząt, nie pamiętała o tym, aby ucałować drugą, jak to zawsze czyniły na powitanie, co zważywszy na okoliczności zdziwiło mnie. Joyce sprawiała wrażenie spokojnej, jak zazwyczaj, może nawet bardziej, Diana - nerwowej lub zdenerwowanej, z rozwartymi szeroko, mrugającymi oczyma. Zapadła chwila milczenia.

- Cóż - palnąłem - nie ma sensu zwlekać, prawda? Chodźmy. Poprowadzę was.

Tak też zrobiłem. Przez pusty, zalany promieniami słońca dziedziniec dotarliśmy do oficyny, wspięliśmy się po schodach i przeszliśmy przez korytarz, obwieszony mniej wartościowymi z moich rycin. Ósemka była na jego końcu; otworzyłem drzwi i zamknąłem je za nami na klucz. Łóżko było rozesłane, ale bez niczyich osobistych przedmiotów pokój miał wygląd oficjalny i publiczny - przypomniałem sobie, że pewnego letniego popołudnia w zeszłym roku, gdy zbudziłem się w tym właśnie łóżku, wydało mi się, że leżę wśród

umeblowania wzorcowej sypialni w domu towarowym. Zaciągnąłem zasłony w oknach. Na dworze było słońce, niebo i wierzchołki drzew, wszystko to zupełnie nieruchome. Czułem nie tyle podniecenie, co ulgę, i nawet pewne niedowierzanie, że do tej pory nic jeszcze nie pokrzyżowało naszego planu.

Dziewczęta spojrzały porozumiewawczo na siebie, a potem na mnie, w ten sam sposób, jak w barze przed obiadem, przed tym, jak oskarżyły mnie o to, że przerwałem im rozmowę. Uśmiechnąłem się do każdej po kolei, próbując jednocześnie zdecydować się, na co mam największą ochotę.

- Co mamy zrobić? - zapytała Diana, z maleńką odrobiną niecierpliwości w głosie i zachowaniu.

- Na początek rozbierzmy się do naga - powiedziałem.

Kobieta może zawsze pozbyć się ubrania szybciej od mężczyzny, jeśli tylko tego zapragnie, a te dwie niewątpliwie tego pragnęły. Pomimo kolczyków i naszyjników, Joyce i Diana stały przy łóżku nagie i przytulone do siebie, gdy ja nadal jeszcze szamotałem się z drugim butem. Kiedy wreszcie byłem gotów przyłączyć się do nich, zdążyły już odrzucić koldrę i leżały na boku, obejmując się jeszcze ściślej. Usadowiłem się za Dianą i zacząłem całować jej ramiona, dostępne dla mnie ucho i kark, co ani mnie, ani nikomu innemu nie sprawiło specjalnej przyjemności. Miałem kłopoty z wśliznięciem ramienia pod jej ramię, bo było tam już ranne Joyce, a mogłem dotykać tylko zewnętrznej części piersi Diany, bo do jej reszty przyciśnięta była pierś Joyce. Kiedy spróbowałem dokonać czegoś podobnego na niższym poziomie, natknąłem się na górną powierzchnię uda Joyce. Potem usiłowałem zmienić pozycje dziewcząt, aby ustawić jedna z owych miłosnych triad, które Joyce z takim brakiem subtelności opisywała poprzedniego wieczora. Oznaczało to, że musiałbym przesunąć jej udo, które jednak ani drgnęło. Nie próbowałem nawet położyć Diany na plecach, bo jej dolne udo zaklinowane było pomiędzy udami Joyce. Zawsze trudno jest poruszać ciałami ludzi, którzy nie poddają się naszym manipulacjom, te dwie zaś nie miały na to najmniejszej ochoty.

A co robiły? Całowały się wciąż, bez ustanku, przytulając się do siebie, oddychając głęboko, choć niezbyt szybko. I co jeszcze? Z miejsca, gdzie leżałem, nic nie mogłem dojrzeć, ale widziałem obie dłonie Joyce, jedna za głową Diany, a drugą na jej krzyżu, a zresztą od samego początku obejmowały się tak dokładnie, że żadna nie była w stanie w jakikolwiek sposób pieścić drugiej; do tego musiałyby nieco się rozsunąć, co pozwoliłoby mi uaktywnić się, ale szczerze wątpiłem, czy którejs z nich przyjdzie do głowy taki pomysł. Powiedziałem sobie, że się nie poddam, powiedziałem to na głos, powiedziałem mnóstwo

innych rzeczy, jakimś cudem pozostając po właściwej stronie granicy między narzekaniem a zniewagą, przeniosłem się na drugą stronę łóżka, za Joyce, i tam też nic nie zwojowałem.

A więc to tak. Wstałem i spojrzałem na nie, splecione w uścisku, nie zdradzające chęci ani przyśpieszenia, ani spowolnienia tempa, jakby nie były w stanie wyobrazić sobie, że kiedykolwiek będą miały zrobić coś innego, nawet coś niezbyt różniącego się od obecnej czynności. Dobrze znałem to uczucie! W tym momencie orzechowe oko Diany otworzyło się, przesunęło się po okiennych zasłonach, po mnie i znów po zasłonach, bez skrępowania zwracając tyle samo uwagi na mnie, co na zasłony, i na nowo się zamknęło. Myśl o dwóch kobietach kochających się ze sobą może podniecać, ale muszę wyznać, że jeśli są one tak całkowicie zaabsorbowane sobą, jak te dwie, to sam widok działa uspokajająco. Rzeczywiście, przez moment poczułem większy spokój, niż dane mi było zaznać kiedykolwiek w ciągu minionych kilku dni. Posłałem im pocałunek, rezygnując z całowania ich w ramiona lub w coś innego, co kosztowałyby mnie więcej trudu, a pozostałoby równie niedocenione, niespiesznie pozbierałem moje ubranie i zaniósłem je do łazienki.

Gdy wyszedłem ubrany, Joyce przyciskała głowę Diany do swej piersi, ale poza tym nic się nie zmieniło. Zdjąłem tabliczkę z napisem „NIE PRZESZKADZAĆ” z haczyka na drzwiach i powiesiłem ją na klamce od strony korytarza. Główny budynek, kiedy do niego wróciłem, był wyludniony. Poszedłem do kantorka i stałem w nim przez jakiś czas, nie mogąc pomyśleć o niczym, co chciałem zrobić, albo co kiedykolwiek miałbym chcieć zrobić. Potem poszedłem na górę, do jadalni, i stałem w niej, patrząc na tytuły moich książek i dziwiąc się, co za lichy mnie podkusiło żeby kupić którąkolwiek z nich. Poezja, jaka bądź poezja, miała dla mnie w tej chwili tyle samo sensu i emocji, co rozwiązana krzyżówka albo Pismo Święte. Książki o architekturze i rzeźbie traktowały o bezmyślnych gratach, dużych i małych. Chyba nigdy nie zmienię poglądów w tej sprawie. Odwróciłem się i przyjrzałem moim rzeźbom. Wyczelowane graty, wszystkie bez wyjątku. Jutro rano wyrzucę je na śmietnik.

W domu panowała cisza, zmacona tylko afektowanym szczebiotaniem telewizora Amy, który przedstawiał jej wiadomości i relacje z dzisiejszych wydarzeń sportowych, może nawet sportowe sensacje dnia, na przystawkę do kosmicznych potworów czy też wrzasków idoli muzyki pop i ich bałwochwalców. Zasłony w oknach były rozsunięte; wpadające do pokoju promienie słońca zdawały się nienaturalnie jaskrawe, a jednocześnie niemal całkowicie odbarwione. Przez boczne okno widziałem i słyszałem traktor, wlokący jakąś pomalowana na czerwono i zielono maszynę rolniczą, który zbliżał się od strony wioski, w otoczeniu rzadkiego obłoku kurzu i drobinek ziemi, pomieszanych z mnóstwem dymu dryfujących na drugą stronę drogi. Po chwili zniknął, zakryty framugą okna. Jego warkot, nabierając



głośności, stawał się jednocześnie coraz niższy. Widocznie traktorzysta zamierzał zatrzymać się bezpośrednio przed moim domem i grzebać w silniku, wydzielając przy tym dalsze ilości hałasu i dymu. Ale coś dziwnego działo się też z telewizyjnym głosem dochodzącym z drugiej strony korytarza: jego wysokość także opadała, i to w tym samym tempie. Podobne efekty może stworzyć gramofon, którego silnik właśnie wyłączono, albo magnetofon; ale nie sądziłem, że telewizor też jest do tego zdolny. Stałem bez ruchu nasłuchując bicia mego serca, a dźwięki traktora i telewizora, z dokładną synchronizacją, opadły poniżej progu słyszalności i zapanowała absolutna cisza. Powoli podszedłem do frontowego okna.

Traktor zatrzymał się dokładnie tam, gdzie się spodziewałem, niemal tuż przede mną. Jednak traktorzysta nie zsiadł z maszyny ani w ogóle się nie poruszył. Jedną rękę trzymał na kierownicy, drugą zaś przesuwając po czole kolorową chusteczkę, a raczej zastygł w połowie tej czynności. Wokół niego samego i jego pojazdu zawisły nieruchomo woale dymu i kurzu, których pojedyncze drobinki lśniły w świetle słońca. Podszedłem do bocznego okna. O jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt metrów ode mnie, nieco na lewo, dwie woskowe figury rzucały swe cienie na trawę - jedna z nich siedziała i wyciągała dłoń po coś, zapewne filiżankę herbaty, którą podawała jej druga, stojąca obok; byli to Lucy i Nick. Tym razem obraz widziany z obu okien posiadał wszystkie cechy dobrej fotografii, nieruchomej, ale pełnej dynamiki. Tym razem miało też być inaczej niż poprzednio, bo nie zamierzałem zostać w pokoju i zadowolić się oglądaniem tego, co ktoś miał mi pokazać.

Szybko podszedłem do drzwi, otworzyłem je i chciałem już wybiec na korytarz, kiedy coś sprawiło, że zatrzymałem się gwałtownie - jakiś podprogowy efekt dźwiękowy albo poruszenie powietrza. Wyciągnąłem dłoń i koniuszki moich palców natknęły się na niewidzialną barierę, twardą i doskonale gładką, przypominającą tafłę szkła, ale nie odbijającą światła. Zapelniała ona całe wnętrze framugi. Nie wiedząc, co mam teraz zrobić, odwróciłem się, podniosłem wzrok i zobaczyłem, że ktoś siedzi w fotelu po drugiej stronie kominka. Osobnik ten, młody człowiek o jedwabistych jasnych włosach i bladej twarzy, nie mógł (oczywiście) wejść do pokoju tak, abym tego nie zauważył.

- Znakomicie - powiedział serdecznie młody człowiek. Obserwował mnie ze słabym, krzywym uśmiechem. - Wie pan, mnóstwo ludzi weszłoby wprost w to coś. Widać, że ma pan dobry refleks. A teraz, jeśli zechce pan usiąść, to pogawędzimy przez chwilę. To nic poważnego, słowo daję.

W pierwszym momencie wydałem kobiecie pisk trwogi. Moja trwoga była autentyczna, ale natychmiast minęła, zastąpiona zintensyfikowanym wrażeniem podładowania, którego doznałem wczoraj rano przed wyjazdem do Cambridge: czułem niepokój i nerwową energię,

ale nie zdenerwowanie. Może zareagowałem tak na obecność mego gościa. Podszedłem doń i usadowiłem się w fotelu naprzeciwko, przyglądając mu się. Miał około dwudziestu ośmiu lat, na tyle przynajmniej wyglądał, miał kanciastą, wygoloną, wesołą twarz, nie wzbudzającą raczej zaufania, rzadkie brwi i rzęsy i zdrowe zęby. Ubrany był w ciemny garnitur konwencjonalnego kroju, srebrnoszarą koszulę, czarny krawat z dzianego jedwabiu, ciemnoszare skarpetki i czarne, dobrze wypucowane półbuty. Mówił starannie modulowanym głosem człowieka lubiącego dyskusje, z eleganckim, ale nie afektowanym akcentem. W sumie sprawiał wrażenie osoby żyjącej dostatnio, pewnej siebie i w dobrej kondycji fizycznej, jeśli nie liczyć błądki.

- Czy jest pan wysłannikiem? - zapytałem.

- Nie. Postanowiłem przybyć, eee... Osobiście.

- Rozumiem. Czy napije się pan czegoś?

- Tak, chętnie, jestem całkowicie materialny. Chciałem pana ostrzec, żeby nie podejrzewał pan, że jestem wytworem pańskiego umysłu, ale widzę, że to zbyteczne. Proszę o odrobinę whisky, jeśli można.

Wyjąłem szklanki.

- Wydaje mi się, że nie mogłem wyjść na korytarz dlatego, że poza tym pokojem ustał wszelki ruch molekularny.

- Zgadza się. Tutaj nie obowiązuje normalny czas. Dzięki temu nikt nam nie przeszkodzi.

- I tak samo na dworze wstrzymane zostało promieniowanie we wszystkich formach?

- Oczywiście. Zauważył pan przecież, że dźwięk znikł bez śladu.

- Tak. Ale, w takim razie, dlaczego na dworze nie znikło też światło? Na dworze, i tu też? Jeśli proces ten ma stosować się do wszystkich długości fal, to nie rozumiem, dlaczego światło słońca dociera do nas, a dźwięk traktora nie. Wszystko powinno być pogrążone w mroku.

- Wspaniale, Maurice. - Młody człowiek roześmiał się w sposób, który miał brzmieć lekko i jowialnie, ale w którym chyba wyczułem rozdrażnienie. - Czy wie pan, że jest pan chyba pierwszym człowiekiem, poza naukowcami, który zwrócił na to uwagę? Zapominam, jak wszechstronne wykształcenie pan posiada. Po prostu wydawało mi się, że w ten sposób rzeczy będą lepiej wyglądać.

- Ma pan pewnie rację - powiedziałem, biorąc do ręki szklankę i dzbanek z wodą i zaczynając nalewać. - Czy to ma być jakiś egzamin?

- Dziękuję, tyle wystarczy... Nie, to nie egzamin. Jakby pan to sobie wyobrażał? Co miałyby się stać, gdyby zdał pan przede mną ten egzamin? Albo gdyby go pan nie zdał? Pan

akurat powinien wiedzieć, że nie takie są moje metody.

Powróciłem z napełnionymi szklankami i podałem mu jedną. Dłoń, która wyciągnęła się po nią i wzięła ją, oraz nadgarstek i część przedramienia, wystająca z mankietu srebrno-szarej koszuli, były niekompletne, tak że palce zaklekotały na szkle, a w moich nozdrzach przez moment zagościł ów najobrzydliwszy na świecie smród, który przedtem poczułem tylko raz w życiu, gdy w roku 1944 przedzierałem się wraz z grupą żołnierzy Wolnej Francji przez wyłom w linii frontu pod Falaise. Zniknął on natychmiast, i palce, dłoń i wszystko inne powróciło do poprzedniej postaci.

- To było niepotrzebne - powiedziałem siadając.

- Sam pan w to nie wierzy, staruszk. Dzięki temu będzie pan pamiętać, z kim rozmawia. Widzi pan, to nie jest tylko towarzyska wizyta. Pańskie zdrowie.

Ale ja nie piłem.

- A więc, co pana sprowadza?

- Wiele powodów, oczywiście. W każdym razie, jak pan wie, lubię robić czasami te wycieczki.

- Sprawdza pan, co się u nas dzieje?

- Maurice, niech pan nie udaje durnia - powiedział młody człowiek uśmiechając się krzywo. Miał bardzo jasne brązowe oczy, niemal tego samego koloru, co jego włosy i rzadkie brwi. - Wie pan, że wiem o wszystkim, co każdy myśli.

- Więc nie przybył pan dlatego, że zainteresował się właśnie mną.

- Nie. Ale po części dlatego, że pan zainteresował się mną. Wszystkimi aspektami mojej osoby. Czy zgadza się pan z tym?

- Wydaje mi się, że zajmuje mnie zwłaszcza ten aspekt, który przed chwilą pan zademonstrował - powiedziałem, pijąc tym razem.

- Nie sądzę. Czy pan chce, czy nie, i czy zdaje pan sobie z tego sprawę, czy nie, to zainteresowanie jednym aspektem oznacza zainteresowanie wszystkimi. Zresztą, nie jest pan pod tym względem wyjątkiem.

- W takim razie dlaczego uczeplił się pan mnie? Co ja takiego zrobiłem?

- Co pan zrobił? - Zaśmiał się, tym razem szczerze rozbawiony. - Jest pan człowiekiem, prawda? Urodził się pan na tym świecie i tak dalej. I czy to takie straszne, że wpadam do pana w odwiedziny? Mam w końcu tyle większych zmartwień. Nie, uczepliłem się pana, jak pan to dość niewdzięcznie ujął, po części dlatego, że, eee... - Urwał i zakręcił lodem w szklance, po czym podjął w swojej charakterystycznej manierze, jakby zaczynał nowe zdanie: - Niewiele tym ryzykuję.

- Jestem pijakiem, widuję duchy i na pół zwariowałem. Tak.
  - I nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby pana świętym, mistykiem czy kimś podobnym. Właśnie. Widzi pan, muszę uważać.
  - Uważać? Przecież to pan ustala reguły gry, prawda? Może pan robić, co pan chce.
  - Och, mój drogi, nic pan nie rozumie. Mogłem się tego spodziewać. Właśnie dlatego, że ustalam reguły gry, nie mogę robić tego, co chcę. Ale zmieńmy temat. Chciałbym, jeśli mogę, porozmawiać przez chwilę o tym całym Underhillu. Mam z nim trochę kłopotów. Proszę z nim bardzo uważać, Maurice. Bardzo.
  - To znaczy nie zadawać się z nim?
  - Bynajmniej - powiedział z naciskiem i, jak mi się wydawało, zupełnie poważnie. - Wprost przeciwnie. Stary Underhill to niebezpieczny człowiek. No, na niewielką skalę. Drobne zagrożenie bezpieczeństwa. Jeśli nikt się nim nie zajmie, to będzie mi nieco trudniej utrzymać ludzi w powszechnym przekonaniu, że ich życie kończy się w grobie. Pewna bardzo ważna reguła mojej gry głosi, że muszę podtrzymywać to przekonanie. Jest to prawie tak ważne, jak to, iż historia musi wyglądać na wyłączne dzieło przypadku.
  - To drugie rozumiem, ale przyzna pan, że ta sprawa z grobem wyłoniła się stosunkowo niedawno.
  - Bzdura. Zna pan tylko oficjalne kreda. Z tym nigdy nie miałem trudności. A więc, chciałbym, żeby zajął się pan Underhillem i, eee... Unieszkodliwił go.
  - Jak?
  - Tego, niestety, nie mogę panu powiedzieć. Przepraszam, że zachowuję się jak belfer, ale musi pan polegać tylko na sobie. Mam nadzieję, że się panu uda.
  - Ale pan wie? Czy mi się uda, czy nie?
- Młody człowiek westchnął, głośno odchrząknął i przygładził swe jasne włosy.
- Nie. Nie wiem. Chciałbym wiedzieć. Ludzie myślą, że znam przyszłość, i dobrze, że tak myślą, ale z logicznego punktu widzenia to bzdura, o ile nie zlikwidujemy istnienia wolnej woli, czego nie mogę zrobić. Ludzie po prostu próbują przedstawiać mnie jako potężniejszego, niż mogę być i to zazwyczaj z bardzo szlachetnych pobudek.
  - Nie wątpię. Zresztą nie mam zamiaru wykonywać pańskich poleceń. Lista pana wyczynów nie robi na mnie wrażenia.
  - Ja też tak sadzę, zważywszy na pański typ osobowości. Ale mnóstwo ludzi zauważyło, że potrafię być bardzo bezwzględny wobec tych, którzy nie stosują się do moich rad. Może to da panu do myślenia.
  - Też nie, bo wiem, że bywa pan bezwzględny i dla tych, którzy na pewno nie mogli panu

w niczym uchybić.

- Wiem, dzieci i tak dalej. Ale niech pan przestanie gadać jak jakiś anty-ksiądz. Tu nie chodzi o żadne uchybienia i kary, o żadne takie ojcowanie; tak po prostu przebiega gra. Nie ma w tym niczyjej złośliwości. Cóż, myślę, że zapamięta pan to sobie i przemyśli jeszcze kiedyś.

W ciszy, która zapadła, słyszałem tykanie mego zegarka i z fascynacją pomyślałem, że w tej chwili jest to jedyny działający zegarek na całej planecie.

- Chyba niezbyt pomyślnie dla pana przebiega ta gra, skoro wciąż musi pan urządzać podobne wycieczki.

- W grze radzę sobie doskonale, dziękuję. Szczerze mówiąc, w ciągu ostatnich stu czy dwustu lat zdołałem poważnie ograniczyć moje wycieczki. Ale, rzecz jasna, zdarzają się różne niespodzianki. Przez prawie trzy miesiące miałem spokój, a tu dzisiaj, nawet w tej samej chwili, jeśli mogę się tak wyrazić, odwiedzam nie tylko pana, ale i pewną kobietę w Kalifornii, której coś się pokręciło. W ten sposób - jakby to powiedzieć? - oszczędzam sobie nieco pracy. Och, i niech pan nie marnuje czasu na próby skontaktowania się z nią, bo ona i tak nie będzie o tym pamiętać.

- A ja będę pamiętać?

- Nie widzę przeciwwskazań. Tak chciałem zrobić, ale decyzja należy do pana. Porozmawiamy o tym jeszcze przy pożegnaniu, zgoda? Niech się pan namyśli.

- Dziękuję. Napije się pan jeszcze?

- Cóż, chętnie, poproszę o jeszcze jedną szklankę. To wyśmienite.

Stojąc przy barku, powiedziałem:

- Ale przecież może pan chyba zaoszczędzić sobie pracy i nie pojawiać się w cielesnej postaci. W końcu przestrzeń i czas i wszystko inne nie stanowią dla pana żadnej przeszkody.

- Co do przestrzeni, zgoda. Inna sprawa z czasem. Och, w tym, co pan mówi, jest sporo prawdy. Ale poza tym, te wycieczki same w sobie sprawiają mi przyjemność. To samolubstwo, a więc staram się ograniczać ich liczbę. Ale to świetna zabawa.

- Zabawa?

Znów westchnął i mlasnął językiem.

- Trudno mi to wyjaśnić, nie wulgaryzując całej sprawy. Ale spróbuję. Gra pan w szachy, Maurice, a przynajmniej grywał pan na studiach. Pamięta pan, musi pan pamiętać, jak pragnął pan znaleźć się na szachownicy pośród figur, tylko na dwa lub trzy ruchy, żeby móc się wczuć w grę, zachowując jednocześnie status gracza. To najlepsze porównanie, na jakie mnie stać.

- A więc to wszystko gra? - Wróciłem z napojami.

- Tak, to znaczy, nie jest to nic szczególnie, eee... budującego ani ważnego. Ale, z drugiej strony, przypomina to też sztukę, sztukę i dzieło sztuki złączone w jedno. Wiem, że brzmi to dla pana nieco frywolnie. Ale to tylko pozory. Kłopot polega wyłącznie na tym, jak się ta sprawa rozwinęła - powiedział młody człowiek, ścisząc głos i wpatrując się w swą whisky. - Mówiąc między nami, Maurice, wydaje mi się, że na samym początku podjąłem pewne raczej niefortunne decyzje, właśnie dlatego, że nie znałem przyszłości. Słowo daję, co za dureń wymyślił, że znam przyszłość. Gdybym ją znał, w ogóle nie mógłbym pracować! No więc musiałem jakoś trzymać się tych decyzji i ich praktycznych skutków. A nie mogłem ich odwołać; jedna rzecz, której nikt mi nigdy nie przypisywał, to zdolność odwoływania tego, co już zrobiłem, zmieniania faktów historycznych i tak dalej. Często pragnę to robić - no, powiedzmy, czasami. Nie powiem, żebym chciał być okrutny, po prostu na takiego wychodzę. To niełatwa sytuacja, prawda? Ot, pewnego razu uświadomiłem sobie, że istnieję, tu czy tam, czy gdzie pan chce, że jestem zdany tylko na siebie i że posiadam pewną władzę. Powiem panu, że wątpię, czy pan poradziłby sobie lepiej na moim miejscu. - Mówił teraz z lekkim niezadowoleniem. - Nie ma pan pojęcia, co to za uczucie, kiedy trzeba zdecydować się na jedną spośród wielu możliwości, z których każda jest jedyna w swoim rodzaju, i kiedy, w dodatku, nie można potem zmienić wyboru.

- Cóż, podobno jest pan inteligentniejszy ode mnie, choć patrząc na skutki pańskiej działalności trudno w to uwierzyć. Ale nie sądziłem, że nie zawsze był pan... tam, gdzie pan jest. Cokolwiek to może oznaczać.

- To znaczy wszędzie, skoro już o tym mówimy, o czym wie pan doskonale, choć, oczywiście, nie przez cały czas wszędzie do tego samego stopnia. A poza tym, to jednak zawsze istniałem. Ale zmieniałem się. Można, w pewnym sensie, określić moment, w którym uświadomiłem sobie, że istnieję. Było to dość dawno temu. Stało się to w tym samym okresie, właściwie było tym samym, co moje odkrycie własnej tożsamości i możliwości.

- Te możliwości muszą dawać panu sporo satysfakcji.

- Och, tak, mnóstwo. Ale to też nużące. Obecnie większość mojej pracy wykonuję głównie z poczucia obowiązku. I wciąż rozmyślam o rzeczach, na których zrobienie jest już za późno. I o rzeczach, których nie powinienem robić, ale które mnie kuszą. Drastyczne zmiany. Niech pan tylko pomyśli - czy to nie byłoby piękne, zmienić wszystkie prawa fizyki albo posługiwać się czymś, co nie jest materią, albo nawet tylko wprowadzić do gry nowe reguły? A choćby i takie drobiazgi, jak kosmiczne kataklizmy albo podrzucenie żywego dinozaura - tylko jednego - na Piccadilly Circus? Niełatwo się temu oprzeć.

- A może by pan spróbował ulżyć trochę ludzkiej doli?

- To, niestety, wykluczone. Zbyt ryzykowne z punktu widzenia bezpieczeństwa. Nie śmiałbym ujawnić się na tyle. I tak niektórzy z was sporo już o mnie wiedzą. Na przykład pański przyjaciel Milton. - Młody człowiek wskazał ruchem głowy na moją biblioteczkę. - Zrozumiał ideę dzieła sztuki, gry i jej reguł i tak dalej. Miał szczęście, że nie zaświtało mu, kim jest szatan, a raczej część kogo stanowi. W takim przypadku musiałbym interweniować.

Spojrzałem na niego i znów zauważyłem, jak bardzo jest blady.

- Cóż... - Wykrzywił usta. - Może mały atak serca. Paraliż. Coś w tym rodzaju.

- Na pewno ma pan mnóstwo delikatniejszych metod w zanadru.

- Cóż... Widzi pan, istnienie wolnej woli nie pozwala na stosowanie większości z nich. Wiem, że to utrudnia wszystkim życie, ale na to już nie ma rady. No i mimo wszystko pozostaje nam jeszcze całkiem sporo różnych rzeczy. Muszę już iść; już i tak dosyć sobie pofolgowałem. Dam panu jeszcze jedną radę. W razie potrzeby proszę uciec się do pomocy Kościoła. Och, nie mówię, że ma pan słuchać, jak ten głupi kabotyn Sonnenschein robi ze mnie jakiegoś Mao Tse-tunga z przedmieścia. Ale proszę pamiętać, że jest on kapłanem Kościoła i że jako taki dysponuje pewnymi technicznymi możliwościami. We właściwym czasie zrozumie pan o co mi chodzi. Niech pan tylko nie zapomina, że ta rada pochodzi od kogoś, kto być może nie jest doskonały, ale kto z pewnością wie więcej od pana. A teraz, w zamian za znoszenie mego najścia, i za whisky, może mi pan zadać jedno pytanie. Chce pan trochę czasu do namysłu?

- Nie. Czy istnieje życie pozagrobowe? Zmarszczył brwi i odchrząknął.

- Chyba tylko tak można to nazwać. Nie przypomina ono niczego, co pan zna lub co może pan sobie wyobrazić, a ja nie mogę tego panu opisać. Ale nigdy nie uwolni się pan ode mnie aż do końca tego świata.

- A czy będzie koniec świata?

- To wprawdzie już drugie pytanie, ale odpowiem i na nie. Otóż nie wiem. Muszę jeszcze zastanowić się nad tym. Mówię serio. Czy wie pan, że to chyba jedyny naprawdę fascynujący, pierwszorzędny i naprawdę poważny problem, którym jeszcze się nie zająłem? Zresztą, sarn pan się przekona, czy będzie koniec świata. Czy chce pan pamiętać naszą rozmowę i całą resztę?

- Tak.

- Dobrze. - Młody człowiek wstał młodzieńczym ruchem. - Dziękuję panu, Maurice; to była naprawdę ciekawa rozmowa. Spotkamy się jeszcze.

- Nie wątpię.

- Będę wtedy... występować oficjalnie. Tak. Wie pan w końcu zrozumie pan, że ten mój aspekt też jest potrzebny. Wszyscy to w końcu rozumieją. Oczywiście, niektórzy lepiej od innych.

- A do której grupy ja należę?

- Och, na pewno do tych, którzy są w stanie docenić mnie. Niech pan o tym pomyśli, a przyzna mi pan rację. Aha. - Sięgnął do kieszeni kamizelki swego konserwatywnie skrojonego garnituru i wyjął z niej mały błyszczący przedmiot, który mi wręczył. - Mała pamiątka.

Był to wysmukły i bardzo piękny srebrny krzyżyk z okresu późnego włoskiego Renesansu (jak się domyślałem), ale nowy, jakby dopiero przed godziną zakończono jego modelowanie.

Młody człowiek skinął głową.

- Śliczny, prawda? Choć może nie powinienem się chwalić. Naprawdę, na moim stanowisku nie przystoi parać się produkcją dewocjonaliów.

- Czy to pan? To znaczy...

- Och, tak. Część mnie.

- Czy to nie było ujawnienie się?

- Hm. Chyba bardzo mi się wtedy nudziło. Pomyślałem sobie: „czemu nie?” A potem uświadomiłem sobie, że w powietrzu wisi katastrofa. Niepotrzebnie się martwiłem, prawda? Sam pan widzi, że On niewiele zmienił.

- Ale przecież dopiero co sam mi pan mówił, że Kościół to ważna rzecz.

- Cóż, w pewnym sensie. Trudno się dziwić. W końcu On był częścią mnie. Do widzenia, Maurice.

Krzyżyk drgnął i zakręcił się na mojej dłoni, ześliznął się, zanim zdążyłem zacisnąć ją w pięść, po ukośnej trajektorii spadł na podłogę i potoczył się w róg pokoju. Kiedy niezdarnie próbowałem go pochwycić, usłyszałem serdeczny, szczerze wesoły śmiech młodego człowieka, a po chwili, gdy srebrny błysk zniknął już w szczelinie między boazerią a podłogą, basowy pomruk o rosnącej wysokości, który niebawem rozdzielił się na dźwięki traktora i telewizora, zbliżające się do normalnego tonu. Zanim jeszcze zdążyły go osiągnąć, znalazłem się przy frontowym oknie, w samą porę, żeby podziwiać wyjątkowy spektakl rzeczywistości przesuwał się od tempa zwolnionego do normalnego: drobinki kurzu i pasemka dymu przyspieszyły ruch, traktorzysta powrócił do życia, coraz szybszym ruchem ramienia chowając chusteczkę do kieszeni. Wszystko znów wyglądało tak, jak powinno wyglądać.

Odszedłem od okna, ale nie wiedziałem, dokąd teraz iść. W przeciągu ułamka sekundy



moje serce zabiło dwukrotnie, znieruchomiło, ja zaś rzuciłem się w przód i uczepliłem oparcia jednego z krzeseł przy stole, a wreszcie tak walnęło wewnątrz mojej piersi, że zwinąłem się w pół, kolana ugięły się pode mną i niemal przewróciłem krzesło. Ból w plecach naszedł mnie w momencie, gdy kładłem akurat dłoń na jego ognisku, i zaczął, w nie znany mi dotychczas sposób, miarowo rozprzestrzeniać się i kurczyć. Poczułem, jak pot tryska z mojej twarzy, piersi i dłoni, i jak przyśpiesza mój oddech. Przeżywałem teraz cały strach, którego udało mi się umknąć podczas wizyty młodego człowieka, a przynajmniej jego symptomy. Znalazłem butelkę z whisky, wypilem nieco, opanowałem się, żeby nie wypić więcej, i połknąłem trzy pigułki, popijając je wodą. Uświadomiłem sobie, że muszę natychmiast zrobić dwie rzeczy.

W drzwiach mimo woli zawahałem się przez moment, ale wybiegłem na korytarz. Znalazłem Amy, z Wiktoorem ukośnie ułożonym na jej kolanach, wpatrzona w tablicę wyników krykieta na ekranie telewizora.

- Która godzina, kochanie? Nie poruszając się, powiedziała:

- Dwadzieścia po czwartej

- Popatrz na zegarek, proszę. Nie, pokaż mi go. Ogromny cyferblat, który nosiła na nadgarstku, wskazywał czwartą dwadzieścia dwie. Spojrzałem na mój zegarek: czwarta czterdzieści sześć. Zniknął jeden poważny powód do strachu, ale moje samopoczucie nie zmieniło się. Zacząłem niezręcznie przestawiać zegarek.

Nie odwracając wzroku od ekranu, Amy powiedziała konwersacyjnym tonem:

- A więc teraz nie wierzysz mi nawet, kiedy mówię, która godzina.

- Wierzę ci. Po prostu...

- Nie uwierzyłeś mi. Nie wierzyłeś, kiedy ci powiedziałam. Musiałeś sam zobaczyć.

- Przecież nie spojrzałaś na zegarek.

- Spojrzałam tuż przed tym, jak wszedłeś.

- Przepraszani, kochanie, ale nie wiedziałem o tym, a chciałem się upewnić.

- Rozumiem, tato.

- Przepraszam.

- Czy nie obejrzałbyś ze mną *Planety piratów*? - zapytała, wciąż tym samym tonem. -

Zaczyna się pięć po piątej.

- Zobaczę. Mam dużo pracy, ale spróbuję.

- Dobrze.

Następnie poszedłem do kantorka i zabrałem sprawną nadal latarkę, jedną z dwóch, których używaliśmy z Dianą w pierwszych godzinach tego dnia, wyniosłem ze składziku ten

sam młotek i dłuto oraz łom i wróciłem do jadalni. Po kilku minutach udało mi się podnieść spory kawałek wykładziny dywanowej, ale deski podłogi zrobione były z twardego drewna, a mój poprzednik pozostawił je w znakomitym stanie. Narobiłem sporo hałasu i trochę szkód, i zdrowo się spociłem, zdejmując pierwszą z nich. Pomiędzy legarami w słabnącym świetle latarki ukazały się jedynie listwy i gips pokryte kłębkami kurzu i jakiejś przypominającej pajęczynę substancji. Jeśli krzyżyk zachował nadnaturalne właściwości po zniknięciu, to mógł teraz znajdować się w jakimkolwiek punkcie poniżej podłogi, a nawet w miejscu zupełnie dla mnie niedostępnym. Ale nie miałem wyboru: musiałem kontynuować rozpoczęte poszukiwanie.

Czas mijał bezowocnie. Zajęty byłem czwartą z kolei deską, gdy weszli Nick i Lucy.

- Cześć, tato, co robisz?

- Nic wielkiego... - Spojrzałem na nich i dostrzegłem, że wyglądają naprawdę jak mąż i żona. - Coś mi wpadło do szczeliny w podłodze. Coś raczej wartościowego. Próbuję to znaleźć.

- Co to było? - W głosie Nicka brzmiał sceptycyzm.

- Cóż, coś jakby rodowe dziedzictwo. Dostałem to od dziadka.

- A nie możesz... to znaczy, do której szczeliny to wpadło? Zdaje mi się...

- Nie, widzisz, to się potoczyło. Nie wiem, dokąd. Nick zerknął na Lucy.

- Czy na pewno dobrze się czujesz, tato?

- Świetnie. Trochę mi gorąco.

- Ale to nie ma nic wspólnego z duchami i całą resztą tych rzeczy, prawda? Jeśli tak, to możesz mi powiedzieć.

- Nie, słowo daję. To tylko...

- Wiesz, że możesz nam zaufać - powiedziała Lucy. - Nie pomyślimy, że przechodzisz zaburzenia umysłowe, i nie powiemy nikomu innemu, jeśli nie będziesz chciał. Możesz nam zaufać.

- Naprawdę, nic się nie stało - powiedziałem myśląc, że użycie liczby mnogiej odejmowało nieco wiarygodności jej słowom. - Nie przejmuj się; jeśli tego wkrótce nie znajdę, to dam sobie spokój.

Wracając do pracy, czułem, że nad moją głową odbywa się krótka milcząca konferencja, która zakończyła się ich wyjściem. Po upływie dalszych pięciu minut zdjąłem z podłogi czwartą deskę. Znow nic; a może coś, dziwne wybrzuszenie legara, oparty o niego mały przedmiot, w odległości wyciągniętego ramienia. Moje palce dotknęły metalu.

W chwilę później trzymałem w dłoni przedmiot, w którym z trudem rozpoznałem

krzyżyk otrzymany od młodego człowieka: był poplamiony, zniszczony, miejscami niemal czarny. W swym obecnym stanie nie dowodził żadnego cudu; ktoś bezstronny mógłby, co najwyżej, dodać go do nie kończącej się listy nieco dziwnych znalezisk w starych domach. Nie myślałem o tym, ale nadal czułem silny gniew i rozczarowanie. Próbowałem wyładować te i inne emocje układając na powrót deski i wykładzinę. Ledwie to skończyłem, znów mnie nawiedziły.

Zostawiwszy narzędzia i latarkę tam, gdzie je położyłem, zacząłem spacerować po pokoju, próbując opanować się, w związku z czym musiałem najpierw odkryć, co mnie dręczy. Jakby w odpowiedzi na to pytanie, spostrzegłem pustą szklankę mego gościa, stojącą na niskim stoliku między fotelami. Schwyciłem ją i zobaczyłem odciski ludzkiej dłoni na jej powierzchni i ludzkich warg na brzeżku. No i co z tego? Gdzie mam ją zanieść - do spirytystycznego medium, do laboratorium policyjnego, do kustosa Muzeum Watykańskiego? Z całej siły cisnąłem ją do kominka, oddychając szybko, ze łzami w oczach. Tak, rzeczywiście, czułem rozczarowanie, rozczarowanie nim, za jego beztroskę i żarty, i sobą, bo nie zdołałem postawić mu żadnego poważnego pytania czy zarzutu, a także rozczarowanie trywialnością ostatecznych sekretów, które ponoć mi wyjawiał. Poza tym, czułem też strach. Zawsze myślałem, że osobista zagłada stanowi najbardziej przerażającą groźbę, ale teraz, gdy pojąłem treść tych kilku suchych uwag o życiu pozagrobowym i jego oświadczenia, że nigdy już nie uwolnię się od niego, zmieniłem zdanie.

Nieodparte pragnienie wydostania się z tego domu ogarnęło mnie i pomogło mi opanować płacz. Przed wyjściem musiałem zająć się czymś jeszcze. Szybki prysznic i zmiana bielizny usunęły z mego ciała pot i brud, nagromadzone podczas szamotaniny z deskami podłogi. Ubrawszy się ruszyłem na poszukiwanie Lucy i przypadkiem znalazłem ją w pokoju gościnnym, gdzie z zaskakującą energią szczotkowała swe krótkie włosy.

- Lucy, wychodzę teraz i wrócę dopiero późno w nocy. Mogłabyś powiedzieć o tym reszcie rodziny? Przed wyjściem porozmawiam jeszcze z Davidem.

- Oczywiście.

- I chciałbym poprosić cię o coś jeszcze. Chodzi mi o to, żeby o północy wszyscy byli w łóżkach, najlepiej, żeby spali. Cóż, wiem, że nie możesz ich ukołysać do snu, ale Joyce nie ma żadnych kłopotów z zaśnięciem, a gdybyś spróbowała w porę odciągnąć Nicka od stołu, to byłbym ci bardzo wdzięczny.

- Zrobię, oczywiście, co będę mogła. Eee, Maurice, czy to ma jakiś związek z twoimi duchami, czy może, wiesz, chciałbyś dyskretnie spotkać się z kimś?

Tę aluzję do moich miłosnych przedsięwzięć (nie wiedziałem, że ona o nich wie - czy

może dotychczas nie zadawałem sobie trudu zastanawiania się, czy ona o nich wie) uczyniła z godnym pochwały taktem.

- Chodzi o duchy - powiedziałem.

- Rozumiem. Czy chciałbyś wykorzystać mnie jako świadka?

- Dziękuję za propozycję, Lucy, ale jestem pewien, że on nie przyjdzie, jeśli w pobliżu będzie ktoś jeszcze poza mną. Wierzysz mi, że już go przedtem widziałem, prawda?

- Nadal uważam, że wydawało ci się, że go widzisz, ale mogę się mylić. Czy znalazłeś to coś, czego szukałeś pod podłogą?

- Tak.

- Czy przyda ci się do czegoś?

- Nie.

- Tak jak pismo na tamym papierze?

Był to albo natchniony domysł, albo przejaw wspaniałej sztuki dedukcji.

- Coś w tym rodzaju.

- Cóż, jeśli coś się zdarzy dziś w nocy, to opowiedz mi o tym.

- Opowiem. Dziękuję, Lucy.

Na koniec musiałem znaleźć Davida i poprosić go, żeby do północy postarał się usunąć z zajazdu tych kilku nielicznych przyjezdnych gości, których się na dziś spodziewaliśmy. Nie mógł, oczywiście, odesłać do pokoi gości, którzy spędzali w zajazdzie noc, ale ci prawdopodobnie nie będą w nastroju do urządzania zbyt długich popijawek w barze w wieczór po pogrzebie. Przynajmniej wydawało mi się, że na tym skończę, ale na parkingu niemal dosłownie wpadłem na Joyce i Dianę.

Znow obwieszone były biżuterią jak na przyjęcie i nie kryły przykrości, jaką sprawił im mój widok. W pierwszej chwili wydało mi się, że obawiają się zakłopotania, w jakie mogę je wprawić (co było całkiem możliwe), potem pomyślałem, że po prostu zdenerwował je widok kogoś trzeciego, a wreszcie zrozumiałem, iż rozdrażniło je, w jeszcze prostszy sposób, moje pojawienie się.

- Cześć - powiedziałem wesoło. W tym momencie nie przychodziły mi do głowy żadne inne słowa, w których nie zabrzmiałaby ironia lub obsceniczność.

Wymieniły między sobą owo porozumiewawcze spojrzenie, które zdążyłem już dobrze poznać, i Joyce oświadczyła:

- Chciałybyśmy napić się czegoś w wiosce.

- Dobry pomysł. Ja też wyjeżdżam. Nie czekajcie na mój powrót.

- Czy mam przygotować ci coś do jedzenia?

- Nie, dziękuję. To na razie.

Gdy one powoli wsiadały do mini-coopera, ja szybko wsiadłem do volkswagena, zastanawiając się nad milczeniem, które Diana zachowała w czasie tej krótkiej rozmowy. Nigdy jeszcze nie widziałem, aby uczestniczyła w jakiejś konwersacji, nie dostarczając do niej co najmniej dwóch trzecich ogólnego materiału. A w ciągu tych kilkunastu sekund zachowywała się potulnie, niemal służalczo. Nie wiedziałem, co między nimi zaszło, ale na pewno miały mnóstwo czasu na doświadczenie owych przeżyć, o czym przekonałem się, spoglądając na zegarek i widząc, że jest dokładnie ósma.

Mój nastrój, który zaczynał się już poprawiać, znów się pogorszył, kiedy pomyślałem o czterech godzinach, które będę musiał czymś wypełnić. Nadal nie wiedziałem, dokąd jadę, a sama czynność szybkiego prowadzenia samochodu ku nieznanemu celowi uwydatniała moje pragnienia ucieczki; wkrótce poczułem się tak, jakby ścigała mnie jakaś złowroga osoba lub rzecz. Tylko „jakby”; doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że nikt i nic mnie nie ściga; ale nie słyszałem o przypadkach, kiedy można osłabić podobne wrażenie przez samo tylko uświadomienie sobie jego złudności. Na drodze A595 jechałem prawie sto trzydzieści, i o kilka sekund uniknąłem czołowego zderzenia z cysterną, bo przyszło mi do głowy, że nawet największa prędkość nie wystarczy, aby uciec od samego siebie. Ta banalna myśl ukoiliła mnie i dzięki niej mogłem prowadzić z mniejszą furją.

Zatrzymałem się w „Świętym Jerzym” na skraju Royston, zjadłem kilka kanapek z ozorem, wypilem półtora kufła jasnego piwa, połknąłem pigułkę, kupiłem litrową butelkę White Horse’a i pojechałem dalej. W Cambridge wszedłem do kina i przesiedziałem czterdzieści minut panoramicznego westernu (w którym, poza mnóstwem dialogów i jeszcze większą ilością dramatycznego milczenia, jeden mężczyzna strzelił do drugiego i chybił), po czym stwierdziłem, że jestem zbyt zdenerwowany i roztrzęsiony, aby wytrzymać więcej. Gdy mam zły dzień, to siedzenie w kinie, owa przypadkowa kombinacja ciemności, wyczuwalnej obecności niewidocznych nieznanomych, wielkich, sztucznie kolorowych i wciąż zmieniających się obrazów oraz równie nienaturalnych głosów, może stanowić dla mnie dziwnie silny przedsmak śmierci. Przez chwilę spacerowałem po ulicach, liczyłem własne kroki i myślałem sobie, że pomiędzy trzechsetnym a trzysta pięćdziesiątym stanie się coś ciekawego, i że w ten sposób świat przekona się, iż Allington ma intuicję i można polegać na jego przepowiedniach. Doliczyłem do trzystu czterdziestu, ale nie trafiłem na nic choćby w najmniejszym stopniu interesującego, a więc zadowolilem się stoiskiem z książkami w tanich wydaniach, jakie zauważyłem przez wystawową szybę domu towarowego. Był on jeszcze otwarty; wszedłem do środka i kupiłem powieść, o której nigdy nie słyszałem, pióra pisarza,

którego pierwsza książka, satyra z życia prowincji, była swego czasu, jak pamiętałem, zachwalana. Przez następne czterdzieści minut czytałem ją w małym koktajlowym barze „Pod Godłem Uniwersytetu”, po czym wyszedłem i wsiadając do samochodu wrzuciłem ją do kosza na śmieci. Do charakterystycznego dla wszystkich powieści oderwania od rzeczywistości autor dodał własne osiągnięcia: niezdolność pozostawienia nawet najbardziej prozaicznych zdań bez ornamentów słownych falbanek, gałek i zawijasów, co przypominało mi owe prymitywne kultury, w których każdy cal kwadratowy sakralnych przedmiotów i budynków pokryty jest ozdobami; zakorzeniony nałóg prowadzenia akcji metodą gwałtownych i niedbałych przeskoków od jednej niechlujnie opisanej sceny do następnej; oraz stały styl charakterystyki, w którym, po sportretowaniu postaci według jednego rodzaju sztampy, autor niebawem ukazywał ją, nie zaskakując zresztą czytelnika, jako stosującą się do sztampy innego rodzaju. Och, ale czego mogłem się spodziewać? W końcu to była tylko powieść.

Siedząc znów za kierownicą, prowadząc tym razem w mroku, wkrótce poczułem, że ogarnia mnie panika. Miałem (w pewnym sensie) powody, aby obawiać się spotkania z Underhillem; ale tu nie o to szło, był to czysty, pozbawiony przyczyny i przedmiotu strach, który w dzieciństwie wypędzał mnie z domu i nakazywał biec po pobliskim błoni, dosłownie aż do utraty tchu, a później zmuszał mnie do jak najszybszego odczytywania na głos całej treści gazety, na wyłącznie mój użytek, i do równoczesnego jak najszybszego tupania najpierw jedną, a potem drugą nogą. Niezbyt to odpowiedni stan ducha dla kogoś, kto akurat prowadzi samochód z prędkością wahającą się pomiędzy pięćdziesięcioma a stoma z górą kilometrami na godzinę, i to na dość wąskiej drodze. Za każdym razem, gdy przyśpieszałem, aby wyprzedzić inny samochód widząc reflektory nadjeżdżającej z przeciwka kolumny pojazdów, lub gdy zbliżałem się do ciemnego zakrętu, wydawało mi się, że strach racjonalny wreszcie zagłuszy na dobre strach irracjonalny, ale ledwo niebezpieczeństwo mijało, ten pierwszy znikał bez śladu w niepamięci.

Wypadek miał miejsce na zakręcie drogi A595, około trzech mil na południe od Royston i czterech od domu. Dogoniłem dość duży samochód, chyba marki humber hawk, statecznie jadący sześćdziesiątką, i zaczynałem wyprzedzać go o kilkaset metrów od zakrętu, co nie stanowiłoby specjalnie ryzykownego manewru, gdyby tylko hawk zachował początkową prędkość. Ale, powodowany niewątpliwie jakimś idiotycznym oburzeniem, że oto wyprzedza go samochód o połowę mniejszy od jego własnego, kierowca hawka przyśpieszył. Gdy, jadąc mniej więcej bok w bok, zaczęliśmy skręcać w lewo, z naprzeciwka pojawiła się ogromna ciężarówka z naczepą, z łańcuszkami czerwonych światełek obrysowującymi jej wyjątkowo

szerokie kontury. Mój samochód był zbyt wolny, abym mógł wyprzedzić hawka, a nie mogłem przewidzieć, co uczyni jego kierowca; a więc ufając mej znajomości drogi, po której od siedmiu lat podróżowałem cztery razy w tygodniu, skręciłem ostro w prawo, tuż przed maską ciężarówki, i zjechałem w szerokie trawiaste pobocze, które, jak miałem nadzieję, znajdowało się tutaj. Rzeczywiście, było tu, choć bardziej wyboiste i strome, niż się spodziewałem. W każdym razie wytraciłem na nim prędkość, niezbyt już szybko wjechałem na ceglana cembrowinę irygacyjnego drenu jak później stwierdziłem i uderzyłem o coś głowa.

- Nic ci się nie stało? - spytał mnie czyjś głos.

- Nie, dziękuję.

- No, kurczę, tanim kosztem się wykpiłeś. Głupi jesteś czy co? Żeby wyprzedzać na takim zakręcie? Chyba jesteś zalany, jak wszyscy.

- Nie.

- Albo jesteś pijany jak bela, albo ci odbiło. Dobra, zdrowy jest. Nie zasługuje na to, ale mówi, że nic mu się nie stało.

Wtedy odezwał się inny głos, ale nigdy nie mogłem sobie przypomnieć, co powiedział. Wiem tylko, że po upływie pewnego czasu stałem przed moim domem, a w oddali zniknął jakiś samochód - być może marki humber hawk. Czułem się jak astronauta na księżycu, niemal zupełnie nieważki, albo jakby moja dusza miała za chwilę opuścić ciało, jak po nie przespanej nocy i obfitym obiedzie, jak dziecko, obserwujące świat, ale nie spodziewające się niczego, zafrapowane nim, ale nie zainteresowane.

Do północy brakowało ośmiu minut. Pomyślałem, że zdążyłem akurat na czas. Wnętrze domu pogrążone było w ciszy i ciemności. Wspaniale. Poszedłem do baru, wziąłem szklankę, syfon wody sodowej i butelkę Glen Granta, słabym drinkiem popiłem pigułkę i usadowiłem się w sali restauracyjnej, aby przeczekać pozostałe jeszcze dwie minuty. Usiadłem przy narożnym stoliku w części sali, która niegdyś stanowiła bawialnię Underhilla, włączynywszy, przez wzgląd na niego, tylko jedną lampę z grubym abażurem, ustawioną przede mną. Znajdowałem się niemal dokładnie naprzeciw okna, przy którym się pojawiał, mając z boku przed sobą drzwi z holu. Noc była gorąca, ale nie duszna.

Usłyszałem bardzo odległy dźwięk kościelnego zegara w wiosce, wybijającego północ. Nie mogłem przypomnieć sobie, czy w przypadku zegarów, które nie wybijają kwadransów, pierwsze czy ostatnie uderzenie oznacza pełną godzinę. W każdym razie, póki zegar bił, nic się nie wydarzyło. I nic nie wydarzyło się, gdy umilkł. Czekałem. Widocznie zegar się śpieszył. Ale na moim własnym zegarku minęły już dwie minuty po dwunastej.

Dziesięć po dwunastej stwierdziłem, że coś mi się widocznie pokręciło, źle zrozumiałem

wiadomość Underhilla, nie była to w ogóle wiadomość, atrament wcale nie był świeży, on chciał tylko sprawdzić, czy go usłucham, żartował sobie ze mnie. Ale nie poddawałem się jeszcze. Siedziałem i na próżno usiłowałem przyśpieszyć upływający czas. Przez mój mózg przepływały myśli o Joyce, o Amy, o Dianie, o moim ojcu, o Margaret, o młodym człowieku, o śmierci, o duchach, o alkoholu, znów o Joyce, znów o Amy. W moim obecnym (być może chwiejnym, ale wyjątkowo trwałym) stanie nieobecności duchem uznałem wszystkie te tematy za bardzo interesujące, ale bynajmniej nie odnoszące się do mojej osoby; zajmowałem się nimi tak, jak, powiedzmy, inteligentny i nie pozbawiony wyobraźni marynarz ze współczesnego brytyjskiego trawlera-przetwórci mógłby zajmować się zagadnieniem wielorybnictwa w Nowej Anglii dziewiętnastego wieku.

Zdołałem powstrzymać się od spoglądania na zegarek dłużej, niż myślałem, że będę w stanie. Wreszcie nie wytrzymałem. Była za trzy minuty pierwsza. Świetnie. Grzeczność i zdrowy rozsądek mogły zmusić mnie do co najwyżej godzinnego oczekiwania. Zmieszałem sobie niewielką porcję słabego napoju i zacząłem sączyć go powoli. Rozległ się dźwięk kościelnego zegara, równie odległy, jak poprzednim razem, ale, jak mi się wydało, wyraźniejszy; wstałem, chcąc wyjść.

- Pozostań. Przybywam jako rzekłem - powiedział ktoś stojący w cieniu, w rogu, dokładnie naprzeciw drzwi.

- Spóźnił się pan, doktorze Underhill.

- Bynajmniej, przybywam najpункtualniej. A teraz do rzeczy. Czy masz waszmość z sobą naszego srebrnego przyjaciela?

Nie myślałem o tym od wielu godzin, ale gdy sięgnąłem do kieszeni, poczułem go tam.

- Tak.

Z rogu rozległo się coś w rodzaju westchnienia.

- To dobrze. Zechcesz waszmość umieścić go na stole przed sobą.

Zrobiłem, co mi kazał.

- Proszę. I co teraz?

- Teraz waszmości zabawię.

- Czy mogę przedtem o coś zapytać?

- Oczywiście, proszę.

- Kiedy napisał pan te słowa, wzywające mnie na spotkanie z panem?

- Dzisiejszego ranka, podług rachuby waszmości, o poranku dnia, który minął właśnie. Ale to dłoń waszmości pisała, moja ją jeno wiodła.

- Nie przypominam sobie tego.



- Pamięć twa zawodną bywa, mości Allington.
- Czy to dlatego wybrał mnie pan, abym... panu pomagał, czy co tam mam zrobić?
- Jakże mogłem wybrać waćpana, skoro to tyś mię szukał za każdym razem? Ale proszę, języka już nie strzęp. Mam dla cię wiele cudów w zanadru.

Ledwie zdążyłem zdziwić się dokładnością mego opisu jego głosu - brzmiał tak sztucznie wytworzony i dźwięczał w nim dziwny akcent, ni to z Gloucester, ni to z Cork - a już rozpoczęło się widowisko Underhilla. W pokoju nagle zapłonęło jaskrawe światło, ale to nie był już pokój, a jaskinia, albo wejście do jaskini. Grupa nagich kobiet rozbłysła i zjawiała się w samym środku jakiegoś powolnego, węzowego, jakby orientalnego baletu. Wyglądały niesłychanie lubieżnie, lecz w dziwnie teoretyczny sposób, jak erotyczne rysunki utalentowanego zdeprawowanego uczniaka: miały olbrzymie piersi z jeszcze większymi, w stosunku do nich, sutkami, wiotkie talie, rozłożyste biodra i pośladki, narządy płciowe wysunięte naprzód w trójkąt krocza, jak indyjskie rzeźby. Ich popisom towarzyszyła monotonna muzyka i silna woń róż. Wszystko to rozśmieszyłoby mnie, gdyby jakaś dwuwymiarowość tancerek i ich ruchów nie wywołała we mnie nie milego wrażenia, iż oglądam je przez niewidzialny teleskop. Nie spodobała mi się też para czerwonych oczu, należących zapewne do jakiegoś małego stworzenia wielkości węża lub szczura, które wpatrywały się we mnie z głębi jaskini.

Muzyka nabrała głośności, woń róż stała się nieznośna, i gromada nagich czarnoskórych mężczyzn, obdarzonych przez naturę jeszcze hojniej niż kobiety, wpadła między nie z głośnym wrzaskiem. Niebawem zaczęła się orgia, z której topornego scenariusza i reżyserii mógłbym się też śmiać, ale teraz zwróciłem uwagę na blade, połyskliwe kłęby pleśni, zwisające ze skalnych ścian i stropu, i na drugą, większą parę czerwonych oczu, także wbijających we mnie swój wzrok z głębi jaskini. Sądząc z ich rozmiarów i pozycji, mogły należeć do istoty wielkości wysokiego mężczyzny. Nie poruszały się ani nie mrugały.

Zafalowawszy miękko i drgnąwszy, jakby obraz jej wyświetlany był na grubym płacie żelatyny, scena orgii ustąpiła miejsca spotkaniu dwóch czarnoskórych dziewcząt z osobnikiem, który zapewne miał być kilkunastoletnim białym chłopcem, choć wyposażony był na równi ze swymi poprzednikami i miał długie jasne włosy, jak kobieta. Jeszcze mniej przypadło mi to do gustu niż poprzednie ewolucje, ale zanim i ten obraz zniknął, zauważyłem, że twarze dziewcząt nawet barwą nie przypominają twarzy jakichkolwiek Murzynów, których oglądałem - wyglądały raczej na dzieło kogoś, kto znał ich tylko z opisów. Na tle muzyki, która stała się teraz niezgrabnie jednostajna, słyszałem zawodzenie męskiego głosu, nie należącego do Underhilla, które choć było zbyt ciche, abym mógł rozróżnić słowa, coś mi

przypominało.

Z kolei ukazały się dwie białe dziewczyny w trakcie miłosnego aktu, które znikły już po kilku sekundach: była to wyjątkowo poroniona próba zabawienia mnie. Kiedy znów spojrzałem na wejście do jaskini, którego tło nie zmieniało się przez cały czas, niczego tam nie dostrzegłem. Miałem wielką nadzieję, że Underhill domyślił się mego niezadowolenia z jakiegoś mojego mimowolnego grymasu lub gestu; wołałem nie uważać, że odczytał je w moim umyśle - a jeszcze bardziej uciekałem od myśli, że uprzednio natknął się na jakieś ukryte wspomnienie popołudnia i mylnie zinterpretował je jako marzenie. Tymczasem muzyka, rezygnując, że tak powiem, z wszelkich prób zachowania rytmu i sensu, zdegenerowała się do postaci nieregularnego pulsującego hałasu, a zapach, jaki czułem, kojarzył mi się raczej z gnijącymi różami. Ale dwie pary oczu nadal nie spuszczały ze mnie swego wzroku.

Właśnie w ich pobliżu rozpoczęła się następna faza popisu. Coś drgnęło i pojawiły się dwie niewyraźne postaci, przemieszczające się z tym samym efektem spłaszczenia, który nienaturalnie akcentował ich poruszenia na boki. W miarę jak wychodziły z cienia, światło przygasało, ale pozostało go dosyć, abym zdołał rozróżnić najpierw jakiegoś czworonoga wielkości małej świni, a potem dwunożnego stwora, pokrytego taką samą skórą, jak pierwszy. Miał w przybliżeniu ogólny kształt człowieka, ale nie był to ani człowiek, ani małpa żadnego rodzaju. Nie mogłem znaleźć żadnej nazwy dla niego i jego towarzysza. Ciało ich obu było miękkie i luźne, i stawało się, w rzeczy samej, coraz bardziej miękkie i luźniejsze, zaczynało rozpadać się i jednocześnie formować na nowo. Kończyny, o ile zasługiwały one jeszcze na to miano, kurczyły się i znikwały, a nowe wyrostki nabrzmiewały, wypryskiwały, skręcały się na obu tułowiach, które bez przerwy zmieniały kształt. W jednej chwili dwa ciała połączył napuchnięty sznur, zapewne żywej tkanki, a w następnej większe z nich zaczęło dzielić się wzdłuż dłuższej osi. Albo cała ta scena była dokonana przez cudzy umysł reprodukcja znanych mi hipnagogicznych halucynacji, albo też, na jawie i z otwartymi oczyma, ja sam nakładałem ją na narzucane mi iluzje. Poczułem, że mój spokój pryska.

Towarzyszący temu hałas, choć nadal pozbawiony rytmu i tonu, zachował jednak zdolność zmieniania głośności. W momentach, gdy cichł, mogłem z trudem dosłyszeć monotonny głos Underhilla - była to owa liturgiczna monotonia, którą słyszałem już w tym punkcie budynku poprzedniego popołudnia, oglądając nocną wizję. Spojrzałem na stół przede mną. Srebrny posążek zniknął.

Było to znacznie groźniejsze niż wszystko inne, co przydarzyło mi się dotychczas. Musiałem coś zrobić. Gdy wstałem, natychmiast zapadła całkowita ciemność, a jednocześnie

moje uszy wypełnił dźwięk trzepotania niezliczonych skrzydeł i świdrującego, chrapliwego pisku, zaś nozdrza - zapach ptaszarni lub kurnika, nieznośnie skoncentrowany. Po kilku sekundach powietrze wokół mojej głowy zaroilo się dziesiątkami maleńkich szkarłatno-zielonych ptaszków, widocznie fosforyzujących, bo choć nie płonęło żadne zewnętrzne źródło światła były one tak jaskrawe, jakby padały na nie promienie słońca. Ćwierkając krążyły wokół mnie i nurkowały ku mej twarzy, trafiając głowami w kość policzkową, w czubek podbródka, nad okiem, choć nic nie czułem, a potem znikwały, gasły jak zdmuchnięte płomyki, lecz ich liczba nie malała. Zamknąłem oczy, ale nadal je widziałem, zakryłem powieki dłońmi, ale nadal je widziałem, zatkałem uszy palcami, ale nadal słyszałem klekotanie i pisk. Brakło mi tchu, aby krzyżeć; co parę chwil próbowałem znaleźć drzwi, ale za każdym razem, gdy jeden z ptaków wpadał na mą twarz, musiałem zatrzymać się i zaczynać poszukiwania od nowa. Straciwszy ostatecznie orientację, dosłyszałem poprzez ptasi harmider śmiech Underhilla i w mgnieniu oka znalazłem się w jadalni na górze, obok rozbebeszonego fragmentu podłogi, i wsadziłem do kieszeni krzyżyk (o czym natychmiast zapomniałem). W następnej chwili byłem znów wśród ptaków, trzymając nadal, czy może znów, krzyżyk w dłoni. Przy wtórze wzmożonych ataków i przeraźliwych skwierczeń i rzuciłem krzyżyk w miejsce, z którego doszedł do mnie głos Underhilla, i usłyszałem, jak uderza o ścianę lub podłogę.

Powoli, lecz nieubłaganie, moje otoczenie zmieniało się ptaki pojawiały się teraz tylko w środku i po lewej stronie mego pola widzenia, i zaczęły nabierać dziwnie spłaszczonego wyglądu, choć nadal mnie atakowały, ich głosy zaś stopniowo straciły wyrazistość, z precyzją, która skojarzyła mi się z bardzo powolnym kręceniem galką strojenia przy radioodbiorniku. Wreszcie ptaki zgromadziły się w wąskim, coraz węższym sektorze z lewej strony, stały się cienkie jak opłatki, jakby ekran, na którym wyświetlano ich postaci, obracał się, ukazując mi się pod coraz większym kątem, a dosłyszeć mogłem jedynie cichy, nie zróżnicowany dźwięk. Po chwili patrzyłem na pionową linię cętkowanego szkarłatnozielonego światła, które w ciszy przygasło i znikło. Stałem sam na środku sali, w ciemności rozproszonej jedynie wpadającym przez okna światłem księżyca.

Doszedłem do wniosku, że widocznie sam zgasilem lampę na stole, i ruszyłem w stronę wyłączników przy drzwiach. Po drodze dostrzegłem błysk metalu na podłodze w rogu, gdzie Underhill ukazał mi się po raz pierwszy. Podniosłem - nie krzyżyk, ale srebrny posążek, i w tym samym momencie usłyszałem na dworze odległy, ale znany mi przeraźliwie szeleszczący dźwięk z prawej strony i wołający mnie głos Amy z drugiej strony.

Popędziłem przez hol do frontowych drzwi, nie tracąc czasu na wyłączenie światel:

znałem zamki i zasuwy na pamięć, i po chwili byłem już przed domem. Na drodze, o sto metrów przed sobą, ujrzałem Amy, ubraną w białą piżamę i niosącą coś w ramionach: był to zapewne Wiktor. Szła powoli w stronę wioski, rozglądając się wokół siebie - czy szukała mnie? Z drugiej strony, owa dziwaczna, kanciasta, pokraczna postać zbliżała się sztywnym i niezdarnym, ale stałym krokiem, nie najszybszym, na jaki było ją stać - przypomniałem sobie, jak jej widmo przyśpieszyło zbliżając się do domu i jak to się skończyło. Ale to była rzeczywistość, a nie wizja, i teraz wiedziałem już, wiedziałem już w chwili, gdy otwierałem drzwi, na czym polega drugi zamysł Underhilla - nie chodziło mu jedynie o to, by przeżyć swą śmierć, by podporządkować żywego człowieka własnej woli, ale o to, by z za grobu zaaranżować scenę, która lada moment miałem zobaczyć, o ile nie zdołam jej zapobiec.

Stwór poruszał się teraz żywym truchtem, trzeszcząc przy każdym ruchu. Wydawał mi się większy niż poprzednio, ale też mniej solidnie zbudowany; być może nie osiągnął jeszcze swego ostatecznego kształtu. Prawdopodobnie jeszcze mnie nie dostrzegł. Zmarnowałem już trzy lub cztery sekundy: rzuciłem się pędem, najszybciej, jak mogłem, po przydrożnej trawie ku Amy, starając się nie hałasować, ale ona usłyszała mnie, kiedy jeszcze dzieliło mnie od niej około dwudziestu metrów, i zaczęła odwracać się. Krzyknąłem, żeby nie oglądała się za siebie - na próżno: zobaczyła mnie, a potem zielonego człowieka, i jej twarz napięła się i zeszywniała. Dobiegłem do niej.

- Kto to jest, tato?

- To ktoś zły. A teraz postaw Wiktora na ziemi i jak najszybciej biegnij do wioski i krzycz, krzycz, aż zbiorą się ludzie.

- A co ty zrobisz?

- Nie martw się o mnie - powiedziałem, słysząc za plecami szeleszczący, skrzypiący trucht. - No już, ruszaj. Biegiem.

Odwrociłem się. Stwór zbliżał się coraz szybszym krokiem, silnie tupiąc nogami i wymachując zgiętymi ramionami. Bez mojej pomocy Amy nie zdoła dotrzeć do wioski. Stałem na jego drodze i upatrzyłem sobie pewne miejsce w jego lewym udzie, które składało się wyłącznie z cienkich gałązek i pnączy, a więc mogło być wrażliwe na cios pięścią. Teraz po raz pierwszy widziałem jego twarz: niemal płaską powierzchnię gładkiej brudnej kory, przypominającą pień szkockiej sosny, z nieregularnymi oczodołami, w których migotała poświata próchna, i szerokimi, rozciągniętymi w grymasie uśmiechu ustami, odsłaniającymi kilkanaście zębów zrobionych z poszarpanych gnijących sęków; widziałem już jej podobiznę. Po chwili zielony człowiek rzucił się na mnie, wyciągając nierównej długości ramiona, wydając krzyk tryumfu i groźby, jak dźwięk wiatru w listowiu. Zanim

mogłem go zaatakować, on nie zatrzymując się machnął ramieniem i wymierzył mi cios w pierś, po którym przeleciałem kilka metrów w powietrzu i upadłem na ziemię. Nie straciłem przytomności, ale na moment opuściły mnie wszystkie siły.

Amy, która nieco oddaliła się ode mnie, zatrzymała się i odwróciła; pomiędzy nią a ciężką bryłą stwora stał Wiktor w wyzywającej postawie, z wygiętym w kabląk grzbietem i nastroszonym ogonem. Z trzaskiem gałązek i kości wbił się w niego kopniak drewnianej stopy, a on, już jako martwy tobołek, potoczył się po drodze i wpadł do rowu. Wtedy Amy znów odwróciła się i pobiegła, naprawdę prędko, wielkimi krokami, ale nawet, gdy pędziła najszybciej jak mogła, nie oddalała się od zielonego człowieka. Teraz uświadomiłem sobie, co trzymam w dłoni, i pojąłem, co muszę zrobić, i stanąłem na nogach i pobiegłem drogą w stronę cmentarza. Przede mną trwał pościg; z miejsca, gdzie stałem, nie byłem w stanie ocenić odległości dzielącej dwie sylwetki, i nawet nie próbowałem, tylko zamachnąłem się ramieniem i cisnąłem srebrny posążek ponad mur cmentarza. Usłyszałem, jak uderza o ziemię po drugiej stronie, i natychmiast bezkształtny stwór zachwiał się na nogach i zatrzymał się, ba, zgarbił się, zaczął się cofać, krok po kroku, jakby unoszony jakąś potężną siłą, trzęsąc się i młócąc ramionami, a kawały jego ciała odpadały od korpusu i wirując leciały ku mnie, obok mnie, nad moją głową, liście, gałęzie, konary, pniaki, a więc przykucnąłem i osłoniłem twarz skrzyżowanymi ramionami, instynktownie uchylając się, gdy przemykał obok mnie gruby kawał drewna, i znów, gdy ciernista witka naznaczyła mój nadgarstek zadrapaniami, czując, jak źrenice oczu uciekają mi pod czaszkę, a uszy wypełnia przeciągły, cichnący skowyt niehumanoidalnego bólu i wściekłości.

Zapadła cisza, zmacona jedynie dźwiękiem jakiegoś ciężkiego pojazdu, pędzącego w stronę Londynu po drodze A595. Wstałem powoli, przeszedłem kilka kroków i biegiem puściłem się w stronę wioski, wołając Amy. Leżała na skraju drogi, z plamami krwi na czole, kolanie i dłoni. Zniosłem ją z powrotem do domu, złożyłem na łóżku i zadzwoniłem do Jacka Maybury'ego.

## V. Poruszenie wśród traw

- Z fizjologicznego punktu widzenia nie ma się czym martwić - powiedział Jack tuż po dwunastej w południe. - Jest w tej chwili pogrążona w całkowicie zdrowym śnie. Nie zauważyłem oznak wstrząsu mózgu. A te skaleczenia i sińce nie są wcale groźne. Jeśli chodzi o sprawy psychologiczne, to też nie widzę powodów do niepokoju, przynajmniej na razie, choć muszę przyznać, że niezbyt dobrze znam się na lunatykach. Jesteś pewien, że ona chodziła we śnie?

Odwróciłem się od okna pokoju Amy.

- Nie wiem. Na to przynajmniej wyglądało. - Zdecydowałem się na somnambulizm jako na najbardziej elastyczną, przybliżoną wersję rzeczywistych wydarzeń. - Zbudziło mnie trzaśnięcie frontowych drzwi, zobaczyłem ją, jak przechodzi za oknem, a więc wyszedłem i...

- Wiem, mówiłeś już. Co się dokładnie stało, kiedy ją dogoniłeś?

- Zawołałem ją, co zapewne było błędem, ale zrobiłem to bez namysłu, a ona wzdygnęła się strasznie, zaczęła się odwracać i potknęła się.

- I uderzyła głową o asfalt tak mocno, że straciła przytomność, choć... Nie spodziewałbym się, że uderzenie, które spowodowało tak stosunkowo drobne obrażenia, może pozbawić zdrową osobę przytomności. Cóż. Dlaczego siedziałeś w sali restauracyjnej, a nie tu, we własnym mieszkaniu?

- Lubię to miejsce. Mogę tam znaleźć trochę spokoju.

- Tak. Tym razem trafiłeś tam akurat w samą porę. No, dobrze, w takim razie zajrzę jeszcze dziś wieczorem. Póki co, nie pozwalaj jej wstawać z łóżka. Daj jej coś lekkiego na obiad. Zobaczmy, jak się poczuje. Jutro mogę ci podesłać psychologa z naszego szpitala, dobrego specjalistę od spraw dzieci. Osobiście wątpię, żeby naprawdę chodziła we śnie.

- A więc co, twoim zdaniem, robiła?

- Udawała lunaticzkę. Przeczytała gdzieś o tym.

- A to po co?

- Och, chciała zwrócić na siebie czyjąś uwagę - powiedział Jack prezentując w całej okazałości swą surową minę. - No, to muszę już jechać. A jak ty się czujesz? - dodał niechętnie.

- Świetnie. Trochę jestem zmęczony.

- Spróbuj odpocząć trochę po południu. Nie widzisz już ptaszków?

- Nie. Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję.

Gdy zbierał się do wyjścia, odruchowo spytałem:

- Jak się miewa Diana? Jack znieruchomiał.

- Jak się miewa? Dobrze. Czemu pytasz?

- Tak sobie.

- Maurice, powiem ci coś. Cenię sobie spokój. Nie lubię zamętu, bałaganu i mieszania ze sobą różnych aspektów życia. Nie mam nic przeciwko temu, aby ludzie szukali przyjemności w rzeczach, które ich akurat pociągają, o ile tylko nie zachowują się jak cholerne dzieciaki. W porządku?

- Ja też tak uważam - rzekłem, zastanawiając się, co mogła powiedzieć mu Diana, ale jako że od wczoraj byłem jedynie jej byłym kochankiem, nie poświęciłem problemowi zbyt wiele uwagi.

- To dobrze. Zobaczymy się wieczorem.

Wreszcie wyszedł. Wkrótce potem Amy otworzyła oczy, jak ktoś, kto z ogromną niechęcią budzi się z ogromnie głębokiego snu. Uśmiechnęła się do mnie i pomacała opatrunek przyklejony na jej czole, badając jego zarys. Przytuliliśmy się do siebie.

- Tato, czy ja chodziłam we śnie?

- Cóż... może. Ludziom to się zdarza.

- Miałam dziwny sen, tato - mówiła dalej. - Ty też w nim byłeś.

Po raz pierwszy tego dnia zdarzyło jej się powiedzieć więcej niż kilka słów naraz.

- Opowiedz mi go.

- Więc leżałam w tym łóżku, a ty mnie wołałeś. Kazałeś mi wstać i zejść na dół, i tak zrobiłam. Zabrałam ze sobą Wiktora, bo był w pokoju. Nie mówiłeś nic o nim, ale pomyślałam, że mogę go wziąć. Potem, kiedy byłam na dworze, kazałeś mi wyjść na dwór, na drogę. Nie widziałam cię, ale słyszałam twój głos. A więc wyszłam na dwór, ale ciebie nigdzie nie było, więc zaczęłam cię szukać.

- I co było potem?

- Sama nie wiem, nie pamiętam dobrze. Przestraszyłeś mnie, ale niechęć. Przyszedłeś do mnie i kazałeś mi puścić Wiktora i biec do wioski, i tak zrobiłam. Przynajmniej zaczęłam biec. A dalej już naprawdę nie pamiętam. Pamiętam tylko, że byłeś bardzo dzielny, tato. Czy ktoś mnie gonił?

- Nie wiem. To był twój sen.

- To chyba nie był sen. Powiedz, tato. Nie spuszczała ze mnie wzroku.

- Nie - powiedziałem. - To się naprawdę zdarzyło.

- Dziękuję, tato - powiedziała i wzięła mnie za rękę.

- Za co?

- Za to, że nie udajesz. I za to, że byłeś dzielny. Co zrobił ten człowiek?

- Uciekł. Już nie wróci.

- A co się stało z Wiktorem? Ten człowiek go zabił, prawda?

- Tak. Ale on nie cierpiał.

- On też był dzielny. To wcale nie ty kazałeś mi wstać i zejść na dół, prawda? A więc kto?

- To chyba było coś w rodzaju snu. Wydawało ci się. Nie, niezupełnie tak. Ktoś rzucił klątwę na nasz dom i ludzie widzieli i słyszeli rzeczy, których nie było.

- Tak jak ten krzyk przedwczoraj?

- To też. Ale ta klątwa już nie działa, słowo ci daję.

- Dobrze, tato. To znaczy, wierzę ci. Dobrze się już czuję. Gdzie jest Wiktor? On już tam nie leży, prawda?

- Nie. Zabrałem go. Zaraz pójde go pochować.

- Dobry pomysł. Przyjdź do mnie jeszcze, kiedy będziesz miał czas.

- Czy mam poprosić Joyce albo Magdalenę, żeby z tobą posiedziały?

- Nie, poradzę sobie sama. Czy mógłbyś podać mi z toaletki ten magazyn z Jonathanem Swiftem?

- Z Jonathanem Swiftem? Aha, już go widzę.

Na okładce publikacji znajdowało się kolorowe zdjęcie młodego mężczyzny (wydawało mi się przynajmniej, że jest to mężczyzna), który nie poddał się jeszcze ani pierwszemu strzyżeniu, ani goleniu; jakość zdjęcia została umyślnie obniżona w toku jakiegoś niewątpliwie nowoczesnego procesu zamazywania, a samo zdjęcie zostało widocznie zrobione z wykopu czy dziury w ziemi wygrzebanej przed stopami modela. Podałem ją Amy, która natychmiast otworzyła ją i zaczęła czytać.

- Co chciałabyś dostać na obiad?

- Hamburgera i pieczoną fasolę z frytkami i sosem pomidorowym i czereśnie z puszki ze śmietaną i coca-colę... och, proszę, tato.

- Czy nie za dużo tego? Doktor Maybury powiedział, że masz zjeść coś lekkiego.

- Och, tato. Jestem strasznie głodna. Będę jeść powoli.

- No, dobrze, każę to przygotować.

Zszedłem na dół w poszukiwaniu Davida, i znalazłem go w barze, zatłoczonym, jak zwykle w niedzielę przed obiadem. Pełen był mężczyzn w średnim wieku, ubranych w hawajskie koszule i pijących jasne piwo, i kobiet, które próbowały skryć swój średni wiek,



odzianych w kwieciste spodnie i żakiety i pijących wermut z wodą sodową. Wszyscy oni darli się, jakby ich rozmówcy stali po drugiej stronie ruchliwej ulicy, ale na mój widok ucichli i wpatrzyli się w swoje szklanki, na znak szacunku dla mej żałoby, albo też dla mego szaleństwa. David wysłuchiwał właśnie zamówień sześciuosobowej grupy, w której znajdowało się dwóch identycznie wystrojonych identycznych bliźniaków-pedałów, i miał minę, jakby nie był w stanie spamiętać nawet tego, czego klienci zdążyli do tej pory zażądać. Powitał mnie z obawą, w usprawiedliwionej nadziei, że nie poproszę go o nic w rodzaju przygotowania pokoju dla hrabiego i hrabiny Dracula, i nabrał pewności siebie, kiedy przekazałem mu jedynie zamówienie Amy i powiedziałem, że przejmę posterunek o szóstej. (Postanowiłem uporać się ze wszystkim do tego czasu.)

Załatwiwszy tę sprawę i upewniwszy się, że Nick i Lucy jeszcze się nie pojawili, a Joyce nigdzie nie widać, wziąłem młotek i dłuto, którymi demontowałem podłogę w jadalni, i położyłem je na pasażerskim siedzeniu półciężarówki. Potem przyniosłem z szopy w ogrodzie zawiniętego w worek martwego Wiktora; zostawiłem go tam jeszcze przed śniadaniem. Wziąłem też łopatę i kosę. Najmniej niezadowolający plan, jaki mogłem wymyślić, polegał na podjechaniu jak najbliżej wrót cmentarza, wyładowaniu i zaparkowaniu półciężarówki gdzieś, gdzie nie będzie zwracać uwagi. Zresztą i tak nikt mnie nie widział; o tej porze wszyscy przebywali albo w gospodzie, albo w kuchniach.

Najpierw Wiktor. Wkrótce znalazłem dla niego miłe, odosobnione miejsce obok muru, zasłonięte od grobu Underhilla; bez trudu wykopałem w ziemi mniej więcej półmetrowy dół. Położyłem go w nim i zasypałem ziemią, myśląc o tym, jak będzie mi brakowało jego całkowitego braku godności i złośliwości. Gdyby zginął kilka dni wcześniej, zapewne zastanawiałbym się, czy nie zanieść jego ciała do weterynarza w nadziei, że ten odkryje ślady siły ciosu, który go zabił, jakiś obiektywny fakt na poparcie mej opowieści. Ale teraz nie myślałem już o tym: widziałem to, co widziałem, i nie mogłem w żaden sposób nikomu tego udowodnić. Przyklepałem ziemię dłońmi.

Następne zadanie było już bardziej skomplikowane. Wiedziałem w przybliżeniu, w którą stronę rzuciłem srebrny posążek, ale nie miałem pojęcia, na jaką odległość, i musiałem spędzić ponad półtorej godziny na poszukiwaniach i skosić około dwudziestu metrów kwadratowych trawy i chwastów, zanim wreszcie znalazłem go w kępcie perzu; chyba i tak miałem szczęście. Położyłem go na trójkątnym odłamku czyjś nagrobka i wziąłem do ręki młotek i dłuto; metal był miękki i niebawem z posążka pozostało jedynie kilka niepozornych kawałków, które zakopałem w różnych punktach cmentarza. Zrobiwszy to, poczułem się znacznie bezpieczniej, ale bynajmniej nie całkiem bezpiecznie. Osiągnięcie tego stanu

wymagać będzie jeszcze sporego wysiłku.

Chciałem już iść i zająć się kolejnym zadaniem, kiedy przysła mi do głowy pewna myśl. Podszedłem do miejsca, gdzie pochowano Underhilla, odłożyłem narzędzia i oddałem mocz na jego grób.

- Ty bydlaku - rzekłem. - Udawałeś, że wcale mnie nie wybrałeś, akurat mnie ze wszystkich ludzi, którzy po twojej śmierci mieszkali w tym domu. Czekaleś, aż Amy osiągnie odpowiedni wiek, a wtedy zająłeś się rozbudzeniem mojej ciekawości. A że nie możesz już zrobić tego, co robiłeś z tymi innymi biednymi dziećmi, to próbowałeś ją przynajmniej zabić. Dla rozrywki. Bardzo naukowe. To ci dopiero zamysł.

Znów nie zauważony wróciłem do samochodu i przejechałem przez wioskę, której jaskrawe światło słońca nadawało fałszywej indywidualności, jakby jej mieszkańcy uchodzili za najmądrzejszych i najszcześliwszych w Anglii. Zatrzymałem się przed plebanią, małym, ale ślicznym budynkiem z czasów królowej Anny, oddzielonym drogą od kościoła. Jego ogród był zarośnięty i zaśmiecony, między innymi pewną liczbą oprawionych obrazów, głównie pejzaży, które widocznie stanowiły część pierwotnego wyposażenia domu. Wewnątrz plebanii dudniła muzyka. Pociągnąłem za zardzewiały uchwyt dzwonka i w środku rozległ się dźwięk elektronicznego gongu. Po jakiejś minucie drzwi otworzyły się i ukazała się nieco lepiej zadbana wersja Jonathana Swifta. Osobnik ten spojrzał na mnie, żując coś.

- Czy zastałem proboszcza? - spytałem.

- A kim pan jest?

- Jednym z jego parafian.

- Jednym z kogo?

- Z parafian. Ludzi, którzy mieszkają w jego parafii. Tu, w okolicy. Czy proboszcz jest w domu?

- Zobaczę.

Odwrócił się, ale ponad jego ramieniem mogłem już dostrzec zbliżającą się postać wielebnego Toma Rodneya, odzianego w turkusowy podkoszulek i obcisłe, czarne drelichowe spodnie.

- Kto to, Cliff? Och... pan Allington. Pan do mnie?

- Tak, chciałbym zamienić z panem kilka słów. Jeśli ma pan chwilę czasu.

- Eee... oczywiście. Proszę wejść. Obawiam się, że mam tu straszny bałagan. Och, panie Allington, to jest lord Cliff Oswestry.

- Siemasz - rzucił lord Cliff.

- Cześć, stary - powiedziałem, niepewny, czy przyjął on swój tytuł dla jakichś celów

reklamowych, czy też nabył go mimo woli. Sądząc z jego dotychczasowego zachowania, skłonny byłem przyjąć to drugie wyjaśnienie.

- Nie zdążyłem posprzątać tego bajzlu - powiedział proboszcz. - Wróciliśmy około trzeciej rano i ledwo dałem radę odprawić poranne nabożeństwo. Och, Cliff, mój drogi, mógłbyś to trochę ściszyć? Widzi pan. Benjie znów schwytał mnie i Cliffa w swe sidła. Ale wspaniały z niego facet, prawda?

Rozmawialiśmy teraz w czymś w rodzaju salonu, o trzech ścianach oklejonych czarną tapetą, a czwartą - złotą, przyozdobioną przysadzistym bambusowym parawanem, który nie zasłaniał niczego konkretnego, i mnóstwem obitych zamszem taboretów. Nie zauważyłem żadnego specjalnego bajzlu poza pewną ilością potłuczonej porcelany, sprawiającej wrażenie raczej ciśniejącej niż upuszczonej na podłogę, oraz obiektem przypominającym wiszącą rzeźbę, która dokonała przymusowego lądowania. Niewidzialny piosenkarz o bardzo zakatarzonym głosie starał się, jak mógł, wyśpiewać dziwacznie wysokie nuty na tle chaotycznie grającej orkiestry. Po chwili jego głos przycichł do szeptu, zapewne za sprawą lorda Cliffa, którego zresztą już więcej nie widziałem.

- A więc, jakie ma pan zmartwienie? - spytał proboszcz, głosem niemal jak u prawdziwego proboszcza. Ów ton stanowił widocznie część martwego balastu tradycji, przed którą, mimo wszystkich wysiłków, czasami, tak jak teraz, nie był w stanie się ustrzec.

- Nie mam żadnych zmartwień - powiedziałem, kręcąc się na stołku w poszukiwaniu w miarę wygodnej pozycji. - Chciałbym porozmawiać z panem o dwóch sprawach. Po pierwsze, jak panu zapewne wiadomo, w przyszłym miesiącu przypada siedemsetna rocznica założenia mojego zajazdu „Pod Zielonym Człowiekiem”.

- Och, tak, ktoś mi o tym wspominał wczoraj.

Tym kimś musiał być chyba sam Król Krainy Kłamaczuchów, bo to ja właśnie wymyśliłem tę rocznicę. W przyływie natchnienia improwizowałem dalej:

- Tak więc planuję zorganizowanie raczej uroczystego przyjęcia dla uczczenia jubileuszu. Jestem bardzo zadowolony z tego lata, to znaczy pod względem finansowym, i o ile utrzyma się ciepła pogoda, mógłbym urządzać niezłą imprezę w ogrodzie zajazdu. Zdarza mi się gościć dość sporo, powiedzmy, wybitnych osobistości, ludzi z show businessu, z telewizji, ze świata mody, czasem nawet polityków, i pomyślałem, że po prostu wyślę wszystkim zaproszenia. Nigdy nie wiadomo, kto się pojawi. W każdym razie chciałbym i pana zaprosić. Oczywiście, ze wszystkimi przyjaciółmi, których zapragnie pan zabrać ze sobą.

Ludzkie oczy mogą naprawdę błyszczeć tylko podczas płaczu, ale proboszczowi udało się nadać swoim całkiem przekonująco połysk bez użycia łez.

- Czy mogę przyprowadzić mojego biskupa? Staruszek będzie zachwycony.  
- Jeśli pan chce, może pan przyprowadzić nawet głównego prezbitera Szkockiego Kościoła Wyzwolonego.

- Och, to cudownie. - Jego oczy przestały błyszczeć. - A ta druga sprawa?  
- Ach, tak. Słyszał pan zapewne o tym, że mój dom jest nawiedzony. Otóż ostatnio sprawia mi to sporo kłopotów. Chciałbym prosić pana o odprawienie obrządku egzorcyzmów i odpędzenie duchów, czy też tego, co tam straszy.

- Pan sobie chyba żartuje.  
- Mówię zupełnie poważnie.  
- Och, niech się pan nie wygłupia. Chce pan powiedzieć, że naprawdę widuje pan duchy? Słowo daję.

- Tak, daję panu słowo. Inaczej nie zawracałbym panu głowy.  
- Nie sądzi pan chyba, że takie religijne czary-mary mogą wyrzucić jakiś skutek? Jak i kolwiek skutek?

- Nie wiem. Chciałbym spróbować. Byłbym panu bardzo wdzięczny, pastorze, gdyby po prostu zechciał pan wygłosić odpowiednie formuły.

Byłem już gotów wyłożyć kawę na ławę i oświadczyć mu, że odmowa odprawienia egzorcyzmów z jego strony oznacza odmowę wystosowania zaproszenia na przyjęcie z mojej, ale sam to pojął. Widocznie życie duchownego nauczyło go rozpoznawać takie transakcje wymienne, może nawet przewrażliwiło go na nie, bo przecież ode mnie nigdy nie otrzyma nic w zamian.

Z rozdrażnieniem, do którego okazywania jego twarz tak dobrze się nadawała, spytał:

- Kiedy?  
- Teraz. Samochodem to tylko trzy minuty.  
- Och, na miłość boską - powiedział, ale bez gniewu, i na moment pogrążył się w obliczeniach. Moim zdaniem, wyczuł, jak bardzo jego wyjazd ze mną z tak ekscentryczną posługą zirytowałby lorda Cliffa. - No, zgoda, ale naprawdę jestem zaszokowany, widząc, jak człowiek tak wykształcony jak pan pada ofiarą równie wulgarnych zabobonów. - Mimo to żwawo zszedł ze stołka.

- Chyba powinien pan zabrać swoje insygnia kapłańskie.  
- O, rany... - Lord Cliff znów pojawił się w jego myślach (jak mi się wydało), i proboszcz nabrał nieco otuchy. - Ma pan rację, skoro już się do tego zabieram, muszę trzymać się przepisów. Niech pan się rozgości. Proszę spróbować owoców. Wrócę za minutkę.

Na stole o blacie z nie oszlifowanej płyty łupku leżała kiść bananów. Zjadłem kilka

myśląc, że to mój obiad. Ale, wedle moich wymagań, nawet po tak lekkim posiłku musiałem napić się czegoś. Podszedłem do obiecująco (tudzież paskudnie) wyglądającego kredensu, który wpadł mi w oko, ledwie wkroczyłem do pokoju. Poza laskami kadzidła i papierosami, niewątpliwie z marihuaną, zawierał on gin, wermut, campari, białe porto, wybór obrzydliwych napojów ze wschodnich wybrzeży Morza Śródziemnego i syfon z wodą sodową; szklanek nie było. Zrezygnowałem z zamiaru zmieszania sobie wytrawnego martini w stojącej obok popielniczce i łyknąłem ginu z butelki. Ciepłego, nie rozwodnionego ginu nikt nie uzna za nektar, ale zdołałem przełknąć nieco, nie krztusząc się zbytnio. Popiłem wodą sodową, z konieczności umieszczając kranik syfonu w ustach, co także było sporym wyczynem, i zażyłem pigułkę. Czyniąc to, pomyślałem, iż skoro Underhill umiał sfabrykować setkę szkarłatno-zielonych ptaków, to z pewnością był też w stanie sfabrykować jednego. Co prawda spreparował również coś przypominającego moje hipnagogiczne wizje, które nawiedzały mnie od lat, od czasów, gdy nie mieszkałem jeszcze w zajeździe, ale jego wersja stanowiła jedynie niedokładną imitację, falsyfikat, natomiast (co uświadomiłem sobie po raz pierwszy) ptaki były dokładnymi kopiami tego pierwszego, którego widziałem w łazience - w typowy dla siebie sposób wypróbował on swą broń, zanim użył jej na pełną skalę. A więc, kiedy tylko zapomnę już o tym, jak bardzo przeraził mnie jeden samotny ptak, będę mógł znów zacząć życie z butelką: przynajmniej z małą butelką.

Czas mijał. Po drugiej stronie pokoju stała duża biblioteczka pełna książek, ale zostawiłem je w spokoju, wiedząc, że mogą mnie jedynie zirytować. Zaczynałem już poważnie zastanawiać się, czy powtórnie nie naruszyć zapasu trunków, kiedy powrócił wielebny Tom w duchownych szatach, niosąc w dłoni walizkę pokrytą chyba białym sztruksem. Był teraz w znakomitym nastroju, zapewne pod wpływem tego, co zaszło, gdy się przebierał.

- Idziemy? - spytał, poruszając brwiami i ramionami. Przyznałem, że rzeczywiście czas już iść.

W kilka minut po trzeciej w niedzielne popołudnie w sali restauracyjnej nie było nikogo. Nie zauważeni weszliśmy przez kuchnię, a ja natychmiast zamknąłem na klucz drzwi do holu. Całkiem profesjonalnym gestem proboszcz położył walizkę na pomocniczym stoliku, wyjął z niej komżę czy coś w tym rodzaju oraz jeszcze kilka dodatków, przywdział je i wziął do ręki książkę.

- Ma pan szczęście, że w ogóle to znalazłem - powiedział. - Nie codziennie odprawiam takie posługi.

- Dobrze. Może pan zacząć, kiedy tylko będzie pan gotów.

- W porządku. Nadal uważam, że to bzdury, ale proszę bardzo. Och, nie - dodał, otworzywszy książkę na właściwej stronie.

- O co chodzi?

- Trzeba mieć do tego wodę święconą.

- A co, nie ma pan jej?

- Na co mi woda święcona? Co pan myśli, że trzymam ją w domu jak gin? Chwileczkę - tu jest napisane, jak ją zrobić. Potrzeba... Chyba nie chce pan, żebym zawracał sobie tym wszystkim głowę. Rany boskie. To zajmie mnóstwo...

- Jak ma być woda święcona, to niech pan robi wodą święconą. Nie traćmy czasu. Czego panu trzeba?

- Och, do d i a b ł a . Zgoda. Niech mi pan da trochę wody i trochę soli.

Przyniosłem z kuchni dzbanek wody i z solniczki stojącej na jednym ze stolików przesyłałem nieco soli na talerz.

- Nie wiem czemu, ale trzeba to oczyścić. - Skierował dwa palce na sól i odczytał: - Czynie cię niepokalanym, płodzie Ziemi, przez Boga żywego, przez Boga świętego - tu przeżegnał się - abyś oczyszczony był od wszelkich złych mocy w imię Adonaj, który jest panem aniołów i ludzi...

Podszedłem do okna. Pomyślałem, że mógłbym poszukać jeszcze krzyżyka, którego na próżno szukałem o świcie, ale byłem przekonany, że wypełniwszy swe zadanie powrócił on do ofiarodawcy. A więc czekałem tylko. Po minucie lub dwóch przemówił do mnie cichy głos, tak cichy, że nawet ktoś stojący o metr ode mnie nie mógłby go usłyszeć.

- Co czynisz? Czy chcesz mnie zniszczyć?

Ostrożnie, nie spuszczać wzroku z proboszcza, skinałem głową.

- Nauczę cię, jako wielkie bogactwa nabyć, uczynisz każdą niewiastę na ziemi swą kochanicą, posiędziesz wszelką chwałę czasu wojny i pokoju, jeno zaniechaj.

Pokręciłem głową.

- Wypędzam wszelkie złe moce i nasienie - czytał proboszcz. - Kładę na nich zaklęcie świętego Kościoła Chrystusowego, aby łańcuchami je skuło i w zewnętrzne ciemności rzuciło, aż do dnia ich skruchy i nawrócenia, aby sług bożych nie nękały...

Gdy cichy głos odezwał się ponownie, brzmiał w nim strach i prośba.

- Będę niczym, bo na zawsze odmówiono mi skruchy. Przez wieczność całą martwą bryłą będę. Czy jeden człek może wyrządzić to drugiemu? Chcesz-li Boga udawać, mości Allington? Lecz Bóg miałby przynajmniej miłosierdzie dla tego, który Mu uchybił.

Znów pokręciłem głową, żałując, że nie mogę mu wyjaśnić, jak bardzo myli się w tym

ostatnim punkcie.

- Nauczę cię pokoju ducha.

Ta propozycja zaintrygowała mnie. Odwróciłem się tyłem do proboszcza i wyjrzałem przez okno, zagryzając wściekle wargi. Wyobraziłem sobie, że przez resztę życia nie zwracam już uwagi na siebie samego, że gubię się, nie próbuję na próżno zgubić się, ale gubię się w poezji, w rzeźbach, w pracy i w obcowaniu z innymi ludźmi, że nie jestem już kobieciarzem i pijakiem. Potem pomyślałem o małej Tylerównie, o małej Ditchfieldównie, o Amy i o wszystkich przyszłych ofiarach: nawet bez zielonego człowieka Underhill z pewnością znajdzie sposób, aby krzywdzić bezbronne dzieci. To przekonało mnie o moim obowiązku; ale do dziś często zastanawiam się, czy nie zdecydowałem się dlatego, że po prostu nie mogłem przyjąć jego propozycji, czy nie jesteśmy tak silnie przywiązani, w całym tego słowa znaczeniu, do wszystkich cech naszych osobowości, że każda radykalna zmiana, nawet jednoznaczna zmiana na lepsze, wydaje nam się w pewnym sensie samobójstwem. Pokręciłem głową.

Po drugiej stronie pokoju proboszcz skropił podłogę wodą i kontynuował:

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, na znak życia tchniętego w ciało udęczone i krew Jezusa Chrystusa, i na siedem złotych świeczników, i przez Tego, co Synem Człowieczym się zdaje, i co pośród świeczników stoi, i przez obraz i świadectwo Jego krzyża świętego, skrwawionego i zwycięskiego, wypędzam cię...

W tym momencie usłyszałem równie słaby, jak przedtem, ale zupełnie wyraźny, pojedynczy, przeciągły i cichnący krzyk potępieńczego przerażenia i rozpacz. Nie ucichł on do końca, ale urwał się nagle. Zadrzałem.

Proboszcz uniósł wzrok.

- Przepraszam, pan coś mówił?

- Nie. Proszę dokończyć.

- Czy dobrze się pan czuje?

- Oczywiście, że dobrze się czuję - odrzekłem z furją. W ciągu ostatnich kilku dni wciąż, do znudzenia, słyszałem to pytanie. - Dużo jeszcze zostało?

- Och, dobrze. Już tylko kilka zdań. Prosimy Cię, Panie, nawiedź ten dom i oczyść go od pułapek wrogich, i niech Twój święci aniołowie zamieszkają w nim i zachowają nas w pokoju, i niech na wieki spocznie na nas Twe błogosławieństwo, przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, amen. Proszę. Wystarczy to panu?

- Całkowicie, dziękuję. - Zakładałem, że jego poczynania nie zakłócą pojawienia się rudowłosej kobiety na piętze, i pomyślałem o tym z zadowoleniem: nie chciałem odganiać

tego bojaźliwego, ulotnego ducha. - A więc, zrobione. Odwiozę pana na plebanię.

W kilka minut później miałem już wsiadać do półciężarówki, w której usadowił się proboszcz, kiedy podszedł do mnie Ramon.

- Przepraszam, panie Allington.
- Słucham.
- Pani Allington chce z panem mówić, panie Allington. W domu.
- A gdzie to? Gdzie?
- Na parterze. W kantorku.
- Dziękuję.

Powiedziałem proboszczowi, że wrócę za chwilę. Joyce rozmawiała przez telefon w kantorku. Powiedziała, że musi już kończyć, i odłożyła słuchawkę.

- Ramon powiedział, że chcesz ze mną porozmawiać.
- Przykro mi, Maurice, ale muszę od ciebie odejść. Spojrzałem na jej wielkie, jasnoblękitne oczy, ale nie w nie, bo choć zwrócone były w moją stronę, wcale na mnie nie patrzyły.

- Rozumiem. Masz ku temu jakieś konkretne powody?
- Po prostu mam tego dość. Nie zniosę już więcej. Nie chcę już próbować tego znosić.
- Znosić czego? Zajmowania się domem?
- To też mi się nie podoba, ale gdybyś był inny, robiłabym to bez skarg.
- Gdybym był jaki?
- Próbowałam cię kochać, ale nigdy mi na to nie pozwalałeś. Sam wiesz najlepiej, co robić, kiedy i jak, wiesz wszystko, i nigdy nie zmieniasz zdania, z kimkolwiek miałbyś do czynienia i cokolwiek by ci nie mówić. Nie ma sensu próbować kochać kogoś, kto ciągle zajęty jest czymś innym.

- Przez kilka ostatnich dni byłem...
- Przez kilka ostatnich dni było dokładnie tak samo, jak przez kilka jakichkolwiek innych dni, o ile o to chodzi. Co więcej, właśnie teraz, a myślę o twoim ojcu i o tych duchach, i reszcie, i o Amy, właśnie teraz każdy, tylko nie ty, siedziałby w domu.

- Siedziałem dziś w domu, ale nigdzie cię nie widziałem.
- A czy szukałeś mnie? Nie. I nie mów, że musisz pracować, bo wszyscy muszą pracować. Gdybyś nie musiał pracować, to też wymyśliłbyś sobie jakieś zajęcie. Nie wiem, co sobie myślisz o ludziach, i to już jest źle, ale wiem, że zachowujesz się tak, jakby wszyscy ci przeszkadzali. Poza seksem, ale i wtedy pozbywasz się ich, ledwo zaczną ci przeszkadzać. Albo traktujesz ich jak butelki whisky - ta jest pusta, zabierzcie ją, przynieście inną. Tylko ty



możesz wszystko robić i wszystkiego chcieć. Jak mogłeś zaproponować własnej żonie pójście do łóżka z tobą i z twoją kochanką? Mały eksperyment, co? Czemu nie? To nic trudnego. Potrzeba tylko dwóch dziewczyn, a oto mamy dwie dziewczyny, świetnie. Czemu nie? Mogłeś mieć choć na tyle przyzwoitości, żeby iść z tym do prostytutki albo kogoś takiego.

- Myślałem, że przypadło ci to do gustu.

- Tak, rzeczywiście, to było wspaniałe, ale to przecież nie twoja zasługa. Diana jedzie ze mną.

Teraz zrozumiałem, o czym mówił w południe Jack; po prostu nie poinformowano go o podstawowych faktach - czego mogłem się spodziewać.

- Mówisz tak, jakby życie ze mną było dla ciebie tylko stratą czasu.

- Wiedziałaś, że powiesz coś w tym stylu. O tym tylko myślisz: o seksie. Nie wiesz nawet, że istnieje coś poza seksem. Ale nie tylko seks łączy mnie z nią. W ogóle, seks ma tu niewiele do rzeczy. Chodzi o to, żeby z kimś być. Z kimś, kto nie musi za dwie minuty być w jakimś ważniejszym miejscu. Amy nie będzie za mną tęsknić zbyt mocno. Nie byłam w stanie zostać jej matką, bo ty nigdy nie próbowałeś zrobić z niej mojej córki. Nie wyjeżdżam natychmiast. Zostanę, póki nie znajdziesz kogoś do pomocy w zajeździe. Przez ten czas możemy uzgodnić sprawę rozwodu.

- A gdybym naprawdę się postarał?

- Nie wystarczy się starać. Zresztą, wkrótce zapomniałbyś, że masz się starać.

To był koniec rozmowy. Spojrzałem znów na jej oczy i na jej gęste złote włosy, ani delikatne, ani szorstkie, ale po prostu gęste, lekko, lecz zauważalnie falujące między szerokim czołem a silnymi ramionami.

- Przepraszam cię, Joyce.

- W porządku. Zawsze możesz mnie zaprosić w odwiedziny. Czy teraz mógłbyś już iść?

Wyszedłem. Usłyszałem szcęknięcie klucza w zamku i tłumione łkanie za drzwiami. Nie byłem teraz w stanie myśleć o tym, tylko jedna, drobna rzecz uparcie tkwiła w mej głowie, przynajmniej przez chwilę, ta jej wzmianka o eksperymencie: „Mały eksperyment, co? Czemu nie?” Czy rzeczywiście zdolny byłem myśleć - czy zazwyczaj myślałem - w ten sposób o rzeczach i o ludziach? W takim razie, być może Underhill wybrał właśnie mnie na swoje narzędzie nie tylko ze względu na obecność Amy w domu: być może wyczuł we mnie pokrewną duszę. Myśl ta napęliła mnie wstrętem, i wracając powoli do samochodu i proboszcza próbowałem ją odgonić.

Gdy usiadłem za kierownicą, duchowny spojrzał na mnie z rozdrażnieniem bardziej emfatycznym i konkretniejszym niż zazwyczaj.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego?

Uruchomiłem silnik i wyprowadziłem samochód z parkingu.

- Tom, jestem panu niewymownie wdzięczny za to, że poświęcił pan swój czas na przyjazd tutaj. I to w niedzielę.

- A co ma tu do rzeczy niedziela?

- Cóż... są przecież msze, prawda? Musi pan przygotowywać kazania.

- Nie myśli pan chyba, że piszę k a z a n i a dla tutejszej bandy kmiotów? Chyba zdaje pan sobie sprawę, że kazania wyszły już z mody, wraz z perkalowymi pokrowcami na fotele i sztylpami.

- I z ewolucją.

- I z ewolucją, tak jest. Zresztą dziś lord Cliff będzie mi prowadził kazania. Oczywiście, nie takie... Hej, dokąd jedziemy?

Skręciłem nie w dół, w stronę wioski i plebani, a pod górę.

- Niestety, musimy zajrzeć w jeszcze jedno miejsce.

- Och, n i e . Po co?

- Znów egzorcyzmy. W tym lesie.

- Pan sobie musi żartować. Tyle czasu...

- A co pan mówił o lordzie Cliffie?

To podziślało: zobaczyłem, jak (tym razem) uśmiecha się przelotnie, wyobrażając sobie reakcję lorda na jego przedłużoną nieobecność, niewątpliwie wysoce go satysfakcjonującą.

Gdy dotarliśmy do zagajnika, wręczyłem mu kryształową karafkę na ocet, pochodzącą z kuchni zajazdu, do której, bez jego wiedzy, wlałem około ćwierć szklanki wody święconej. Wziął ją, ponownie przywdział swe insygnia i rozpoczął obrządek, całkiem poważnie, jak na niego. Zacząłem przechadzać się w poszukiwaniu śladów powstania i późniejszego rozpadu zielonego człowieka, i znalazłem je: świeżą ranę na pniu jesionu, w miejscu, z którego oderwał się konar i gdzie na pewno nie sięgnęłyby ludzkie ręce; rozrzuconą kupkę zmaltretowanych liści z kilku gatunków drzew i krzewów. Z tego powstał tu, w angielskim lesie; po raz pierwszy zapewne narodził się, został stworzony, w okolicach, gdzie roślinność składa się głównie z drzew o raczej jednorodnie walcowatych pniach i gałęziach; tak przynajmniej sugerował kształt nie istniejącego już srebrnego posążka. Ale i posążek, i jego magiczna siła przejawiały wielkie zdolności adaptacji do radykalnych przenosin z jednej krainy do innej.

W zagajniku panował spokój, listowie chroniło przed słońcem. Proboszcz kontynuował obrządek obojętnym, lekko poirytowanym głosem.

- Na godło anielskiego oka, psiego zęba, lwiego pazura i rybiego pyska, nakazuję ci odejść, wrogu radości, dziecię zepsucia, i na znak duchów czarnej wody i białej góry, i puszczy nieskończonej, rozkazuję ci, przez potęgę Chrystusa, abyś udał się do miejsca przez siebie obranego...

Nagle, o dziesięć metrów od siebie, zobaczyłem i usłyszałem drzenie pośród traw i krzewów, gwałtowne lokalne poruszenie powietrza, zbyt bezkształtne i pozbawione określonego kierunku, aby można je nazwać wirem. Z początku zawirowanie to ograniczało się do jednego tylko punktu; potem wydało mi się, że rozprzestrzenia się; nie, nie rozprzestrzeniało się, lecz przesuwało, najpierw niemal niedostrzegalnie, potem z prędkością idącego powoli człowieka, potem coraz szybciej, w stronę miejsca, gdzie stał proboszcz. Podbiegłem do niego, wymijając łukiem zawichrzenie, i odciągnąłem go z jego szlaku. Zachwiał się, niemal upadł, oparł się o pień dębu i spojrzał na mnie.

- Co pan, do diabła, wyprawia, panie Allington? Czy pan zwariował? Mam już tego dość...

Gdy tak narzekał, ja odwróciłem się do niego plecami i zobaczyłem, że zjawisko, wciąż nabierając prędkości, przechodzi przez miejsce, w którym przed chwilą stał, i znika za krzakiem ostrokrzewu. Być może, raz wprowadzone w ruch, nie potrafiło zmienić kierunku: być może przypadkiem obrało tę trasę; być może nie posiadało szkodliwych właściwości; ale byłem zadowolony, że zrobiłem to, co zrobiłem. Pobiegłem w miejsce, z którego mogłem obserwować jego przemieszczenia. Zdążyło już dotrzeć niemal do skraju lasu.

- Szybko, niech pan tu przyjdzie - zawołałem.

- Nie mam najmniejszego zamiaru.

Wydostawszy się na polanę, zjawisko rozprzestrzeniło się, osłabło, wkrótce zmieniło się w delikatne drzenie trawy na obszarze o rozmiarach kortu tenisowego, i wreszcie znikło. Poczulem, jak napięcie opuszcza moje mięśnie, i wróciłem do proboszcza, który nadał opierał się o dąb.

- Przepraszam pana. Ale czy nic pan nie widział?

- Co miałem widzieć? Nic nie widziałem.

- Nieważne. W każdym razie, możemy już się zbierać.

- Ale nie skończyłem jeszcze obrządku.

- Nie wątpię, ale on już poskutkował.

- Jak to? Skąd pan wie?

Uświadomiłem sobie, że pod maską zrzędlivości, nieodłącznej od wszelkich wyrażanych przez siebie uczuć, wielebny Tom boi się mnie, ale nie mogłem wymyślić żadnego

wytłumaczenia, które nie przeraziłyby go jeszcze bardziej, a wydawało mi się, że odrobina strachu, z jakiegokolwiek źródła, na pewno mu nie zaszkodzi. Mruknąłem więc tylko coś o intuicji, popędziłem go, i w drodze powrotnej znosiłem najpierw ciąg dalszy jego protestów, a potem jego nadęte milczenie. Przed plebanią powiedział do mnie pojednawczym tonem:

- Zawiadomi mnie pan o przyjęciu z pewnym wyprzedzeniem, zgoda?

„O przyjęciu? O jakim przyjęciu? Czy pan z w a r i o w a ł?” - chciałem powiedzieć i zniweczyć jego złudzenia w najlepszym stylu kukielkowej burleski, i już zacząłem marszczyć czoło jak jaskiniowiec, ale zlitowałem się nad nim, czy raczej postanowiłem, że zabawniej będzie pozwolić mu samemu stopniowo pojąć moje oszustwo. W każdym razie, obiecałem, iż spełnię jego prośbę, podziękowałem mu za fatygę i pojechałem do domu.

Na parkingu stał Morris Nicka z otwartym bagażnikiem, a po chwili ujrzałem jego samego, niosącego dwie walizki, i z Lucy idąca tuż za nim.

- Wyjeżdżamy, tato. Musimy jeszcze odebrać Jo i położyć ją spać.

- Oczywiście. Cóż... dziękuję, że przyjechaliście. Dziękuję za waszą pomoc.

Nick zerknął na swą żonę i rzekł:

- Joyce powiedziała nam o wszystkim. Bardzo nam przykro. Ale zawsze uważałem, że ona nie pasuje do ciebie.

- To raczej ja nie pasowałem do niej.

- Cóż, w każdym razie... Przyjeżdż do nas, kiedy tylko będziesz mógł. Ucieknij na jakiś czas od zajazdu. Niech David nauczy się kierować nim samemu.

- Dziękuję. Spróbuję.

- Nie masz próbować - powiedziała Lucy. - Masz to zrobić. Wiesz, że możesz to zrobić. Bardzo nas ucieszy twoja wizyta. Pokój gościnny wygląda teraz naprawdę ślicznie, a Jo rzadko kiedy budzi się przed ósmą.

Ucałowałem ją po raz pierwszy od czasu ich ślubu, a właściwie po raz pierwszy naprawdę. Ucałowałem też Nicka, i oboje wsiedli do samochodu. Zanim odjechali, Nick otworzył okno i powiedział, tak żeby Lucy nie słyszała:

- Chciałem spytać o te twoje duchy. Czy ta sprawa nadal, wiesz...

- Wszystko już załatwione. Wszystko zakończone. Kiedyś opowiem ci o tym.

- Nie kiedyś. Przy następnym spotkaniu. Na razie, tato - zadzwonię do ciebie wieczorem. Och! Amy pytała, gdzie jesteś. Chce ci coś powiedzieć. I masz jej wysłuchać, cokolwiek by to było. I masz jej coś powiedzieć. Proszę, tato.

Zastałem Amy siedzącą w łóżku, a na ekranie telewizora widniała para niezbyt interesujących świeczników, i starczy głos mówił:

- Są bardzo piękne, prawda? Moim zdaniem, pochodzą z końca osiemnastego stulecia, nie są, oczywiście, angielskie...

- Wyłącz to tato, proszę.

Wyłączyłem telewizor i przysiadłem na skraju łóżka.

- Jak się czujesz Amy?

- Świetnie, dziękuję. Joyce odchodzi, prawda?

- Skąd wiesz?

- Powiedziała mi. Zajrzała, żeby spytać, czy mi czegoś nie trzeba, i zaczęłyśmy rozmawiać, i spytałam ją, czy pojedziemy na weekend do Eastbourne, zanim zacznie się szkoła, tak jak w zeszłym roku, a ona powiedziała, że może ty i ja pojedziemy, ale bez niej. I potem powiedziała mi. Była zdenerwowana, ale wcale nie płakała.

- To niezwykle. Ot, tak sobie ci powiedziała.

- Wcale nie. Wiesz, jak to ona mówi ludziom różne rzeczy, nie myśląc, co oni sobie pomyślą.

- Tak, wiem.

- Nie masz chyba szczęścia do żon, prawda, tato? Może za mało je rozpieszczasz. Ale zaczęłam myśleć o tym, co powinniśmy zrobić. Mam teraz trzynaście lat. Nie będę chciała wyjść za mąż wcześniej niż w wieku dwudziestu jeden lat. Zostaje osiem lat, co najmniej osiem lat, bo mogę nie znaleźć od razu odpowiedniego męża. I przez cały ten czas mogę ci pomagać. Już teraz umiem całkiem nieźle gotować, a jeśli pozwolisz mi siedzieć w kuchni, kiedy nie będzie nic innego do roboty, to mogę nauczyć się znacznie więcej, patrząc tylko na kucharzy. I mogę odbierać telefony i tak dalej, a kiedy będę starsza, będę mogła zająć się innymi rzeczami, na przykład rachunkami. Bardzo ci się przydam.

- To bardzo miłe z twojej strony, kochanie - powiedziałem i chciałem ją objąć, ale cofnęła się i wpatrzyła we mnie.

- Wcale nie. Nie mówię tego tylko po to, żeby ci poprawić nastrój. Nie jestem taka, jak ty. Myślałam o tym bardzo poważnie i zaplanowałam różne rzeczy. Przede wszystkim, uważam, że powinieneś sprzedać ten dom, bo umarł w nim dziadek, i Joyce odeszła, i wczoraj zjawił się ten człowiek. Powinniśmy przeprowadzić się do jakiegoś miasta, w którym jest dobra szkoła, żeby nie musiała już mieszkać w internacie. Na przykład do Cambridge albo Eastbourne. Nie sądzisz, że powinniśmy tak zrobić?

- Tak. Masz rację. Musimy się przeprowadzić. Oczywiście, wszystko będzie zależeć od tego, gdzie można kupić jakiś dobry hotel lub zajazd.

- W takich sprawach ty już będziesz decydował. Potem, kiedy już znajdziesz jakieś dobre

miejsce, będziemy mogli wybrać jakąś szkołę.

- Zajmę się tym jutro.
- Jeśli będziesz miał czas.
- Będę miał czas.

Wyciągnęła do mnie ramiona, a ja ucałowałem ją i objąłem. Niebawem wyszedłem, po tym, jak odrzuciła moją propozycję włączenia telewizora: powiedziała, że chce jeszcze trochę pomyśleć. Musiałem teraz wziąć prysznic i przebrać się w wieczorowy strój. Zabierając się do tego, pomyślałem, że w końcu moje sprawy jakoś się ułożyły. Przynajmniej niektóre. Znów czułem napięcie, a moje serce biło z wysiłkiem, zbliżając się do punktu, w którym zacnie walić i potykać się w swym ruchu. Zauważyłem też, co ostatnio zdarzało mi się coraz częściej, że staję się bardzo niezgrabny, że wyrznięłem ramieniem o framugę drzwi do łazienki, że chcąc odkręcić kurki prysznic, obtarłem sobie naskórek z knykci, że z nie zamierzoną gwałtownością ciskam mydło do mydelniczki, jakbym był pijany, co było wykluczone, albo jakby moje zdolności koordynacji ruchów stopniowo pogarszały się. Myśl ta przygnębiła mnie nieznośnie, tak jak i myśl o tym, że jutro zaczyna się nowy tydzień i że muszę zadzwonić do firmy ubezpieczeniowej w sprawie volkswagena, i iść do notariusza w sprawie testamentu mojego ojca, i przywieźć mięso, i wpłacić utarg do banku, i zamówić owoce i warzywa na ten tydzień, i przygotować się na jeszcze następny tydzień. I zająć się Joyce, i sprzedaż domu, i szukaniem nowego, i szukaniem kobiety, która pójdzie ze mną do łóżka.

Znacznie wcześniej, niż się spodziewałem (szczerze mówiąc, wcale się tego nie spodziewałem), stwierdziłem, że zaczynam pojmować proroctwo młodego człowieka, iż kiedyś docenię śmierć i wszystko, co ona ze sobą niesie. Śmierć stanowi dla mnie jedyną drogę ucieczki od tego ciała i wszystkich jego pseudo-objawów choroby i strachu, od ciągłej świadomości posiadania tego ciała, od tej osoby, od jej bezwzględności i sentymentalności, i jałowych, nieszczerych i nierealnych wyobrażeń o przyzwoitości, od zajmowania się moimi własnymi myślami, i od zagłuszania ich odliczaniem tysięcy, i od własnej twarzy w lustrze. Powiedział, że nigdy nie uwolnię się od niego, aż do końca świata, i wierzyłem mu, ale gdy umrę, uwolnię się od Maunce'a Allingtona, i to na znacznie dłużej. Założyłem smoking, przełknąłem mocną whisky i szedłem na dół, aby rozpocząć kolejny wieczór.

## Posłowie

Książka, której lekturę właśnie Państwo zakończyli, stanowi drugą powieść Kingsleya Amisa przetłumaczoną na język polski (pierwszą był *Jim Szczęściarz*, wydany przez PIW w r. 1958 w przekładzie Bronisławy Jackiewicz i Cecylii Wojewody). Choć tak mało znany u nas, Amis jest jednym z najpopularniejszych współczesnych pisarzy angielskich - wspomnijmy tylko, że w r. 1981 otrzymał za swe zasługi Order Imperium Brytyjskiego, zaś w r. 1986 dostąpił największego zaszczytu, jaki może spotkać angielskiego literata: zdobył niezwykle prestiżową nagrodę Booker Prize. Kim więc jest ten niemal nieznany w naszym kraju autor?

Kingsley Amis urodził się w Londynie w r. 1922. Studiował anglistykę w Kolegium św. Jana w Oksfordzie, a w latach 1944 - 45 służył jako oficer w wojskach łączności na froncie zachodnioeuropejskim. Po ukończeniu studiów pracował jako wykładowca literatury w Cambridge, Swansea i Princeton w USA, a od roku 1963 postanowił poświęcić się wyłącznie pisarstwu. Do tej pory publikuje także krytykę literacką i eseje - jest między innymi autorem *Nowych map piekła* (*New Maps of Hell*, 1960), sztandarowej pozycji krytyki science fiction, której fragmenty mieliśmy okazję poznać w antologii Wydawnictwa Poznańskiego *Spór o science fiction*, oraz książki *Rudyard Kipling i jego świat* (*Rudyard Kipling and His World*, 1975).

Już w r. 1947 wydał Amis swój debiutancki tomik poezji pt. *Czysty listopad* (*Bright November*). Poezji pozostał wierny do dziś, lecz jego prawdziwa kariera literacka rozpoczęła się z chwilą wydania w roku 1954 jego pierwszej powieści *Jim. Szczęściarz* (*Lucky Jim*), która dosłownie wstrząsnęła angielską opinią publiczną. Tytułowy Jim Dixon był bowiem młodym asystentem na prowincjonalnym angielskim uniwersytecie, lecz posadę tę zdobył jedynie dzięki sprzyjającemu zbiegowi okoliczności, nie przejawiał niezbędnych w swym zawodzie klasztornych zalet, czas zaś wypełniał głównie piciem piwa, popełnianiem niezwykle zabawnych gaf oraz bojami z otaczającymi go snobami i sklerotycznymi profesorami.

Ta obrazoburcza wizja uniwersytetu, najszlachetniejszej spośród angielskich instytucji, stanowiła odzwierciedlenie zmian zaszłych w Wielkiej Brytanii po r. 1945 w następstwie przejścia władzy przez Partię Pracy, wprowadzenia systemu tzw. państwa opiekuńczego i spadku znaczenia tradycyjnego *establishmentu*. Po publikacji *Jima Szczęściarza* rychło skryształizowała się grupa pisarzy i poetów głoszących podobne do Amisa poglądy, nosząca prostą nazwę „The Movement” („Ruch”). Poza samym Amisem wchodzili w jej skład między innymi: nieco lepiej u nas znany powieściopisarz John Wain, nieżyjący już Philip Larkin,

obwołany najznamienitszym powojennym poetą brytyjskim, bardzo ostatnio w Polsce popularny jako sowietolog, Robert Conquest oraz Donald Davie, autor angielskiej parafrazy *Pana Tadeusza*. Na pozór przejawiali oni poglądy radykalnie antyintelektualistyczne, ostro krytykowali literacki i artystyczny modernizm we wszystkich jego przejawach, od malarstwa Picassa do muzyki Charliego Parkera, doszukując się w nim oznak snobizmu, ale w głębi ducha pozostali profesorami anglistyki i twórczość ich jeżyła się od literackich aluzji i skomplikowanych zabiegów stylistycznych. Zasłużyli tym sobie nawet na miano „nowych uniwersyteckich głów” (w nawiązaniu do grupy klasycyzujących dramaturgów elżbietańskich). Niektórzy krytycy łączą ich nawet ze słynnymi angielskimi Młodymi Gniewnymi, lecz „The Movement”, pomimo pewnych pokrewieństw z twórczością np. Johna Osborne’a czy Alana Sillitoe, zachował własny, nieco bardziej elitarny charakter.

Po r. 1956 „The Movement” rozpadł się, ale Kingsley Amis pozostał wierny jego założeniom, konsekwentnie prezentując w swych następnych humorystycznych powieściach bohaterów inteligentnych i dowcipnych, lecz rezygnujących z pięcia się po szczeblach materialnej kariery i wybierających spokojne życie w małomiasteczkowym zaciszu, z dala, przede wszystkim, od stołecznego snobizmu i pretensjonalności. Do takich postaci należą John Aneurin Lewis z powieści *To uczucie niepewności* (*That Uncertain Feeling*, 1955) i Patrick Standish, pojawiający się w *Dziewczynie takiej jak ty* (*Take a Girl Like You*, 1960). Wątki kwietyzmu i niezwykle negatywnego nastawienia do „dzisiejszych czasów” występują także w późniejszych powieściach obyczajowych Amisa, spośród których wymienić należy *Chcę tego teraz* (*I Want It Now*, 1968), *Dziewczynę dwudziestoletnią* (*Girl, 20*, 1971), *Męską sprawę* (*Jake's Thing*, 1978), *Starą gwardię* (*The Old Devils*, 1986) - uhonorowana wymienioną już nagrodą Booker Prize, czy *Ludzi, którzy mieszkają na wzgórzu* (*The Folks Who Live on the Hill*). najnowszą powieść, opublikowaną w roku 1990. Prawdziwy skandal wywołały wydane w ubiegłym roku pamiętniki Amisa. w których pisarz, być może zbyt identyfikujący się ze swymi bohaterami-weredykami, dostarcza czytelnikom obfitej dawki niezbyt wybrednych plotek na temat współczesnych sobie postaci angielskiej sceny literackiej. Do innego rodzaju powieści, nie powiązanych z aktualnymi problemami społecznymi, należą m.in. szpiegowski thriller z filozoficznymi ambicjami *Liga Walki ze Śmiercią* (*The Anti-Death League*, 1966 - książka ta niebawem ukaże się nakładem wydawnictwa „Rebis”) i dwie powieści science fiction: *Alteracja* (*The Alteration*, 1976), nagrodzona słynną Johri W. Campbell Memorial Award oraz *Rosyjska ciuciubabka* (*Russian Hide-and-Seek*, 1980).

Charakterystyczny model Amisowskiego bohatera ma w sobie nieco z postaci z utworów



Edwarda Stachury, którego przecież erudycja i inteligencja także doprowadziły do ucieczki od zgiełku cywilizacji. Taki jest też Maurice Allington z *Zielonego Człowieka*. Nietrudno domyślić się, jakie przyczyny skłoniły tego absolwenta uniwersytetu i eksperta w dziedzinie architektury do obrania zawodu oberżysty. Są przecież lata sześćdziesiąte, dekada nie tylko muzyki Stockhausena i malarstwa Warhola, lecz przede wszystkim rozpasanej permissywnej popkultury, eksplozji rocka i ruchu hippisów i, co najgorsze, lewicowego rozpolitykowania. Sam Amis nigdy nie krył swych prawicowych poglądów - a właśnie w r. 1968 podczas telewizyjnej dyskusji zaproponował wysłanie do Wietnamu brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego - co zresztą mogło być jednym z powodów, dla których nie poznali go polscy czytelnicy. Nic więc dziwnego, że za każdym razem, gdy w zaciszu zajazdu „Pod Zielonym Człowiekiem” pojawiają się zwiastuny szalejącej apokalipsy moralnej - pseudonaukowe wywody księdza Sonnenscheina, „wyzwolona” postawa Diany Maybury czy też hałaśliwi goście z pobliskiego Cambridge - Amis wkłada w usta swego bohatera kąśliwe, nieprzychylnie uwagi.

Wielu krytyków uważa *Zielonego Człowieka* za najlepszą spośród powieści Amisa. Niewątpliwie wielką w tym zasługą błyskotliwej narracji Maurice’a Allingtona. Tak jak Jim Dixon, znakomicie wykrywa on wszelkie objawy snobizmu i pretensjonalności, przedstawiając je z typowo Amisowską językową sprawnością. Obcowanie z nim to wielka przyjemność dla inteligentnego odbiorcy, dodatkowo urozmaicona niezwykle perypetiami i towarzyszącymi im zaburzeniami funkcjonowania umysłu bohatera.

Ta przewaga charakterystyki nad właściwą akcją stanowi dowód na to, jak daleko odchodzi Kingsley Amis od przepisów tradycyjnej powieści realistycznej. Nie jest on, rzecz jasna, postmodernistą, bo też trudno by było znaleźć we współczesnej literaturze angielskiej prawdziwego postmodernistę. Lecz tak jak powieści Susan Sontag, Thomasa Pynchona czy Har-ry’ego Matthews, *Zielony Człowiek* w znacznym stopniu rezygnuje ze snucia tradycyjnej intrygi i zastępuje ją wydarzeniami niezwykle, stanowiącymi pastisz literatury komercyjnej i intelektualistycznymi rozważaniami na tematy tak od siebie odległe, jak Bóg i karczochy. Do skarbcza intertekstualnych zabiegów przeszła już scena, w której Maurice Allington czyta w Cambridge książkę, zresztą zapewne pochodzącą spod pióra samego Amisa i poddaje ją bezlitosnej krytyce. Równie postmodernistycznym chwytym jest uczynienie osi akcji pogoni za duchem Underhilla (przypomnijmy tu sobie *49 idzie pod młotek* Pynchona) i włączenie do powieści niezwykle troskliwie podrobionych przez Amisa fragmentów jego dziennika. Przepajający całą książkę motyw pragnienia wyzwolenia się spod wszelkich wpływów i manipulacji, czy to Bożych, czy Underhillowych, może stanowić odległe echo

niektórych stwierdzeń samego Sartre'a. *Zielony Człowiek*, podobnie zresztą jak inne utwory Amisa, łączy w kokieteryjny sposób zewnętrzny konserwatyzm treści z dyskretnymi formalnymi eksperymentami.

Jest więc lektura tej powieści zabawą literacką niezwykle wysokich lotów. Nie zapominajmy jednak, że, pomimo akceptacji artystycznych nowinek, pozostaje w niej Amis moralistą. Niech więc przykład Maurice'a Allingtona, który bardziej rozpacział nad śmiercią kota niż własnego ojca, przestrzeże nas przed igraniem z mocami nadprzyrodzonymi - i przed małżeńską niewiernością.

Powieść Kingsleya Amisa została sfilmowana przez BBC i niedawno wyemitowana przez TYP pod tytułem *Zajazd pod zielonym ludkiem*.

*Przemysław Znaniński*